BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Niech się święci 1 Maja!

16 stron

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 27.IV 1969 Nr 9 (416) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

Sprawy na Sejmik

Zygmunt Mikulski

WOJEWÓDZKI Sejmik Kultury, który za parę dni rozpocznie obrady, będzie dla naszego środowiska wydarzeniem szczególnym przez to, że po raz pierwszy od długiego czasu postawi sprawy twórczości artystycznej na szerokim forum społecznym.

Poprzednie narady w tej skali dotyczyły przede wszystkim metod upowszechniania kultury i to raczej w ściśle określonych środowiskach, np. wiejskim i robotniczym. Po V Zjeździe partii, po szeregu konfrontacji na terenie Związku Literatów Polskich, po XVII Zjeździe ZLP, w obliczu zbliżających się wyborów do Sejmu i rad narodowych, jest całkowicie uzasadnione, że pomijane dotychczas sprawy twórczości, wytwórczości, produkcyjności kulturotwórczej danego ośrodka stają się przedmiotem jego zainteresowania. Szczególną zachętę ku temu daje to sformułowanie w referacie sprawozdawczym na V Zjeździe, które mówi:

Cechą istotną naszego życia kulturalnego jest coraz większy udział w tworzeniu kultury ogólnonarodowej ośrodków kulturalnych. Należy dalej dążyć do zmniejszania różnic pomiędzy poszczególnymi regionami kraju w dziedzinie zaspokajania potrzeb kulturalnych.

Jesteśmy jednym z adresatów tego sformułowania, ponieważ jak w dziedzinie ekonomicznej, która jest terenem zjawisk świadczących o innych w tym względzie ambicjach i awansie, tak w dziedzinie rozwijania własnego dorobku naukowego, plastycznego, literackiego mamy aspiracje, datujące się od czasów „Lublina stołecznego". Prawda, że aspiracje te hamowane były niejednokrotnie przez procesy migracyjne na obszarze środowisk twórczych, prawda też, że nie zawsze zamiarom potrafiliśmy dodać nieodzowną dynamikę działania, niemniej jednak w bilansie kilku ostatnich lat możemy wskazać na pozycje korzystnie świadczące o próbach poszerzenia organizatorskiego i artystycznego widnokręgu.

Oto np. w dziedzinie plastyki sympozjum puławskie i plener zwierzyniecki, oto coroczne „kaliskie spotkania teatralne", owocujące dla naszej sceny plonem pozytywnych opinii, oto wreszcie zorganizowany przez środowisko literackie pierwszy ogólnopolski zjazd młodych piszących, który stał się i terenem i zaczątkiem wielu wypowiedzi, dotyczących młodej polskiej literatury — by nie wspomnieć już o sukcesach Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej, nadzwyczaj udanych występach Zespołu Tańca Ludowego UMCS, ambitnych i ciekawych przedstawieniach studenckiego „Gongu 2", Działalność Wydawnictwa Lubelskiego, naukowy ruch wydawniczy prowadzony przez UMCS, częsty kontakt z czasopismami literackimi kraju, a szczególnie z „Poezją", napór wreszcie młodych piór na lubelskie ośrodki publikacji — oto dalsze pozycje w lubelskim inwentarzu kulturalnym i artystycznym.

Nie od rzeczy jednak przy okazji Sejmiku będzie rozglądnąć się za tzw. nie wykorzystanymi rezerwami. Nie po to wyłącznie, by w ten sposób uczyniony bilans nie przechylił się ku stronę okolicznościowego optymizmu, ale po to, by przy tej okazji dokonać korzystnych obrachunków, mogących wpłynąć na intensyfikację naszego życia artystycznego. Otóż wydaje się, że dokonania w tym środowisku widocznie związane są prawie wyłącznie ze skalą indywidualnych talentów i umiejętności, brak natomiast tego wszystkiego, co wynikać może ze zbiorowej inspiracji, z wpływu, jaki na poszczególną jednostkę wywiera zwykle żywa, dynamiczna atmosfera zespołu.

Warto to podkreślić, ponieważ wbrew pozorom — niezależnie od słusznego przekonania, że praca twórcza odbywa się w ciszy pracowni czy gabinetu — jest to jakaś sprawa do rozpatrzenia, a jej rozpatrzenie może wpłynąć na uruchomienie nie wykorzystanych zapasów. Nie ma sprawy tam, gdzie mamy do czynienia z już gotowym

Dokończenie na str. 12

Lubelski Festiwal Powiatów — przeglądem dorobku 25-lecia

Impreza jakiej nie było

Al. Leszek Gzella

Kurtyna opadła, widownia opustoszała. Jeszcze tylko ostatni maruderzy kręcili się po hallu, jeszcze tylko zażarci dyskutanci kończyli pić kawę. Na rożku zestawionych stolików przysiedli, jakby onieśmieleni, gospodarze powiatu: I sekretarz i przewodniczący rady. Wyjęli z kieszeni kanapki zawinięte w biały papier. Rytmicznym i powolnym ruchem mieszali cukier w herbacie. Nie rozmawiali. Nie dzielili się wrażeniami. Nie wymieniali zdań na temat, jak wypadliśmy. Po prostu byli zmęczeni i głodni. Nie poszli do „Europy" na sutą kolację. Siedli w rogu relaksowej kawiarni i jak gospodarze, utrudzeni w czasie żniw całodzienną pracą, odpoczywali. Powiat janowski zakończył swój d z i e ń.

MOŻNA przyjąć, że to był typowy obrazek. Napięcie, które towarzyszyło organizatorom imprez przygotowywanych na festiwal, mijało dopiero po zakończeniu występów. Mijało w momencie pełnego przeświadczenia, że wykonano dobrą robotę, bez względu na wynik i ostateczną decyzję komisji konkursowej. Zresztą wysiłku i ofiarnej pracy, graniczącej nieraz z prawdziwym poświęceniem, nikt nie jest w stanie należycie ocenić. To pozostanie słodką, albo gorzką, tajemnicą każdego działacza. Nie da się również tego przeliczyć na złotówki. Zwłaszcza, że złotówki nie mają jednakowej wartości. Inną wartość ma złotówka dla Włodawy, a inną dla Puław, inną dla Bychawy, a inną dla Chełma. Natomiast ofiarność ludzi, którzy opracowywali festiwalowe imprezy, wszędzie — zdaje się — była jednakowa.

Minęło 46 dni Festiwalu Powiatów, który dla uczczenia 25 rocznicy PRL zorganizowano w Lublinie z inicjatywy Wojewódzkiego Domu Kultury. Dorobek ćwierćwiecza zaprezentowało 20 powiatów (z Lublinem miastem). Na koncertach, które obejrzało ponad 46 tys. widzów, wystąpiło 180 zespołów. W uświetnieniu imprez brało udział 3,5 tys. osób.

Pora więc odpocząć. A okazja też do podsumowania wrażeń, jakie nasuwają się autorowi artykułu, który wiernie uczestniczył prawie we wszystkich koncertach galowych, obejrzał bez wyjątku wszystkie wystawy w sali MDK przy ul. Pstrowskiego 12, brał udział w większości imprez towarzyszących przeprowadził dziesiątki wywiadów i rozmów z garncarzami, kowalami, pisankarkami, ludowymi poetami, wycinankarkami, kierownikami zespołów i kierownikami oddziałów kultury, scenarzystami galowych koncertów, reżyserami, solistami, działaczami, aktorami, pracownikami muzeów regionalnych, tancerzami i chórzystami, nauczycielami itd.

Impreza przeszła oczekiwania organizatorów. To jest pewne. Początkowo skromnie zamierzano przedstawić dorobek 25-lecia powiatów, pokazać powojenne osiągnięcia gos-

Dokończenie na str. 7

Zespół Pieśni i Tańca „Powiśle" (pow. puławski) CAF — M. Targoński

Podróże przedwyborcze

Wojewódzki awans Rzeszowa

Romuald Wiśniewski

PANIE mają pierwszeństwo, zatem najpierw będzie o ciuchach. Ilekroć jadę do Rzeszowa, znajome mówią mi, że dobrze mieć pracę, pozwalającą na odwiedzanie tego miasta. Bo w Rzeszowie jest targowisko, na którym można kupić tanio garderobę, przysyłaną w paczkach przez rodaków z zagranicy. Więc wyjaśniam, że istotnie targowisko takie jest. Z biednych galicyjskich wsi i miasteczek, przeludnionych, mających poważne nadwyżki rąk do pracy, od dziesiątków lat ludzie emigrowali za granicę w poszukiwaniu chleba.

Gdy przy końcu lat trzydziestych, w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego, rozpoczęto w Rzeszowie budowę Państwowych Zakładów Lotniczych i filii zakładów Cegielskiego, mieszkańcom miasta zaświtała nadzieja na generalną poprawę losu. Oba przedsiębiorstwa miały zatrudnić łącznie około 3 500 osób. Władze miejskie snuły już dalekosiężne plany o rozbudowie urządzeń komunalnych. Obie fabryki rzeczywiście ruszyły, liczba mieszkańców Rzeszowa podskoczyła z 25 do 41 tysięcy, ale zmiany w życiu miasta nie były tak wielkie, jak się spodziewano. Już bowiem przy samych wykopach i robotach budowlanych zatrudniono wielu chłopów sprowadzonych aż z Polesia wraz ze sprzężajem; w jakiś tam sposób lepiej się to inwestorom kalkulowało. A kiedy zakłady były gotowe, w biurach i warsztatach posadzono specjalistów i robotników pochodzących głównie ze Śląska. Ludności miejscowej pozostało obsługiwanie przybyszów i produkowanie dla nich żywności.

To było już coś — ale nie wystarczało do wchłonięcia nadwyżki siły roboczej. Dlatego też emigracja zarobkowa z Rzeszowa i okolic trwała nadal. Po wyzwoleniu, gdy ludność zniszczonego wojną miasta spadła do 29 tys., rodacy ze Stanów Zjednoczonych zaczęli przysyłać krewnym paczki. Każda zawierała nieco zużyte, ale bardzo u nas wtedy potrzebne garnitury, płaszcze, obuwie. Dziś jednak, choć wciąż narzekamy na krajowy przemysł lekki, rzeszowski rynek z ciuchami nie jest już żadną atrakcją. Ot, zwykłe targowisko ze starzyzną, na którym tylko wyjątkowo można znaleźć coś ciekawego, mniej zniszczonego.

Rodacy z zagranicy przyjeżdżają masowo do miasta nad Wisłokiem, widzą jak żyją jego mieszkańcy, widzą, co jest w sklepach, toteż nie czują już moralnego obowiązku pomagania swym krewnym w Polsce. Więcej — stwierdzają ze zdumieniem, że to, o czym pisali do nich bracia z Polski, nie jest propagandą, wymuszoną na nadawcach przez „komunistyczny reżim". Ich siostrzeńcy mają dyplomy akademickie w kieszeni, a gdy zaproszą wujaszka z Chicago na kolację do „Relaxu", mniej niż pół litra nie zamawiają!

Oczywiście są tacy, którym na obczyźnie powiodło się wyjątkowo dobrze i którzy mogą sobie pozwolić na sprezentowanie krewnym w Polsce paru tysięcy dolarów. Na przedmieściach Rzeszowa stoi trochę ładnych willi, „amerykanek", jak je tu nazywają, zbudowanych przez PKO za dewizy, wpłacone za granicą. Lecz, generalnie rzecz biorąc, czasy, kiedy na ciuchach kupowało się t a a k i e kostiumy, skończyły się.

Dzisiaj Polaka z zagranicy zaskakuje w Rzeszowie wszystko: nowe dzielnice mieszkaniowe, wystawy sklepowe, istnienie dwóch wyższych uczelni, życie kulturalne. Lecz nie tylko zamorscy przybysze stają co chwila zdumieni. Każdy, kto zna to miasto sprzed lat 15 czy więcej i po długiej nieobecności znów doń przybywa, nie może się nadziwić jego przeobrażeniami. W ocenach bowiem zbyt chętnie posługujemy się utartymi schematami myślowymi, nawet jeśli odziedziczyliśmy je po dziadkach. Rzeszów, powiada pan? No tak, pojechać tam na ciuchy warto, ale tak służbowo, na tydzień, to musi być przykre, współczuję. Rzeszów to przecież nie Wrocław, nie Poznań, nie Gdańsk. Dziura. Zawsze był dziurą. 162 km od Krakowa, 178 od Kielc, 168 do Lublina, 179 do Lwowa, aż 303 km do Warszawy.

Rzeszów żył więc w cieniu odległego o 84 km znacznie większego Przemyśla, a także trochę — odległego o 80 km Tarnowa. W okresie międzywojennym miasto utrzymywało się z administracji powiatowej, drobnego rzemiosła i handlu. Nawet w czasie budowy obiektów COP wspominano z rozrzewnieniem cesarsko - królewskie czasy, kiedy kwaterowały tu cztery regimenty kawalerii i huzarów, zatrudniające ludność przy usługach dla oficerów — jak to zanotował w jednym ze swoich reportaży Ksawery Pruszyński.

Cóż wie dziś przeciętny czytelnik prasy o tym mieście? Niewiele: że jest stolicą województwa, że mieści się tam kilka dużych zakładów przemysłowych, że mają dobry sport, hołubiony przez władze, że przez Rzeszów jedzie się w Bieszczady. Ale ani stołeczność wojewódzka, ani czynniki materialne nie mogłyby wiele zdziałać, gdyby nie zapał i upór mieszkańców miasta, które zrozumiało, że nagle spadła nań szansa, jakiej dotąd nie miało w historii. Uczepiono się tej szansy z zaciekłą determinacją. Nie było to proste.

Wojewódzka Rada Narodowa ukonstytuowała się w Rzeszowie 18 sierpnia 1944; znacznie później niż rady powiatowe i miejskie, a to dlatego, że nie bardzo było jeszcze wiadomo, jakie będą kształty województwa i które miasto będzie jego stolicą. Rzeszów wybrano na miejsce pierwszego posiedzenia WRN ze względów czysto praktycznych: był położony mniej więcej w

Dokończenie na str. 4

teatrnn.pl

Kultura 1969

Zmarli

* W katastrofie lotniczej pod Krakowem 2 kwietnia zginął m. in. emerytowany profesor UJ, Zenon Klemensiewicz, członek rzeczywisty PAN i wielu towarzystw naukowych krajowych i zagranicznych, znakomity językoznawca. Pozostawił ok. 500 prac naukowych, w tym trzytomową „Historię języka polskiego", „Prawidła poprawnej wymowy polskiej", „Pogadanki o języku", „Gramatyka historyczna języka polskiego". Był również czynnym działaczem społecznym.

* W tej samej katastrofie zginęła 42-letnia red. Irena Tetelowska, dyrektor Ośrodka Badań Prasoznawczych w Krakowie, wybitny polski prasoznawca, członek międzynarodowych stowarzyszeń prasoznawców, członek Zarządu Oddziału Krakowskiego SDP.

* W Mexico na atak serca — 79-letni Traven Torsvan, powieściopisarz. Powszechnie uznaje się go za autora książki „Skarb Sierra Madre", na której podstawie nakręcono głośny film, ale on sam się do tego nie przyznawał. Milczał także na temat swojego życiorysu — uważano go m. in. za nielegalnego syna cesarza Wilhelma.

* 41-letni pisarz belgijski Rene Gysen (tworzył w języku flamandzkim), uważany za jednego z najbardziej reprezentatywnych pisarzy młodego pokolenia pisarzy belgijskich. Pisał powieści i wiersze.

Literatura

* W dniach 1—3 września, w 30 rocznicę agresji hitlerowskiej na Polskę, odbędzie się w Gdańsku XII Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych.

* Powieści Henryka Sienkiewicza ukazały się w PRL w łącznym nakładzie 11 234 tys. egzemplarzy. W tym roku ukaże się „Trylogia" w ośmiotomowym wydaniu kieszonkowym, „W pustyni i w puszczy", „Krzyżacy", „Quo Vadis" i in. W przygotowaniu jest monografia całej twórczości Sienkiewicza prof. J. Krzyżanowskiego.

* Instytut Literatury Akademii Nauk ZSRR wydał prace zbiorową „Słowiańskie kontakty literackie". Zamieszczono tam m. in. 138 nie znanych dotąd listów Wacława Sieroszewskiego do korespondentów rosyjskich.

* Związek Pisarzy RFSRR i Komitet Centralny Komsomołu w Leningradzie rozpoczynają wydawanie nowego pisma literacko-artystycznego i społeczno-politycznego „Aurora". Będzie to trzeci miesięcznik literacki wychodzący w tym mieście.

* Minęło właśnie 40 lat od ukazania się pierwszego wydania „Cichego Donu" Michała Szołochowa. Od tego czasu powieść wydano w ZSRR 235 razy w 23 językach, łączny nakład osiągnął 11,5 mln egzemplarzy.

* W Bostonie powstała murzyńska Akademia Sztuki i Literatury. Prezydentem został profesor nowojorskiego uniwersytetu Eric Lincoln. Jej celem jest popieranie murzyńskich pisarzy, plastyków i historyków sztuki.

* Ambasadorem Wenezueli w Kopenhadze został mianowany Vincente Gerbasi, poeta, laureat literackiej Grand Prix swego kraju na zeszłoroczny zbiór „Poesia de Viajez".

* Rene Clair kończy swoją pierwszą powieść, po czym zabiera się do pamiętników. Już na zapas został mianowany członkiem jury, które przyznaje co roku nagrody literackie księcia Monaco.

Teatr

* I miejsce i nagrodę publiczności na IV ogólnopolskim przeglądzie teatrów zawodowych małych form otrzymał Ryszard Filipski z Krakowa za spektakl pt. „Co jest za tym murem" Jacka Stwory.

* W ramach obchodów tysiąclecia Kairu wystąpi w tym mieście z kilkunastu przedstawieniami Wrocławska Pantomima.

* Ingmar Bergman wystawił w sztokholmskim Królewskim Teatrze Dramatycznym starą sztukę Buettnera „Woyszek". Wystawił ją bez dekoracji, widzowie siedzą częściowo na scenie, aktorzy chodzą po sali. W czasie premiery Bergman zauważył pewnego krytyka, którego spoliczkował. Niezależnie od wszczęcia procesu krytyk napisał bardzo przychylną ocenę.

Muzyka

* 17 października, w 120 rocznicę śmierci wielkiego muzyka, zostanie odsłonięty w Londynie pomnik Fryderyka Chopina. Stanie on przed reprezentacyjną salą koncertową Royal Festival Hall w wyniku starań Stowarzyszenia Muzyków Polskich Zagranicą.

* „Nareszcie wielkie przedstawienie" — piszą krytycy po premierze opery Verdiego „Otello" w warszawskim Teatrze Wielkim. Kierownictwo muzyczne J. Krenza, reżyseria Al. Bardiniego, scenografia A. Majewskiego.

* Recitalem w Mediolanie Lidia Grychtołówna rozpoczęła serię występów we Włoszech. Gra utwory Schuberta, Schumanna, Liszta i Chopina.

* W Duesseldorfie odbyło się kolejne wykonanie „Pasji" K. Pendereckiego. Partię sopranową śpiewała Stefania Wójtowicz, dyrygował Henryk Czyż.

* „Ten młody artysta posiada wszystkie atuty, aby być idealnym wykonawcą największych mistrzów" — napisał krytyk paryskiego „Figaro" po występie w radio francuskim skrzypka Marie-Claude Werchowski.

* W sali Victoria Hall w Genewie wystąpił zespół 15 skrzypków orkiestry Teatru Wielkiego w Moskwie. Zespół gra unisono. „Precyzja wykonania graniczy z czystą akrobacją" — napisał krytyk „Journal de Geneve" po wykonaniu „Kaprysu" Paganiniego.

* Doroczny konkurs piosenkarski Eurowizji zakończył się niezwykłym wynikiem: cztery osoby otrzymały równo po 18 głosów i jury nie dało się nakłonić do zmiany orzeczenia. Laureatkami zostały same kobiety: Maria Rosa Marco (Hiszpania), Frida Boccara (Francja), Lulu (Wielka Brytania) i Lennie Kuhr (Holandia). W związku z protestami publiczności policja musiała kilkakrotnie interweniować.

* Gwizdy i krzyki protestu skwitowały premierę opery Verdiego „Simone Boccanegra" na scenie wiedeńskiej, reżyserowaną przez Visconiego, który opracował także scenografię i kostiumy. Kostiumy były sporządzone z metalowych blach w stylu „kosmonauci", mimo że akcja opery rozgrywa się w XIV wieku.

* Opera mediolańska „La Scala" przygotowuje „Edypa" Sofoklesa. Po raz pierwszy po przerwie od 1957 r. wystąpi w niej Gualtiero Tumiati, który właśnie skończył 93 lata.

Sztuka

* 85 wystaw i 127 prelekcji urządziła w okresie ostatnich dwóch lat sekcja wystawienniczo - plastyczna łódzkiego Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych.

* Włoski minister oświaty oznajmił, że w ciągu 20 lat zostaną sporządzone mikrofilmy z całej spuścizny sztuki włoskiej — malarstwa, architektury, urbanistyki, archeologii. Obejmą one dzieła sztuki znajdujące się zarówno we Włoszech jak i poza granicami kraju. Kopie będą mogły otrzymywać wszystkie uniwersytety, szkoły artystyczne i muzea na świecie.

* We Włoszech istnieje kilka tysięcy sklepów, sprzedających czasem prawdziwe, najczęściej wyrabiane współcześnie meble-antyki. Roczna produkcja osiąga ok. pół miliona sztuk. Rzekome antyki są doskonale zrobione i do złudzenia przypominają autentyczne. Pokaźna część tej produkcji „artystycznej" idzie na eksport do USA, Kanady, Szwajcarii i NRF.

* 72-letni malarz David Alfredo Siqueiros na czele 63-osobowej grupy malarzy, rzeźbiarzy i mechaników kończy gigantyczne malowidło ścienne o powierzchni 4 630 metrów kwadratowych w sali widowiskowej w mieście Cuernavace.

Film

* „Pan Wołodyjowski" jest dwudziestą z kolei ekranizacją powieści Sienkiewicza. „Quo Vadis" było filmowane 6 razy, „Hania" 3 razy, „Potop" 2 razy. Pierwsza ekranizacja polska to „Szkice węglem" w 1912 r.

* „Złotą paletę" na festiwalu filmowym w Rio de Janeiro otrzymał reżyser argentyński Leopold Torre-Nilsson, a „Srebrną" francuski — Jacques Deray, nagrodę za najlepszą interpretację — Mia Farrow za rolę w filmie „Rosemary's Baby" Polańskiego.

* Aktorka amerykańska Sharon Tate, żona Romana Polańskiego, wystąpi w głównej roli filmu pod tytułem „13", obok niej Vittorio Gassman i Vittorio de Sica.

* Włoszka Ciliana Cavani będzie reżyserem filmu „Kanibale", współczesnej wersji — jak głoszą reklamy — „Antygony" Sofoklesa. W rolach głównych Szwedka, Amerykanin i Francuz.

* W roku ub. podjęto we Włoszech realizację 281 filmów — o 13 więcej niż w roku poprzednim. 152 filmy były finansowane wyłącznie przez włoskich producentów.

* W roku ub. Czechosłowacja zawarła 258 tranzakcji na sprzedaż swoich filmów za granicę. Wpływy wyniosły 29 mln koron dewizowych, w tym 17 mln koron z krajów socjalistycznych.

* Yul Brynner będzie grał Mussoliniego w filmie „Śmierć w Dongo". W roli Klary Petacci — Lisa Gastoni.

* Charles Aznavour wystąpi w filmie fabularnym na temat miłości, w którym tłem będą igrzyska olimpijskie.

* Reżyser francuski Philippe Arthuys przenosi na ekran „Pasję według świętego Mateusza" Bacha, dodając, że „będzie to opera w obrazkach". W roli głównej Danielle Delorme, tytuł „Korzenie krzyku".

Różne

* Poeta grecki Georges Seferis, laureat Nagrody Nobla w 1963 r., po dwóch latach milczenia wypowiedział się przeciwko reżimowi pułkowników, oświadczając m. in.: „Mijają dwa lata, gdy został nam narzucony siłą reżim, sprzeczny z ideałami, o które walczyliśmy w czasie drugiej wojny światowej". Rzecznik rządowy oskarżył pisarza, że przyłączył się do „histerii antygreckiej, uprawianej we wszystkich krajach komunistycznych i niektórych zachodnich". Seferis nigdy nie należał i nie należy do żadnej partii politycznej.

* Margot Fonteyn już 35 lat jest primabaleriną londyńskiego Covent Garden. Z okazji jubileuszu wystąpiła w prapremierze „Peleasa i Melisandry" Schoenberga.

* 570 wydawców z 25 krajów wzięło udział w pierwszych międzynarodowych targach książki w Brukseli. Wystawiono ok. 50 tysięcy książek.

* W 20 miastach USA będzie występował 40-osobowy łódzki Zespół Tańca Ludowego Związku Zaw. Włókniarzy „Harnam", który wyjechał pierwszym rejsem nowego statku „Stefan Batory".

* Władze hiszpańskie zakazały publikowania książek czterem wydawnictwom w Madrycie, które w ostatnich latach wydawały tłumaczenia współczesnych książek politycznych i ekonomicznych.

* Mireille Mathieu nie będzie mogła udać się tego lata w tradycyjne tournée po francuskich miejscowościach wypoczynkowych. Impresario Johnny Stark doszedł do wniosku, że jego pupilka, która stała się uznaną gwiazdą międzynarodową, musi uzupełnić pewne luki w wychowaniu tak artystycznym, jak i ogólnym, w czym przeszkodziła jej błyskawiczna kariera. W tym celu wynajął na 5 miesięcy willę na przedmieściu Londynu, w której zamieszka odtwórczyni „Ostatniego walca" wraz ze swą sekretarką, nauczycielem śpiewu, tańca, szefem własnej orkiestry, a także dwoma profesorami, którzy uczyć ją będą angielskiego, jak też... francuskiego. Jeśli chodzi o ten ostatni język, to nauka polegać będzie głównie na wzbogaceniu słownictwa oraz ćwiczeniach z zakresu dykcji. Mireille Mathieu, córka kamieniarza z Awinionu, ma za sobą tylko szkołę powszechną. Rodzice nie mogli zapewnić dalszej nauki ani jej, ani jej dwanaścioro rodzeństwa.

* Za rękopis Diderota, obejmujący 44 strony, zawierający nie znane dotąd fragmenty jego twórczości, zapłacono na aukcji w Paryżu 59 tys. franków. Rękopis zakupiła Biblioteka Narodowa.

* Nauczycielka francuska, Helena Brobecker, dla celów naukowych spędziła 4 tygodnie w pieczarze, znajdującej się 70 m pod powierzchnią ziemi. Aby utrzymać się w dobrej formie — czytała pisma Goethego i Sokratesa.

* Józefina Baker z polecenia lekarzy może śpiewać jednego wieczoru najwyżej trzy piosenki.

* Beatlesi umieją robić sobie reklamę. Najpierw Ringo Star oświadczył, że zespół nigdy już nie wystąpi na estradzie, ograniczając się do płyt i filmów, potem John Lennon gwałtownie to zdementował.

Kamena str. 2

Program Wyborczy FJN

(Omówienie)

W DNIU 1 czerwca br. odbędą się wybory do Sejmu oraz do rad narodowych. Staną się one ogólnonarodowym aktem politycznym o znaczeniu tym bardziej doniosłym, że zbiegają się z jubileuszem 25-lecia Polski Ludowej.

PZPR, ZSL, SD oraz wszystkie organizacje społeczne, wchodzące w skład Frontu Jedności Narodu, nakreślają we wspólnym programie wyborczym główne cele i zadania, które przyświecać powinny działalności wszystkich posłów na Sejm i radnych do rad narodowych. Program ten, odpowiadający obecnym warunkom, możliwościom i potrzebom kraju, jest kontynuacją drogi, po której od ćwierćwiecza kroczymy.

Program nie we wszystkich dziedzinach da się ująć w ramy konkretnych planów. Zadania mogą być tylko zarysowane w generalnych założeniach, takich jak:

● opracowanie przyszłego planu 5-letniego (1971—1975); ● zapewnienie Polsce szybkiego i pomyślnego rozwoju gospodarczego; ● przejście do gospodarki bardziej intensywnej, której stały wzrost opierać się będzie przede wszystkim na wyższych wynikach jakościowych, na nowoczesnej technologii, na wyższej wydajności pracy i stałym wzroście kwalifikacji kadr; ● udoskonalenie całego systemu planowania i zarządzania gospodarką narodową.

Front Jedności Narodu pragnie skupić uwagę i wysiłek całego społeczeństwa na najważniejszym w chwili obecnej zadaniu, na dalszym rozwijaniu potencjału naszej gospodarki, oświaty, nauki i kultury, od którego zależy dalszy wzrost poziomu życiowego narodu.

Prowadząc konsekwentnie politykę dalszego uprzemysłowienia Polski i rozwoju poszczególnych regionów kraju, szczególną uwagę poświęcamy rozwojowi gałęzi decydujących o postępie i unowocześnianiu gospodarki narodowej: przemysłu maszynowego i przemysłu chemicznego. Będziemy rozwijać wielką chemię, aby w pełni wprzęgnąć nowoczesne tworzywa w służbę przemysłu i rolnictwa. Rozwinie się przemysł lekki oraz spożywczy. Nastąpi szybszy wzrost produkcji wyrobów, odpowiadających potrzebom rynku, w przemyśle maszynowym, chemicznym, drzewnym, meblarskim, ceramicznym i szklarskim. Będziemy rozbudowywać bazę surowcową i prowadzić poszukiwania nowych złóż bogactw naturalnych.

W rolnictwie najważniejszymi zadaniami będą: dalsza intensyfikacja podnoszenia plonów, zapewnienie samowystarczalności w dziedzinie zbóż, mechanizacja najcięższych prac polowych.

Postęp gospodarczy może się odbywać jedynie w ścisłym powiązaniu z rozwojem badań naukowych. W tym celu program przewiduje:

● skierowanie większego niż dotąd wysiłku na unowocześnienie technologi w procesach produkcyjnych; ● rozwijanie zaplecza naukowo-badawczego gospodarki narodowej, dostosowywanie programu badań naukowych do aktualnych potrzeb; ● dalsze rozszerzanie kształcenia młodzieży w średnich szkołach, zwłaszcza zawodowych; ● rozbudowę szkół i internatów; ● dalsze rozszerzanie dostępu młodzieży robotniczej i chłopskiej do nauki.

W dziedzinie dalszego wzrostu poziomu życia ludności miast i wsi, który w decydującej mierze zależy od postępów naszej gospodarki, program przewiduje m. in.:

● polepszenie zaopatrzenia rynku w artykuły żywnościowe i unowocześnione wyroby przemysłowe; ● wyraźną poprawę sytuacji mieszkaniowej, choć nie wszystkie potrzeby w tej dziedzinie zostaną zaspokojone. Wzrośnie uspołecznione budownictwo mieszkaniowe, przy równoczesnym podwyższeniu standardu mieszkań, ich wielkości i wyposażenia; ● rozszerzenie podstawowych zdobyczy socjalnych ludzi pracy, a w szczególności uprawnień urlopowych robotników. Nowy Kodeks Pracy, którego uchwalenie należeć będzie do istotnych zadań Sejmu przyszłej kadencji, zrówna uprawnienia pracowników fizycznych i umysłowych; ● dalsze stopniowe skracanie czasu pracy różnych kategorii pracowników; ● powstanie nowych placówek lecznictwa, rozbudowę ośrodków wypoczynkowych, sportowych i turystycznych; ● wzmocnienie i rozbudowę bazy technicznej radia i telewizji, zwiększenie nakładów książek i prasy, zorganizowanie nowych placówek kulturalnych.

Umacnianie sojuszu, przyjaźni i współpracy z wszystkimi bratnimi krajami socjalistycznymi, a w pierwszym rzędzie ze Związkiem Radzieckim, jest i pozostanie nadal fundamentalnym założeniem polskiej polityki zagranicznej. Wychodząc z tego założenia, kraj nasz równolegle ze współdziałaniem politycznym i wspólnym wysiłkiem obronnym, będzie rozwijać z krajami socjalistycznymi coraz głębszą i bardziej wszechstronną współpracę ekonomiczną, stanowiącą trwałe wiązadło wzajemnej jedności i solidarności.

Kraj nasz — podobnie jak dotąd — będzie występował niezmiennie jako rzecznik pokojowego współżycia wszystkich krajów, jako przeciwnik imperialistycznej agresji i obrońca wolności narodów. Polska będzie nadal dążyć do:

odprężenia, współpracy gospodarczej i naukowo-kulturalnej ze wszystkimi państwami na zasadach równości i wzajemnych korzyści;

utrwalenia pokoju i bezpieczeństwa, na podstawie uznania przez wszystkie kraje status quo w Europie;

zwołania ogólnoeuropejskiej konferencji dla omówienia problemów bezpieczeństwa i współpracy narodów naszego kontynentu;

zakazu wszelkich doświadczeń atomowych i zaprzestania produkcji wszelkiej broni masowej zagłady.

W trosce o bezpieczeństwo naszej ojczyzny będziemy nadal rozwijać obronność kraju i wychowywać siły zbrojne PRL w duchu socjalistycznego patriotyzmu i internacjonalizmu proletariackiego.

* * *

Program stwierdza: **w wielkiej pracy całego narodu dla każdego jest miejsce, odpowiednie do jego wiedzy, umiejętności i poczucia obowiązku wobec ojczyzny. Front Jedności Narodu zmierza do tego, aby udział obywateli w życiu publicznym stawał się coraz bardziej masowy i aktywny.**

Notes „Kameny" Józef Barecki

Fronty działania

DWA wydarzenia, wiążące się w pewnym stopniu ze sobą, sprawiły, że w najbliższych miesiącach uwagę naszą zaprzątać będą przede wszystkim wewnętrzne sprawy kraju.

Sesja Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu otwarła niejako oficjalnie kampanię wyborczą do Sejmu i rad narodowych. Stało się już tradycją, że inauguracja ta ma charakter symboliczny, w pełni oddający stosunki, jakie ugruntowały się w naszym kraju. Front Jedności Narodu grupuje wszystkie siły polityczne i społeczne działające w Polsce Ludowej, stwarzając tym samym warunki dla współpracy i jedności całego społeczeństwa. Wyraża więc rzeczywiste, zgodne z prawdziwymi interesami narodu treści i poczynania, przede wszystkim postępowe społecznie, socjalistyczne przemiany społeczeństwa polskiego i jego trwałe związki ze wspólnotą socjalistyczną.

Na sesji zabrali głos przedstawiciele wszystkich działających w kraju sił politycznych i wyraźnie określili swoje miejsce w życiu kraju, we wspólnym patriotycznym froncie. Określili zresztą nie tylko w tej formie. Wzorem lat ubiegłych uczestnicy sesji uchwalili Program Wyborczy, dokument, który spełnia ważną rolę w działalności partii i stronnictw politycznych wśród społeczeństwa.

Nie ma w nim drobiazgowego, buchalteryjnego rozliczenia się z wyborcami, nie ma niczego, co pachniałoby kiełbasą wyborczą, ani śladu gromkich, ale pustych słów. Program Wyborczy w sposób prosty i sugestywny formułuje platformę dla wspólnego, ogólnonarodowego działania we wszystkich dziedzinach życia: w gospodarce, rolnictwie, kulturze, wychowaniu.

Kampania wyborcza wystartowała. Wiele danych wskazuje, że w głównym nurcie dyskusji znajdą się problemy ekonomiczne, sprawy zmian w naszej gospodarce.

Dojrzewały one od dawna, mówiono o nich w wielu dyskusjach, sygnalizowano w wypowiedziach prasowych.

Znany jest powszechnie ogromny dorobek Polski, osiągnięty w ostatnim ćwierćwieczu we wszystkich dziedzinach życia. Czterokrotnie wyższy w porównaniu z rokiem 1938 jest obecnie poziom dochodu narodowego, czternastokrotnie zwiększyła się produkcja przemysłowa. Kraj definitywnie wydźwignął się z zacofania gospodarczego i zniszczeń wojennych.

Stworzyło to podstawę do określenia nowych, ambitniejszych celów naszej działalności gospodarczej. Nadszedł czas, aby przekształcić Polskę z kraju o średnio rozwiniętym przemyśle w kraj wysoko rozwinięty, aby przesunąć ją z grupy krajów środka tabel do ścisłej czołówki światowej.

Pomyślne wykonanie tego zadania uzależnione jest od sposobu i tempa wprowadzania intensywnych metod produkcji, od usprawnienia planowania i zarządzania, od stworzenia warunków, zapewniających szybsze tempo rozwoju gałęzi i branż, decydujących o unowocześnieniu całej gospodarki i wzroście opłacalnego eksportu.

Problemem tym zajęło się ostatnie plenum Komitetu Centralnego PZPR. Być może referat był trudny do odbioru przez zwykłego człowieka, być może wiele głosów w dyskusji poświęcono sprawom, w których są biegli tylko fachowcy. Ale jedno wszyscy zrozumieli — partia postanowiła z całą konsekwencją uporządkować naszą gospodarkę i dostosować jej poziom, zgodnie z osiągniętymi przez kraj możliwościami, do najwyższych światowych standardów.

Na czoło obrad wysunęła się sprawa kierunków i metod opracowania następnego planu 5-letniego. Plenum zaakceptowało tu dwa zagadnienia. Po pierwsze — jeśli idzie o kierunek — takie opracowanie nowego planu, aby usunąć podstawowe przeszkody, hamujące rozwój gospodarki i jej unowocześnienie, przede wszystkim nienadążanie produkcji maszyn i urządzeń za stale rosnącymi potrzebami inwestycyjnymi kraju i potrzebami eksportu. Przemysł maszynowy, jako przemysł wiodący, mający największy wpływ na podnoszenie postępu technicznego i unowocześnianie całej gospodarki, będzie rozwijany szybciej niż inne branże. I po drugie — jeśli idzie o metodę opracowania planu — stworzenie warunków dla włączenia do opracowywania planu jak najszerszego aktywu fabryk, przedsiębiorstw, zjednoczeń. Chodzi o to, aby plan był opracowywany od dołu do góry, by powstał na bazie najszerszej inicjatywy ludzi pracy.

Drugim tematem dominujących na Plenum był problem usprawnienia procesu inwestycyjnego, niezwykle ważnej dziedziny gospodarki, decydującej o prawidłowym rozwoju całego kraju.

Chodzi o to, aby działalność inwestycyjna w naszym kraju miała cechy gospodarowania realnego, zgodnego z potrzebami społecznymi, ale i z możliwościami państwa, aby każda złotówka wydawana na budowę nowych obiektów, na rekonstrukcję, na badania, była wydawana planowo, mądrze i ze skutkiem, to znaczy, żeby w sposób maksymalnie użyteczny procentowała na rzecz społeczeństwa.

Chodzi o likwidację sytuacji, w której — przy podejmowaniu decyzji o nowych inwestycjach, a więc o wydatkowaniu wielomilionowych sum i angażowaniu potencjału przerobowego wielu przedsiębiorstw — panowała często dowolność, działały bodźce partykularne, brak było rachunku ekonomicznego.

Należy zmierzać do tego — jak powiedział jeden z uczestników dyskusji — *„aby nie robiło się tego, co się chce, ale żeby robiło się to, co trzeba, co zostało zaplanowane, co jest najpotrzebniejsze z punktu widzenia interesów gospodarki.*

W treści i tonie dyskusji na Plenum, a zwłaszcza w podsumowaniu Władysława Gomułki, uderza przede wszystkim akcentowanie potrzeby takich decyzji i działania, które będą decyzjami i działalnością odpowiedzialną, gospodarską i realną, wynikającą z uwzględnienia nie tylko potrzeb, ale i istniejących możliwości. Efektywność, świadomy wybór, wysoki poziom, społeczna użyteczność — oto pojęcia, które muszą się trwale związać z funkcjonowaniem naszego przemysłu.

Opowieść o rodzinie Tryczyńskich

Mirosław Derecki

NIEDŁUGO przyjdzie rozstać się z fabryką... Uroczystość zorganizowana przez radę zakładową, kwiaty, kieliszek wina, przemówienia, uściski dłoni... *No to, panie Józefie, czas znaczy się odpocząć. Ech, żebym to ja był na twoim miejscu, bracie, szczęśliwy jesteś, chłop młody, zdrowy i taka kupa wolnego czasu! Zachodzisz do nas często, z młodymi trzeba porozmawiać, pokazać to i owo, opowiedzieć, jak dawniej było, żeby sobie nie myśleli, że tak zaraz — prast władza ludowa z nieba spadła.*

Cieszyć się, czy smucić? Tymczasem... w zakopconej ślusarni w budynku przy ulicy 1 Maja 16, na stanowisku koło okna, pochyla się już nad imadłem kto inny... (Może jakiś fuszer, psiakrew!) Żaden usmolony ojciec rodziny, nie mówiąc o praktykantach, nie pogada o sprawach zakładu, nie zwróci się o radę, nie zagadnie nawet: *Panie Tryczyński, to pan naprawdę już pięćdziesiąt lat na zakładzie robi? Znaczy się pół wieku w naszej Fabryce Maszyn Rolniczych? To pan jesteś... historia...!*

Gadanie! Człowiek nagle dostał do ręki fant, z którym teraz nie wiadomo, co zrobić, a oni — historia! A tu się potrzeba uczyć żyć na nowo!

* * *

Urodzili się wszyscy na wsi. Jest taka wieś Zazulin w powiecie lubartowskim. Licho wie jaka ona teraz, pewnie chłopi rzepak sieją, murowane domy stawiają. Wtedy, na początku dwudziestego wieku, Zazulin to było błoto i nędza. Własnej ziemi nie było i roboty na cudzej też nie. Ojciec imał się najróżnorodniejszych prac, żadna nie trwała długo. Nie byli wsi potrzebni.

Tymczasem rodzina powiększała się. Nowy wiek dla rodziny Tryczyńskich otworzył swoim przyjściem na świat syn pierworodny — Stefan. W cztery lata później urodził się Józef, a po następnych trzech — Bolesław. Potem byli jeszcze dwaj — Czesław i Wacław.

Ojciec wahał się długo, zanim się utwierdził w ostatecznej i zgoła „rewolucyjnej" decyzji: trzeba jechać do Lublina. W Lublinie budują fabryki. Fabrykom trzeba ludzi do pracy, a on się pracy nie boi. Zresztą, nie mają innego wyjścia. Pewnego dnia wyruszył z żoną, dziećmi i tobołami. Podróż nie była łatwa i krótka, chociaż Lublin leżał stosunkowo niedaleko. Jechało się doń wtedy niby na Dziki Zachód. Linii kolejowej w tych okolicach jeszcze nie zbudowano, o automobilach nie słyszano. Między Lubartowem a Lublinem kursował za to swoisty dyliżans — wielki konny furgon z prostymi, drewnianymi ławami. Pasażerowie dzielili się na trzy klasy. Gdy furgon wjeżdżał na teren falisty, tylko „pierwsza klasa" miała przywilej pozostania na swoich miejscach. „Klasa druga" musiała własnonożnie pokonywać wzniesienia, zaś „trzecia" podpychać wóz pod górę... „Dyliżans" wyruszał z Lubartowa wczesnym rankiem i już późnym popołudniem turkotał na lubelskim bruku. Tryczyńscy zjechali takim „dyliżansem" do Lublina w roku 1908. „Klasowo" uplasowani — ma się rozumieć — najniżej.

•

Czas to był akurat znamienity. Jak podawał ówczesny „Kalendarz Lubelski", minęły 2662 lata od założenia Rzymu, 416 lat od odkrycia Ameryki, przede wszystkim zaś przypadała właśnie czterdziesta rocznica narodzin Najjaśniejszego Cesarza Mikołaja II Aleksandrowicza, od czternastu lat miłościwie panującego.

Miłościwe panowanie uzewnętrzniało się na co dzień w szeroko zakrojonej działalności ministra Stołypina, który w zdecydowany sposób usiłował wybić z głowy robotnikom rewolucyjne idee. Po gorącym okresie rewolucyjnym 1905—1906 r. lubelska PPS i SDKPiL musiały zejść do podziemia. O pracę w fabrykach było trudno. Pod byle pozorem pakowano robotników do więzień. Wychodzący w Lublinie „Kurier" donosił w numerze z 23 kwietnia 1908 r: *Onegdaj o godz. 3-ej po południu nieznani sprawcy zabili 5 strzałami z rewolwerów żandarma Ochrymienkę. (...) W związku z onegdajszym zabójstwem poczynione zostały wczoraj rozległe rewizje po wszystkich fabrykach. Aresztowano razem 100 osób. Zabranie 45 osób w fabryce Wolskiego przyczyniło się podobno do zamknięcia fabryki.* W zestawieniu z tą notatką fakt skazania w tym samym roku robotników lubelskich — Józefa Rotsztata i Aleksandra Borowskiego — na 6 i 4 lata ciężkich robót „za działalność partyjną" wydaje się rzeczą niemal naturalną...

Samo miasto niewiele uszczknęło z blasków korony samodzierżcy Wszechrosji. Całe dzielnice tonęły w błocie, zaś wieczorem — w ciemnościach, tylko gdzieniegdzie rozświetlonych słabymi latarniami gazowymi. Poza centralnymi dzielnicami, wodę czerpano ze zwykłych studzien, ulicami z rzadka przeciągały konne omnibusy. O oświetleniu elektrycznym prawie nie słyszano, pierwsze bezpośrednie połączenie telefoniczne z Warszawą miał otrzymać Lublin dopiero za sześć lat. Za to każdy mieszkaniec miał zapewnione rozrywki kulturalne. Już za kilka kopiejek. Przybył właśnie do Lublina i stanął przy ulicy Jezuickiej słynny „Théatre Optique Parisien". Na migocącym ekranie można było podziwiać „Kurę z włosami", „Minonoskę podczas burzy" lub „Nieszczęsną 500-rublówkę".

Dla tych, którzy nad diabelski wynalazek bioskopu przedkładali uroki słowa pisanego, „Kurier" drukował w odcinkach dydaktyczną powieść Władysława Gackiego — „Franek Antyalkoholik". Niekiedy tylko zza szpalt miejscowej prasy wyłaniał się niechcący obraz warunków życia klasy nie posiadającej — jakaś notatka donosząca o organizowanym na rzecz Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności koncercie filantropijnym, kończyła się słowami: „Klęska głodowa szerząca się wśród ludności Lublina powinna zachęcić ogół do złożenia ofiar na biednych".

Taki był w 1908 roku widok Lublina — „od kuchni". Rodzina Tryczyńskich szybko zdała sobie sprawę, że do Eldorado nie trafiła.

•

Zamieszkali na odległym przedmieściu, nie posiadającym nawet oficjalnej nazwy, a określanym — „Za cukrownią". Przy błotnistych, niebrukowanych ulicach stały rzędy prymitywnych „kamienic", składających się z dziesięciu do dwunastu jednopokojowych mieszkań. Właśnie w jednym z nich osiedliła się siedmioosobowa rodzina chłopska z powiatu lubartowskiego. Mieli tutaj przeżyć ponad trzydzieści lat.

Dzielnica była typowo robotnicza. Nad okolicą wisiał duszny zapach wysłodków z niedalekiej cukrowni, dochodziły odgłosy syren z rozbudowujących się fabryk: maszyn rolniczych H. Wolskiego, wytwórni kotłów E. Plagego, u W. Moritza i wielkiego młyna braci Krausse. Z pobliskiego dworca kolei żelaznej słychać było świst lokomotyw i turkot przetaczanych wagonów.

Stary Tryczyński wyruszył na poszukiwanie pracy. Gdyby miał w ręku określony fach, gdyby był ślusarzem albo tokarzem, może by mu się powiodło w którejś z większych fabryk. Ale dla robotnika niewykwalifikowanego bramy takich zakładów były zamknięte. Po długich staraniach udało się wreszcie zaczepić w krochmalni.

Zarobki były nędzne. Rodzinie doskwierał głód. Dwaj najmłodsi synowie nie wytrzymali ciężkich warunków. Czesław i Wacław umarli wkrótce po przyjeździe do Lublina.

Trzej pozostali chłopcy — Stefan, Józef i Bolesław — zaczęli kolejno uczęszczać do szkoły przy ulicy Foksalnej, dzisiejszej — Armii Czerwonej. Codziennie rano przechodzili obok cukrowni, a potem mijali wysoki, kilkupiętrowy budynek fabryki maszyn rolniczych H. Wolskiego. Z tymi dwoma zakładami pracy mieli się w przyszłości związać na długie lata.

Najstarszy, Stefan, wykształcił się na stolarza. Jako kilkunastoletni chłopak zaczął pomagać rodzinie. Tryczyńskich spotkało szczęście — Stefan zdobył stałą pracę w fabryce Plagego. Uczucie radości nie trwało jednak długo. W lubelskich fabrykach rozpoczęły się wkrótce redukcje, ograniczano czas pracy. „Codzienny Kurier Lubelski" pisał: *Źle się dzieje robotnikom w Lublinie. Brak pracy wszystkim daje się odczuwać.* W fabryce Plagego-Laśkiewicza zredukowano dzień roboczy do 7 godzin, w fabryce wag Hessa i u Moritza do 4 dni w tygodniu, zamknięta została „na czas nieograniczony" odlewnia żelaza B-ci Frydmanów, zatrudniająca 50 robotników.

Tym razem los uśmiechnął się jednak do Tryczyńskich. Redukcje ich ominęły.

•

Rok 1918 przyniósł wielkie nadzieje. Polska odzyskiwała niepodległość. W Lublinie panowały nastroje rewolucyjne. 5 listopada powstała Lubelska Rada Delegatów Robotniczych. Dzień później ukonstytuował się rząd ludowy z Ignacym Daszyńskim na czele. Po ulicach miasta krążyły patrole Milicji Ludowej.

Już kilka miesięcy wcześniej w Lublinie ukazały się ulotki, wydane przez PPS i SDKPiL. *Towarzysze!* — głosiła jedna z nich — *Pożar ze wschodu obejmuje już Austrię i Niemcy (...) do walki staje proletarjat. (...) Proletarjat Lublina nie pozostanie w tyle. (...) Towarzysze rosyjscy mogą być pewni, że ich starzy towarzysze broni z lat 1905 i 1906 nie zapomnieli sławnej tradycji powszechnego strajku i rewolucyjnej walki.* Teraz słowa te miały się skonkretyzować. Ulotka, zwołująca robotników na wielki wiec, głosiła m. in. *Rozpocząć będziemy musieli bardzo energiczną walkę o demokratyzację tego przyszłego państwa, o zdobycie dla robotnika polskiego tych praw społecznych i politycznych — mu należnych, na które swą nieustanną walką (...) zasłużył. Czeka nas wreszcie walka o zmianę ustroju społecznego w myśl haseł społecznej sprawiedliwości!*

Nadzieje nie ziściły się. Niespełna rok później „Czerwony Sztandar", organ KPP, rozpoczynał wstępny artykuł „Nad przepaścią" słowami: *Rok upływa jak polskie klasy posiadające dorwały się do władzy, rok nieopisanych cierpień ludu...*

•

W 1920 roku zaczął pracować syn średni, Józef. Przyjęto go jako ucznia ślusarskiego do fabryki maszyn rolniczych Wolskiego. Miał wówczas 15 lat.

Fabryka Wolskiego była wtedy jednym z najpotężniejszych zakładów przemysłu metalowego na Lubelszczyźnie. Powstała w 1875 r. w oparciu o kapitały ziemiańskie; ze względu na rodzaj produkcji (kieraty, młocarnie, brony sprężynowe, wialnie) nie narzekała na brak klientów. Dostać się do Wolskiego znaczyło zapewnić sobie kawałek chleba. Co zresztą jeszcze wcale nie oznaczało, że jest to chleb stały i zupełnie pewny. Wprawdzie w tzw. sezonie drzwi stały otworem nawet dla robotników niewykwalifikowanych, fabryka dawała zajęcie ponad czterystu osobom, odlewnia pracowała na dwie zmiany, a warsztaty po 10 godzin na dobę — ale zimą, gdy „sezon" się kończył, odprawiano nadwyżki siły roboczej, a stali robotnicy pracowali po 5 godzin dziennie i tylko przez 4 dni w tygodniu. Niewysokie zarobki stawały się wtedy wręcz głodowe. Park maszynowy był zużyty, przestarzały. Wypadki przy pracy nie należały do rzadkości.

Józefa omijały redukcje. Może zasługa w tym świętego Piotra w Okowach, patrona ślusarzy, ale większa chyba — niezwykłej pracowitości i dokładności, jaka cechowała młodego ślusarza. Po dzień dzisiejszy podkreślana jest w Lubelskiej Fabryce Maszyn Rolniczych jego przysłowiowa już prawie punktualność i akuratność.

•

Mieszkanie Tryczyńskich przy ulicy Dzierżawnej powoli pustoszało. Najstarszy syn, Stefan, ożenił się i wyprowadził z domu. W 1923 r. zmarł schorowany ojciec. Na gospodarstwie została matka, coraz częściej wspominająca rodzinne strony, oraz dwóch dorosłych już prawie synów. Najmłodszy, Bolesław, zaczął pracować w cukrowni. Dla średniego byłaby pora na ożenek, ale Józef nie kwapił się do tego. Zbyt dobrze pamiętał niedawną biedę, a zdawał sobie sprawę, że i teraz, kiedy już warunki życia zmieniły się nieco na lepsze, nie zdoła zapewnić przyszłej rodzinie odpowiedniego poziomu życia. Stefan, choć już żonaty, pozostał bezdzietny.

W 1923 r. wybuchła w Lublinie kolejna fala strajków. Robotnicy „od Wolskiego" mieli w nich niepoślednią udział. Miejscowa prasa stała po stronie fabrykantów, straszyła widmem komunizmu. Każdy kolejny numer gazety przynosił coraz bardziej „niepokojące" wieści.

„Głos Lubelski" z 21 lipca pisał: *W dniu 18 zastrajkowali tokarze w fabryce Wolskiego, w dniu 19 bm. — pomocnicy kowalscy, pucerzy i pomocnicy odlewni (...) — ogółem 164 ludzi (...) Ten sam mniej więcej fakt wytworzył się w innych fabrykach. (...) Ostatnie przesilenie walutowe jest zręcznie wykorzystywane przez agitację socjal-komunistyczną.*

W następnym dniu tenże „Głos Lubelski" bił na alarm: *Sytuacja w przemyśle metalowym komplikuje się. (...) Pracownicy metalowi, podżegani przez zręcznych i ukrytych wśród nich agitatorów komunistycznych, występują niby w obronie swych zarobków. Jak się dowiedzieliśmy, żądają oni podwyżki 50 proc. i umowy do maja 1924 r.*

Stanęły wszystkie lubelskie fabryki. Strajkowało ponad półtora tysiąca osób. Tym razem fabrykanci dali za wygraną. 25 lipca *rozpoczęto konferować w sprawie podwyżki płac. Obrady trwały cały dzień i dopiero późnym wieczorem doprowadziły do porozumienia, na mocy którego strajkujący otrzymali 50 proc. podwyżki.* Nawiasem mówiąc, owe zwycięstwo nie trwało długo. Już rok później wybuchła bowiem w lubelskich fabrykach nowa fala strajków.

•

Dwaj starsi bracia tkwili mocno w środowisku robotniczym, brali udział w strajkach, udzielali się w związku zawodowym metalowców. Najmłodszy, Bolesław, wstąpił do KPP. W latach trzydziestych działał także w OMTUR. Tę swoją działalność przypłacił trzema latami więzienia.

Na rok przed wybuchem wojny do fabryki Wolskiego przeniósł się od Plage-Laśkiewicza Stefan Tryczyński. Miał już tutaj pozostać aż do emerytury, czyli przez trzydzieści lat. Józef kończył już u Wolskiego osiemnasty rok nieprzerwanej pracy.

•

Dla fabryki przyszły złe chwile. Produkcja ulegała ciągle zahamowaniom. Wreszcie fabrykę wystawiono na licytację. W 1939 r. dyrekcję objął Laśkiewicz. Po sześćdziesięciu pięciu latach istnienia zakład przechodził w „obce" ręce. Z niepokojem oczekiwano kolejnych redukcji i ograniczeń. Nim jednak Laśkiewicz zdołał mocno osadzić się w siodle wybuchła wojna.

Ślusarz LFMR, Józef Tryczyński
CAF — M. Targoński

Teraz, pod zarządem niemieckim, fabryka przestawiła się głównie na produkcję dla wojska. Robiono tutaj tabory, piecyki do wagonów, lewarki samochodowe. Dzień pracy trwał 10,5 godz. Za tygodniowy zarobek można było kupić na czarnym rynku... kilogram słoniny. Chociaż Niemcy zaprowadzili rządy twardej ręki i nierzadko zdarzały się wypadki pobicia „opieszałych" robotników, w zakładzie przez cały okres okupacji trwał mały sabotaż. Psuły się maszyny, ginęły najpotrzebniejsze części.

Bolesław Tryczyński znikł z Lublina. Jako komunista zostałby przez Niemców rozstrzelany, albo, w najlepszym wypadku, trafiłby do obozu koncentracyjnego. Rodzinę od czasu do czasu dochodziły słuchy, że żyje i działa w ruchu oporu. W pokoiku na Dzierżawnej pozostała już tylko matka. Józef w 1941 r. ożenił się i przeniósł do mieszkania żony przy ul. Kunickiego, Stefan postarał się o własne mieszkanie już wiele lat temu.

•

Wraz z oddziałami radzieckimi wkroczył do Lublina — w szeregach Armii Ludowej — Bolesław Tryczyński. Był członkiem PPR, zasłużył się w leśnych walkach z hitlerowcami. Nikt już nie pamięta, czy matka dożyła momentu powitania z synem. Chyba nie. W ostatnim okresie życia coraz bardziej ciągnęło ją na wieś. Zmarła w 1944 r. w Kijanach i tam, obok grobu swych rodziców, została pochowana. Żyła siedemdziesiąt trzy lata. Wraz z jej śmiercią zerwana została ostatnia więź rodziny Tryczyńskich ze wsią, z chłopstwem. Synowie nosili już na grzbiecie cały balast robotniczej historii Lublina, prawie zapomnieli, że wywodzą się z chłopów. W mieszkaniu „Za cukrownią" zamieszkali obcy ludzie.

•

Wyzwolenie zastało dawną fabrykę Wolskiego w stanie zdewastowanym. Brakowało surówki. Produkcja stanęła. Ale nie na długo. Robotnicy z własnej inicjatywy rozjechali się po okolicy w poszukiwaniu złomu. Wkrótce z hal produkcyjnych wyszły pierwsze maszyny dla rolników. Wrócił do biura Laśkiewicz. Na krótko, bo w 1947 r. fabryka została upaństwowiona i przemianowana na Lubelską Fabrykę Maszyn Rolniczych.

•

Józefowi urodził się syn. Bolesław wyjechał na ziemie zachodnie, został dyrektorem cukrowni i tam, jako ostatni z braci, także założył rodzinę.

•

W Lubelskiej Fabryce Maszyn Rolniczych rozpoczęła się lawina zmian. Rozbudowywano hale produkcyjne. 70 proc. maszyn wymieniono na nowe. Zaczęto produkować wielkie, nowoczesne młocarnie różnych typów. W 1958 r. powstało tutaj własne biuro konstrukcyjne, zakład nawiązał ścisłą współpracę z instytutami maszyn rolniczych w Pomianowie i Kłudzienku oraz z Katedrą Mechanizacji Rolnictwa lubelskiej Wyższej Szkoły Rolniczej. O ile wartość produkcji w 1945 r. wynosiła 25 mln zł, to w 1964 r wzrosła (w cenach porównywalnych) do 126,3 miliona. W tym samym czasie wyprodukowano 159 tys. maszyn rolniczych.

Dzisiaj fabryka znów zmienia swój profil produkcyjny. Przestawia się głównie na wyrób wałów przekaźnikowych do napędu maszyn rolniczych z ciągnika.

•

W rodzinie Tryczyńskich zaszły dalsze zmiany. Rok temu na emeryturę odszedł najstarszy Stefan. Pięćdziesiąty rok stoi przy ślusarskim warsztacie Józef. I on wkrótce pożegna się z zakładem. Za długoletnią, ofiarną pracę w produkcji i w związkach zawodowych został odznaczony m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Bolesław Tryczyński ma jeszcze kilka lat do emerytury, tkwi nadal na ziemiach zachodnich.

Najmłodsze pokolenie reprezentują — syn Bolesława, uczęszczający do technikum mechanicznego i syn Józefa — studiujący w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Lublinie inżynierię sanitarną.

Tak się przedstawia dotychczasowa historia rodziny Tryczyńskich.

Wojewódzki awans Rzeszowa

Dokończenie ze str. 1

środku nowo utworzonej jednostki administracyjnej i miał dogodne połączenia komunikacyjne, co w tamtym okresie przeciążenia kolei transportami wojskowymi oraz braku komunikacji samochodowej miało szczególne znaczenie. WRN i inne urzędy wojewódzkie urzędowały w Rzeszowie, lecz to nie oznaczało wcale, że Rzeszów był stolicą. Dopiero 28 maja 1945 roku Miejska Rada Narodowa wystąpiła z wnioskiem o formalne ustalenie Rzeszowa stolicą nowo powstałego województwa.

Fot. Janusz Mendychowski

Aspiracje stołeczne Rzeszowa nie wszystkim się jednak podobały. Rzeszów, który dopiero przez zaborców austriackich ustanowiony został miastem powiatowym, miał teraz przodować przed znacznie większym Przemyślem, znanym ze swoich starych tradycji historycznych i kulturalnych? A czy Jarosław, Krosno, Sanok, Mielec lub Dębica były gorsze? Rzeszów uzyskał jednak kompromisową akceptację ze względu na swe centralne położenie. Kopciuszkowi nadarzyła się okazja zostania królewną.

Obecny przewodniczący Prezydium MRN, Alfred Żądło, po raz pierwszy ujrzał to miasto w roku 1952, kiedy jako młody oficer został przeniesiony tu z Warszawy. Stanowiło to dla niego awans służbowy, lecz — jak dziś wspomina — sama myśl, że ma tu zamieszkać na dłużej, przeraziła go. Rzeszów był już miastem 40-tysięcznym — tylko jakim? Bez kawałka asfaltu, bez chodników, z drewnianymi ruderami w śródmieściu, jakie dziś widzi się jeszcze w rejonie ulic Czwartaków czy Pułaskiego, bez placówek leczniczych, bez domów kultury i kawiarni. Ale miejscowi działacze chwalili się tym, co już zrobili. I z dumą opowiadali, że nareszcie udaje im się przekonać gospodarzy innych większych miast, iż jeśli na razie nie ma możności zafundowania każdemu jakiejś potrzebnej inwestycji, to należy taką inwestycję ulokować w Rzeszowie, aby służyła całemu województwu.

Proces przekonywania, że w interesie całego województwa leży rozwój Rzeszowa, jeszcze nie dobiegł końca, ale już wyraźnie minął półmetek. Stalowa Wola, Tarnobrzeg, Jarosław, inne miasta i powiaty część swoich budżetów przeznaczają np. na budowę w Rzeszowie domów studenckich, z których korzysta przecież ich młodzież. Działacze tamtejsi zdają sobie zresztą sprawę, że sam Rzeszów ponosi w tej dziedzinie największy trud: w ciągu ostatnich czterech lat wydał na Wyższą Szkołę Inżynierską i Wyższą Szkołę Pedagogiczną 50 milionów złotych z własnego budżetu, nie licząc dotacji centralnych i wojewódzkich.

Czym jest dziś Rzeszów? Ma 83 tys. mieszkańców, z czego 8 proc. to osoby zameldowane czasowo — głównie ucząca się młodzież zamiejscowa. Z 63 tysięcy osób zatrudnionych w mieście, 21 tys. dojeżdża codziennie do pracy. Najwięksi pracodawcy, WSK i „Zelmer" (zakłady produkujące sprzęt elektrotechniczny) zatrudniają łącznie ponad 10 tys. osób i mają szerokie plany rozwojowe. W budowie są Polskie Zakłady Optyczne o zatrudnieniu docelowym około 8—9 tys. osób, nowa fabryka elektrotechniczna w Pogwizdowie i inne mniejsze przedsiębiorstwa. Procent zameldowanych czasowo i dojeżdżających do pracy powiększa się z roku na rok. To już mówi o sytuacji mieszkaniowej. Buduje się wprawdzie dużo: śródmieście otrzymało niemal nowe oblicze architektoniczne, powstało kilka nowych dzielnic. W jednej z nich, w rejonie ul. Marszałkowskiej, mieszka ponad 10 tys. osób. Przy ul. Słowackiego i w rejonie ul. Naruszewicza stoją smukłe wieżowce (z których jeden zresztą pochylił się nieco i specjaliści głowią się teraz, jak go wyprostować) — ale to wszystko mało. Władze zabiegają nie tylko o budowę nowych domów, ale także o poprawę warunków komunalnych: ulepszanie nawierzchni ulic, rozbudowę sieci wodociągowej, kanalizacyjnej i gazowniczej, rozwój komunikacji miejskiej, elektryfikację. Dopiero w roku bieżącym mieszkańcy wielu domów przy ul. Strzelniczej, Pułaskiego, Borcelowskiego, Piotra Skargi i Siemińskiego zamienią lampy naftowe na żarówki.

Władze miejskie staną do nowych wyborów z koniecznością przyznania się wyborcom, że z powodu braku funduszów i mocy przerobowych program budowy ulic, domów i szkół do końca roku 1970 nie zostanie zrealizowany. I tu znów paradoks: Rzeszów rozwija się znacznie szybciej, niż przewidywały wszelkie plany. Zamierzenia inwestycyjne dla miasta — zarówno z budżetu centralnego, wojewódzkiego, jak i miejskiego — przewidywały wydanie w bieżącej pięciolatce półtora miliarda złotych, a już wiadomo, że wyda się 2,4 mld. Tylko że znaczna część sum poszła na inne potrzeby, niż przewidywano pierwotnie. To jest właśnie charakterystyczna cecha awansu do roli stolicy województwa. Po prostu przede wszystkim muszą być zbudowane obiekty o charakterze ogólnowojewódzkim, a później te, które są przeznaczone ściśle dla jego mieszkańców. Dla kogoś, kto od lat czeka na mieszkanie, lub wybrukowanie błotnistej ulicy, po której codziennie chodzi, zwiększanie się liczby łóżek szpitalnych nie jest żadną pociechą. Człowiek chory myśli jednak odwrotnie. Przed wojną w Rzeszowie było 116 łóżek szpitalnych, dziś jest ponad 10 razy tyle.

Są to zresztą sprawy trudne do wyważenia. Istnienie placówek wojewódzkich ma przecież znaczenie miastotwórcze, przyczynia się w jakiś sposób i do uzyskania przez miasto większych kredytów na budownictwo mieszkaniowe. Poza tym nie można rozbudowywać miasta bez troski o jego wszechstronny rozwój. I tak są sprawy palące, których nie można załatwić od ręki. Rzeszów swoje ścieki spuszcza do Wisłoku, a ponieważ miasto tak szybko rośnie, ścieków jest tyle, iż woda w rzece (zatruta wyżej przez Jasło, Krosno i Strzyżów) nie nadaje się do celów pitnych, co przekreśliło plany Łańcuta na budowę ujęcia nad rzeką. Łańcut musi szukać gwałtownie nowego źródła zaopatrzenia w wodę. Rzeszów nie jest w stanie odstąpić mu ani kropli, bo jemu samemu Wisłok już też nie wystarcza, snuje więc plany budowy rurociągu do Sanu.

Przybysz ocenia obce miasto z różnych punktów widzenia. Kierowca — według stanu jezdni i oznakowania ulic, młoda kobieta — po zaopatrzeniu sklepów w modne fatałaszki, amator mocnych wrażeń — na podstawie doświadczeń z restauracji i autopsji nocnego życia. Dla kogoś, kto podróżuje często, obce miasto powinno choć częściowo zastąpić miasto rodzinne. Liczy się więc urok starej i nowej architektury, tętno ruchu ulicznego, możliwość poznania życia kulturalnego oraz kontaktów towarzyskich z ciekawymi ludźmi, wreszcie — miejscowe hotele i miejscowa kuchnia.

Rzeszowianie zapewne zadowoleni są z awansu gospodarczego swego miasta, z poprawy warunków bytowych. Lecz gdy rozmawia się z nimi, podkreślają przede wszystkim awans kulturalny i wielokrotnie większe niż przed wojną możliwości kształcenia się. W nadchodzącej pięciolatce rzeszowska filia Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie ma przekształcić się w samodzielną uczelnię, a filia Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Krakowie zostanie przyłączona jako wydział do jednej z istniejących szkół wyższych. Stanie się więc Rzeszów miastem trzech placówek akademickich. Szkolnictwo średnie rozbudowane jest nieźle, a dzięki działalności WSP można w miarę potrzeby zakładać dalsze szkoły i kadr nauczycielskich nie zabraknie.

Teatr im. Wandy Siemaszkowej, pierwsza w dziejach miasta zawodowa scena dramatyczna, obchodzić będzie jesienią swoje 25-lecie; obchodzić je będzie przy ostrych dyskusjach nad linią repertuarową teatru, prowadzonego przez dyrektora Stanisława Bielińskiego — przy znakomitej frekwencji publiczności. 29-osobowy zespół aktorski nie tylko gra sześć razy w tygodniu na miejscu, lecz jeszcze prawie tyle samo w województwie. Wiceprzewodniczący Prezydium MRN, Marian Jakubowski, zajmujący się problemami gospodarczymi powiedział mi, że marzeniem jego jest budowa budynku teatralnego w dzielnicy Nowe Miasto, w którym występowałby drugi zawodowy teatr. Duże mają apetyty w tym mieście! A przecież jest jeszcze Państwowy Teatr Lalki i Aktora, jest Państwowa Orkiestra Symfoniczna, koncertująca od roku 1946, są biblioteki, ukazują się interesująco redagowane „Nowiny Rzeszowskie", szykujące się do edycji siódmego wydania w tygodniu, jest mutacja „Dziennika Polskiego", wychodzi kwartalnik, a wkrótce miesięcznik społeczno-kulturalny „Profile", działają rozgłośnia radiowa i przedstawicielstwo telewizji. Niedawno uruchomione nowe zakłady graficzne drukują już nowe wydawnictwa dla innych województw.

Przybysz z innego miasta może sobie w sensowny sposób wypełnić wolne wieczory. Gorzej jest z uczestniczeniem w zorganizowanych formach życia towarzyskiego. Dziennikarz, przyjeżdżający do Białegostoku, Kielc czy Lublina, idzie do odpowiedniego klubu, gdzie spotka swoich kolegów po fachu oraz ludzi z innych środowisk twórczych. W Rzeszowie nie ma takiej placówki, integrującej na płaszczyźnie prywatnej środowiska twórcze. W rzeszowskim Domu Sztuki, w którym mieszczą się salony wystawowe i pracownie plastyków, znajduje się też kawiarenka, efektownie umeblowana, ale mała, czynna zaledwie do godz. 18, poza kawą, herbatą i herbatnikami nic nie oferująca. Przeto tam i cicho. Literaci, plastycy i muzycy, dziennikarze czy aktorzy, nie mając stałego punktu kontaktowego, może i nie znają się osobiście. Lecz za to jakie ciekawe wystawy można obejrzeć w tym Domu Sztuki (np. na początku roku — współczesnego malarstwa francuskiego)! Rano przy śniadaniu przeglądam codziennie „Nowiny" i codziennie czytam, że w Domu Sztuki są dwie — trzy wystawy jednocześnie, a do tego czasem i dwa odczyty, dyskusje czy spotkania. Nowy Klub Międzynarodowej Książki i Prasy, piękny, obszerny, też prawie codziennie zaprasza na spotkania, a to ze St. R. Dobrowolskim, a to z W. Kubackim, a to z jakimiś naukowcami z Krakowa czy Warszawy. Podobnie interesujący repertuar ma klub „Turkus" w Wojewódzkim Domu Kultury.

Warto przyjechać do Rzeszowa aby zobaczyć, jak to do niedawna jeszcze zacofane miasteczko galicyjskie staje się stolicą województwa. Bo wciąż jeszcze nią się staje. Z uporem, z trudem, nie bez potknięć. Ale jak wspaniale trzyma się tej swojej szansy.

Romuald Wiśniewski

Podróże

Alina Guzowska

Wygasanie barwy

Nawet nie wiesz
jak długo
tamten kwiat
nie umierał

ile świtów
purpurowił
powolnym rozchylaniem
i zmierzchów ile
zanurzył w puszystość
rozpamiętywania

Nic uronił
żadnego z płatków
postrzępionych
jak słowa
niedokończone
i tak
znieruchomiał
na łodydze
przełamanej wiatrem
oddając czerwień
brunatności

Lublin

Stanisław Stanik

błogosławiona

błogosławionaś ty w smaku
zadając cierpienie
z wysączonych do łupiny soków
z plastrowego miąższu

błogosławionaś ty cytryno
zadając cierpienie
niewyplute dotąd i nigdy

owoc przecięty w połowie
dzielą tylko dalecy

Lublin

Franciszek Ceglak

Z kory

popiół słowa
pełznie z palców

zacina uschniętym gardłem
w ślimaka źrenicy

zrąb spalenizny w rdzeniu światła

z kory odłupany widok
zapowiada na kłęczkach płótno
ziewający epos

z jarmarku wyruszyły
ślepe gwiazdozbiory

Dante przesypuje w dłoniach
skrzypienie osi

Stenlawa

Prasa zakładowa

Życie KFWM

ŻYCIE KFWM, wydawane od 1952 roku, obecnie jest organem samorządu robotniczego Kraśnickiej Fabryki Wyrobów Metalowych im. Mariana Buczka. Ukazuje się co dwa tygodnie w objętości 6 stron formatu A3 w nakładzie 1 500 egz.; drukują je Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN. Do połowy kwietnia br. pismo rozprowadzane było wśród pracowników fabryki bezpłatnie przez oddziałowe rady Zw. Zaw. Obecnie wprowadzono prenumeratę roczną — cena 1 egz. 50 gr.

Pismo redaguje 17-osobowe kolegium (przewodniczącym kolegium jest redaktor naczelny „Życia"), w którego skład wchodzą przedstawiciele organizacji politycznych i społecznych, wydziałów produkcyjnych oraz pracownicy redakcji. Zadaniem kolegium jest opracowywanie ramowych planów pracy dla redakcji. Kolegium wybiera spośród swoich członków prezydium, które zajmuje się redagowaniem pisma na bieżąco. Opiekę polityczną nad pismem sprawuje Egzekutywa Komitetu Zakładowego PZPR, organizacyjno-prawnie „Życie KFWM" podlega dyrektorowi naczelnemu fabryki.

Redakcja zatrudnia 3 pracowników etatowych: — redaktora naczelnego — Stanisława Korczyckiego, sekretarza redakcji — Zbigniewa Wyrostka i st. redaktora — Eugenię Gąskę. Przeszli oni do pracy w redakcji z działów produkcyjnych lub administracji. Wszyscy posiadają niepełne wykształcenie wyższe — dwie osoby humanistyczne, jedna techniczne. Dwie osoby uczą się na zaocznym studium dla dziennikarzy prasy zakładowej, zorganizowanym przez SDP.

Pracownicy redakcji pod względem organizacyjno-prawnym podlegają Działowi Informacyjno-Prasowemu fabryki, którego kierownikiem jest redaktor naczelny gazety zakładowej. W ramach działu pracuje rozgłośnia zakładowa, którą prowadzi st. red. Andrzej Ciba. Istnieje ścisły związek, nie tylko organizacyjny, między redakcją i rozgłośnią; (ta ostatnia nie jest w stanie dobrze spełniać swoich zadań propagandowych ze względu na bardzo złe, przestarzałe wyposażenie techniczne. Kierownictwo zakładu czyni usilne starania o zmianę tego stanu rzeczy, zlecono opracowanie dokumentacji technicznej na prawidłową, nowoczesną radiofonizację zakładu, ale brak środków finansowych na ten cel).

„Życie KFWM" w swych publikacjach stara się uwzględnić wszystkie problemy dotyczące zarówno produkcji jak i spraw bytowych załogi. Wiele miejsca poświęca bezpieczeństwu pracy. (Seria artykułów na temat wypadków przy pracy m. in. przyczyniła się do zmniejszenia ich liczby z 23 w styczniu br. do 5 w lutym br.). Biorąc pod uwagę fakt, że Kraśnik Fabryczny zamieszkują w przeważającej mierze pracownicy fabryki, w każdym numerze pisma zamieszczane są materiały na temat zaopatrzenia, komunikacji i innych żywotnych spraw miasta. Podobne publikacje dotyczą okolicznych miejscowości, z których dojeżdżają do pracy robotnicy KFWM.

Pismo bierze udział we wszystkich konkursach i akcjach organizowanych przez CRZZ. W cyklu „Ludzie — lata — przemiany" na temat dorobku 25 lat Polski Ludowej pokazuje najlepszych pracowników zakładu.

Redaktorzy „Życia KFWM" organizują spotkania środowiskowe w zakładzie pracy. Mają one na celu wysondowanie opinii na temat pisma, zorientowanie się, czego czytelnicy oczekują od swojej gazety, oraz znalezienie korespondentów — współpracowników.

„Życie KFWM" odznaczone zostało złotą odznaką Związku Zawodowego Metalowców.

A. K.

Kamena str. 4

Lubelska Łódź

przedwyborcze

Jerzy Dostatni

Portret człowieka

PANIE inżynierze! Panie inżynierzeee!!! Świdrujący natarczywością głos doganiał mnie gdzieś z samego brzeżku dachu, ledwo widocznego przez zasłonę śniegu przesłaniającą świat już od wczesnego ranka.

— Nie do mnie przecież — pomyślałem sobie, skacząc z deski na cegłę, z cegły na kawałek rury, a gdy już w zasięgu nóg zabrakło jakiegoś twardego przedmiotu, brnąłem odważnie przez kałuże.

Dopadł mnie we wnętrzu nie wykończonej jeszcze hali. Kilka otworów w dachu, opartym na kilkunastometrowych szedach, z trudem rozjaśniało mrok. Chwycił od tyłu za rękaw i zasapany powtórzył:

— Pa-nie in-ży-nie-rze...

— Nie jestem inżynierem!

Zajrzał niedowierzająco pod rondo mojego kapelusza. Z jego długiej, łagodnie zaostrzonej i dokładnie wygolonej twarzy ciurkiem spływały strużki stopionego śniegu, zmieszane z kroplami potu. Z ubioru dwie rzeczy rzucały się w oczy: maleńki, niegdyś granatowy berecik i długa, bardzo obszerna kapota — coś pośredniego między kurtką i staromodnym płaszczem — uszyta z nieprzemakalnego płótna, upstrzona śladami błota, cementu i wszelkiego koloru farb.

Wyjaśniliśmy sobie uprzejmie, że zaszła pomyłka co do mojej osoby, w związku z czym nie jest konieczne, abym się drapał na dach. Dla odmiany znaleźliśmy się w małym pokoiku, który on — majster Jan Okseniuk — nazywał pakamerą, ja — jego biurem. Dwa stoliki z nieheblowanych desek były zawalone rysunkami technicznymi, blankietami jakichś sprawozdań i kwitariuszy, jedyne krzesełko do końca pozostało puste. W jednej skrzynce pod ścianą kilkadziesiąt kluczy, w drugiej gwoździe, w trzeciej jeszcze coś. I to wszystko.

Pogmatwane i chwilami zaskakujące było życie Okseniuka. Przedwojenny podoficer, nauczył się czytania i kreślenia dokumentacji technicznej od podchorążych powoływanych na ćwiczenia do twierdzy w Modlinie. Po wojnie przez trzy lata był burmistrzem w Janowie Podlaskim, podkomisarzem ziemskim w Białej Podlaskiej, wreszcie po jakimś kursie wiceprzewodniczącym PKPG w tejże Białej.

— Panie, wtedy władza rzeczywiście leżała na ulicy i kto chciał uczciwie pracować, mógł awansować co miesiąc. Ale mnie nie o władzę chodziło. W czasie urlopu trochę dla odpoczynku po pracy umysłowej, trochę, aby więcej zarobić, poszedłem jako majster na budowę. Tam doszli do wniosku, że umiem organizować pracę, więc zaproponowano mi, abym pracował jako majster w terenie. Załatwiłem w Białej zwolnienie i pojechałem.

Przed kilku laty, jak wielu innych dobrych fachowców, Okseniuk wraz z warszawskim przedsiębiorstwem „Hydrobudowa 6" stał się budowniczym puławskich Azotów, za co otrzymał Złoty Krzyż Zasługi.

— Ale nieszczęścia chodzą po ludziach — ciągnie. — Zachorował mi najpierw syn, potem żona, nauczycielka. Równocześnie przyszła propozycja wyjazdu na roboty zagraniczne, finansowo bardzo nęcąca. Wróciłem do domu, do Białej. Nie chcieli mnie zwolnić, dali tylko urlop na dwa lata, kierownik Wyszyński do dzisiaj namawia mnie w listach, abym wrócił. Żona wyzdrowiała i pracuje teraz w Powiatowym Domu Kultury, ale syn choruje nadal, zresztą za dziesięć miesięcy idę na emeryturę i nie warto zaczynać nowego rozdziału.

Byłem już uczulony na barwę jego głosu i zastanowiło mnie, że o tej emeryturze mówi bez żalu, jakoś bardzo naturalnie.

— Nie żal będzie panu odejść?

— A nie. Coś się przecież w tym życiu zrobiło. A najważniejsze, że wykształciłem dzieci. Panie, czy przedwojennego podoficera byłoby stać na to, aby czwórce dać wyższe wykształcenie? Co roku przez sześć miesięcy musiałbym pracować na samo czesne, a gdzie wydatki na ich życie i utrzymanie, nie mówiąc o sobie samym i żonie?

Sylwetka pierwsza

Mieczysław Pomorski urodził się w Wojciechowie pod Bełżycami. Ukończył szkołę tkacką w Łodzi, ale brak mieszkań w tym dopiero zaczynającym się rozbudowywać mieście zapędził go aż do Zagania. Tam ożenił się z tkaczką, krajanką z Wojciechowa. Posuwał się normalnie po drabinie awansów, gdy doszła go wieść, że w Białej Podlaskiej budują się duże zakłady przemysłu wełnianego.

— Wie pan, zawsze bliżej stron rodzinnych. Przyjeżdżałem tu zawsze na urlopy, to było mało. Zanim zacznę pracować w fabryce, prowadzę przyzakładową Zasadniczą Szkołę Włókienniczą. Mamy 274 dziewczęta i 32 chłopców, nauka trwa dwa lata. Właśnie dostaliśmy dwie maszyny tkackie, takie same, jakie będą w fabryce. Na starych robimy już koce, a także wątki dla fabryki w Fastach pod Białymstokiem.

— Chyba pan stracił finansowo na tym awansie na kierownika szkoły? Dobry tkacz zarabia przecież lepiej.

— Rzeczywiście lepiej — przyznaje. — Ale młodych też trzeba uczyć. A ponadto tu część produkcji pójdzie na eksport, będzie więc dodatkowa premia i jakoś sobie odbiję. Lada tydzień dostanę mieszkanie w nowym bloku, ale żona z dziećmi przyjedzie dopiero po zakończeniu roku szkolnego. Syn akurat skończy technikum włókiennicze, córka dokończy je w Białymstoku. Cała rodzina będzie pracowała w jednej fabryce. A poza tym tu zdrowsze dla nas powietrze i tańsze owoce.

Zespół nr 1

— Teraz na pochwałę to chyba nie zasługuję, może dziesięć lat temu, gdy było się młodszym — powiada brygadzista Stanisław Tatus.

Brygada Tatusa obrosła już niemal legendą. W niezmienionym prawie składzie istnieje od 16 lat, większość to mieszkańcy pobliskiego Chotyłowa. Pracowali w cegielniach, budowali mosty, stację przeładunkową w Małaszewiczach...

— Gdzie jest do zrobienia coś szczególnie trudnego lub pilnego, posyłam brygadę Tatusa. Niemal jak w operze: Tatus tu, Tatus tam — powiada kierownik budowy Józef Wąchała.

— Początkowo to się nawet na nich irytowałem, że wolno pracują — wyznaje naczelny inżynier Janusz Bem. — Ale to tak wygląda pozornie. W rzeczywistości mają wszystko przemyślane z góry, pracują systematycznie, nigdy nie muszą niczego poprawiać.

A zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych Henryk Czarkowski dodaje:

— Pochodzę z tej samej wsi, co Tatus, znamy się od dziecka. Ma złote ręce i w głowie chyba mózg elektronowy, zaprogramowany do rozwiązywania spraw organizacyjnych. Dosłownie cieszy się z życia, gdy patrzy, jak rośnie budowa. Ja ukończyłem najpierw technikum wieczorowe, potem studia wyższe, on zawsze wolał bezpośrednią robotę.

Sylwetka druga

Poznałem ją na tej samej budowie równo przed rokiem. Właśnie rozpoczynała staż po ukończeniu technikum chemicznego w Piastowie. Miała inne plany, ale okoliczności rodzinne spowodowały, że wróciła do Białej. Wtedy bardzo przestraszona patrzyła na kręcące się żurawie, warczące betoniarki i prychające spychacze. Dziś jest jedyną laborantką w przedsiębiorstwie budowlanym, bada wytrzymałość materiałów, przygotowuje recepty na betony i zaprawy zależnie od tego, jaką mają mieć wytrzymałość. Wyszła za młodego technika na tej samej budowie.

— Czuję się na budowie jak u siebie w domu — powiada. — Ale nie jestem zadowolona z obecnej pracy, po prostu mam jej zbyt mało. No i chyba moje wiadomości jako chemiczki nie mogą tu być w pełni wykorzystane. Gdy fabryka ruszy, przeniosę się do jej laboratorium, będzie więcej pracy. I ciekawsza.

Zespół nr 2

Jest ich na popołudniowych zajęciach około trzydziestu; dziewczęta w wieku 15—16 lat. Znaczna większość pochodzi z wiosek powiatu bialskiego, a Biała w swoim dzisiejszym kształcie stanowi dla nich duże miasto. Ich życiorysy ograniczają się jeszcze do trzech rubryk: urodziłam się w... mój ojciec jest chłopem, szkołę podstawową ukończyłam w roku... Dalsze karty zapiszą dopiero w fabryce, którą — jak wszyscy — nazywają „Wełna".

Nikt im nie powiedział, że przed wojną za naukę musiałyby płacić, będąc zarazem popychadłem majstra i panną do wszystkiego u majstrowej. Tutaj na pierwszym roku otrzymują 200 złotych miesięcznie, na drugim 370 złotych. Już się oswoiły z maszynami, umieją zakładać motki, wiązać zerwane nitki, zakładać czółenka...

Pytają zbiorowo, odpowiadają razem. Chyba utrzymają ten zgrany kolektyw przez następne lata. Jeszcze nie zdają sobie sprawy, że będą pionierkami nowej gałęzi przemysłu w Białej. A przecież to do nich należy przyszłość, one i ich koleżanki — będzie ich razem dwa tysiące — nadadzą koloryt miastu, zapełnią nowe mieszkania, wypełnią gwarem kina, sklepy i kawiarnie.

Instruktor Ludwik Rytter, który przyjechał ze Złocienia, uśmiecha się wyrozumiale. I powiada mi na ucho: przeciętna tkaczka zarobi dwa tysiące miesięcznie, dobra — do trzech.

Sylwetka trzecia

Zobaczyłem go też na dachu. W ogóle dach jest na budowie pewnego rodzaju obsesją. W większości zdążono go położyć przed zimą, teraz trzeba wykończyć, aby w halach można było zacząć montaż maszyn, a także wielu wrażliwych instalacji. Maszyny i części tych instalacji stoją już w pakach, troskliwie nakryte papą. Ale czasem z boku zacina śnieg lub deszcz, więc trzeba się spieszyć.

Majster Antoni Starzyński miał być chłopem, dziedzicząc po ojcu 15 ha na przedmieściu Białej. Póki co, wyuczył się stolarki i tuż po wyzwoleniu zgłosił się do wrocławskiego Pafawagu, otrzymując legitymację opatrzoną kolejnym numerem 35. Był jednym z twórców pierwszego wagonu kolejowego, który pojechał na Wystawę Ziem Odzyskanych.

Odziedziczoną po ojcu ziemię — szczere piaski — sprzedał. Część poszła pod tory kolejowe, część właśnie pod „Wełnę". Chodzi po swojej dawnej ziemi i cieszy się, że piaski komuś się przydały. Zbudował sobie domek, kształci trzy córki i jest fachowcem jakich szukać z reflektorem. W czarnym, długim płaszczu uwija się raz na dachu, raz pod stemplami, to znowu koło rusztowań. Powiada:

— Ludzi nie jest łatwo ustawić do roboty. Każdy przecież ma swoje przekonanie, no i charakter. Trzeba to wszystko zegrać, ułagodzić lub podbechtać ambicję i wtedy robota będzie na cacy.

Zespół nr 3

Kolorystyka zewnętrzna kilkupiętrowego budynku na brzegu lasku, zwanego hotelem robotniczym, jest okropna — ceglasto-pomarańczowo-żółta. Ale wewnątrz niemal luksus na poziomie hoteli miejskich I kategorii. W pierwszych dniach wyglądało strasznie. Przychodzili z budowy w zabłoconych butach i rzucali się na tapczany w kufajkach. Kilkanaście rozmów ogólnych i indywidualnych oraz dwie kary porządkowe zmieniły dużo.

Przełomowym momentem był podobno dzień, w którym zginęła główka od adapteru. Dla przedsiębiorstwa zakup nowej to drobiazg — ale nie o to chodziło. Na zebranie mieszkańcy przyszli niechętnie, odpowiadali burkliwie kolejno: to nie ja. W pewnej chwili jeden z nich rzucił kierowniczce w twarz złotówką, dodając: dajcie, chłopaki, niech będzie nasza strata.

Wtedy jeden z zastępców dyrektora wyjął z kieszeni całą garść monet i zapytał: — A gdybym ja teraz rzucił to w twarz panu?

Skończyło się na przeprosinach. Od tego czasu w hotelu panuje idealny porządek i czystość. Telewizor, adapter, książki, gry — nic nie ginie, nic się nadmiernie nie niszczy. Gdy przyszedłem wieczorem, spojrzeli na mnie z wyrzutem, że wytarłem buty na trzech wycieraczkach, podczas gdy u wejścia leżało ich pięć.

Sylwetka czwarta

Była już późna noc, gdy zapukał — mieliśmy spać w jednym pokoju owego hotelu. Uśmiechnięty, zadowolony ze wszystkiego, bardzo rozmowny. Inż. Józef Czarnecki jest synem chłopa i łódzkiej tkaczki. Kierował w Łodzi różnymi wydziałami wielkich fabryk przemysłu wełnianego. Kiedyś, gdy z Indii nadeszło zamówienie na szczególnie miękki i elastyczny welwet, przez dwie doby nie odchodził od maszyny, którą osobiście czyścił, przestawiał i ulepszał. Wyszła sama prima.

W Białej będzie kierował montażem maszyn. Potem na każdej z nich wykona pierwszy metr materiału i pojedzie do kolejno uruchamianej fabryki. Ale zanim to nastąpi, wyszkoli kilku, może kilkunastu fachowców, którzy po nim obejmą pieczę nad maszynami. Przy okazji wysłuchuję długiego wykładu, że tylko laicy mówią, iż w fabrykach włókienniczych są krosna. Krosna to stare, ręczne maszyny, symbol czasów, które minęły i nie wrócą. Dziś są tylko maszyny tkackie, m a s z y n y...

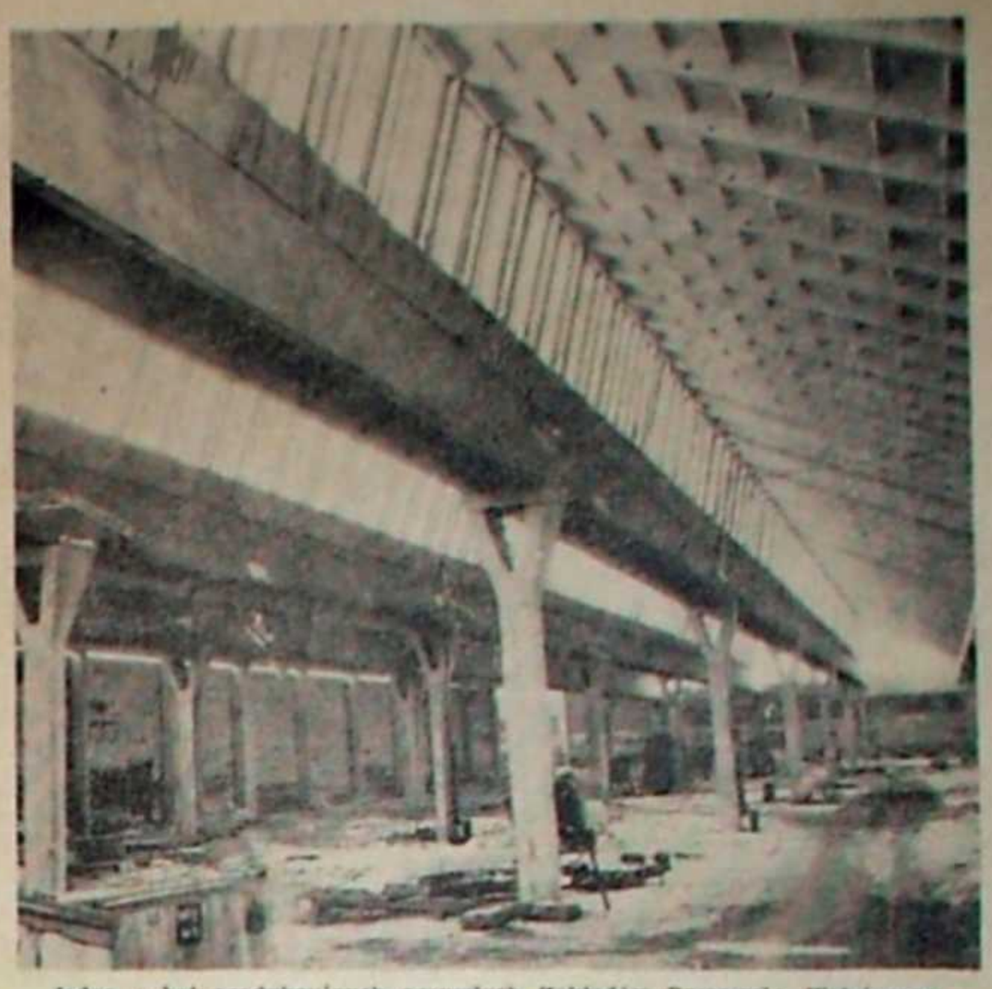

Jedna z hal produkcyjnych przyszłych Zakładów Przemysłu Wełnianego w Białej Podlaskiej.

CAF — M. Targoński

Panorama miasta

Od śródmieścia do placu budowy jest całe 5 km. Po wojnie stał tu jeden cały i jeden spalony budyneczek. Ulica Sidorska otrzymała asfalt i została zabudowana z obu stron. Chyba nie najszczęśliwiej, bo życie pchało się tu szybciej niż plany.

Budowa „Wełny" trwa niecałe dwa lata, ale pochłonęła już coś koło stu milionów złotych. Prowadzi ją Bialskie Przedsiębiorstwo Budowlane, wtedy jedno z najmniejszych w województwie. Gdy świeżo mianowany dyrektor, inż. Józef Ożarko, z wyliczeniami i planami w ręku zaczął objeżdżać wszelkie możliwe władze prosząc, domagając się, a nawet — zależnie od okoliczności — żądając, aby prowadzenie tej wielkiej budowy powierzono BPB, wielu ludzi wzruszało ramionami. Kto widział, aby j a k i e ś t a m przedsiębiorstwo powiatowe prowadziło budowę, która będzie kosztowała równo pół miliarda złotych.

Ambicje powiatu? — dziwiono się dyrektorowi i popierającym go przedstawicielom władz miejscowych. — Cieszcie się, że dostaniecie gotowe. — A my nie chcemy gotowego, zrobimy sami — odpowiadali.

I robią bez najmniejszych opóźnień. Wygląda na to, że będzie to pierwszy w przemyśle lekkim wielki obiekt oddany w pierwotnym, rzeczywiście na samym początku zaplanowanym terminie. I najlepiej wykonany. Zebrali się na budowie ludzie różni — miejscowi, z powiatu, z Puław, Wrocławia, Dęby... Niby mieszanina charakterów, doświadczeń życiowych i zawodowych, a przecież tworzący coraz bardziej spójną, coraz bardziej rozumiejącą się załogę. Właśnie jutro będą dzielić kolejny fundusz zakładowy — ponad milion złotych na pięciuset uprawnionych. Nikt im tego za darmo nie podarował.

W samej Białej Podlaskiej zmiany jeszcze niewielkie. Powstały wprawdzie dwa nowe osiedla mieszkaniowe, czynem społecznym zbudowano piękną Aleję Tysiąclecia, kilka mniejszych obiektów przemysłowych, szkół itd. Ale to normalny rozwój każdego miasta.

Półmiliardowa „Wełna" to duża przyszłość Białej Podlaskiej. Nie koniec na tym. Po drugiej stronie ulicy każdego tygodnia zacznie się budowa fabryki mebli, w przyszłym roku fabryki części zamiennych dla całego przemysłu wełnianego. Powstanie tu wielki kompleks przemysłowy, wokół którego wyrosną z kolei nowe osiedla mieszkaniowe, nowe ulice i place, szkoły, budynki użyteczności publicznej, pawilony handlowe i usługowe. Nad Krzną, która oddziela samotną jeszcze budowę od miasta, może powstać pas zieleni, łączący obie części Białej — starą i nową.

A w innym punkcie miasta trwa budowa gmachów dla Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Już w tym roku przyjmie ona pierwszych studentów, jeszcze w trochę prowizorycznych warunkach. W niedalekiej przyszłości będzie ich przynajmniej pół tysiąca we własnych, wygodnych pomieszczeniach do nauki, mieszkania i odpoczynku. Pierwsza wyższa uczelnia na Lubelszczyźnie poza miastem wojewódzkim.

W ciągu minionego ćwierćwiecza wiele miast i osiedli woj. lubelskiego zrobiło prawdziwą karierę: Świdnik, Kraśnik, Rejowiec, Chełm, Biłgoraj, Bodaczów, Milejów, Poniatowa, Puławy. Robią karierę Zamość, Krasnystaw, Tomaszów, Włodawa, rozpoczyna ją Biała Podlaska. Lubelska Łódź!

Elżbieta Warchałowska

❀ ❀ ❀

wkrótce
przyjdzie chwila sporu ptaków z powietrzem

rozkwitną po raz setny drzewa

przyroda w burzy będzie się kłócić z wiatrem
a przylaszczki
zapłoną do wiosny

wtedy nad nami zawiśnie chmura ciszy
w którą zaplecie się długość przelatujących żurawi

a zdradliwe rzeki
wypłyną na zielone pola

Kraków

Andrzej Sowiar

❀ ❀ ❀

Przedzierałem się przez knieje w nocy
do krainy wielkiego słońca

Jestem marzeniem ślepych gwiazd
mówiłem ptakom — kamieniom

przyszedłem w zielone drzewo zagrabić
opadłe liście. I gliniany kręgosłup

bałem się zgiąć po zranione słowo.

Kielce

Teatr wiosenny

Maria Bechczyc-Rudnicka

JUŻ po raz czwarty witają lubelscy przyjaciele współczesnego teatru Studencką Wiosnę Teatralną, zachowując w sercu żywą wdzięczność dla Rady Okręgowej ZSP oraz Akademickiego Teatru UMCS „Gong 2", inicjatorów i organizatorów pięknej imprezy. A satysfakcja nasza z biegiem czasu zyskała na jakości.

Początkowo bowiem stosunek do przedsięwzięcia był dość płytko ambicjonalny — że niby Lublin, który nie zdobył się dotychczas na spotkanie teatrów zawodowych w skali większej połaci kraju, że ten Lublin ma nareszcie swój festiwal teatralny, niech studencki, brawo, przynajmniej na pewno współczesny.

Potem cieszono się w Lublinie, że to, co zakiełkowało nieśmiało w 1966 r., nie tylko nie uschło w roku następnym z braku pielęgnacji finansowej, ale nawet okrzepło najwidoczniej, skoro w r. ub. III SWT, opóźniona na skutek marcowych kłopotów, ozdobiła jednak jesienią szare życie teatralne miasta.

I w końcu sprawa nabiera większej powagi. Teraz lubelski przyjaciel teatru cieszy się już z wysokiego poziomu swojej SWT, z jej dobrej sławy i z tego, że może na własnym gruncie zobaczyć od czasu do czasu wybitną sztukę współczesnego polskiego poety, spektakl świeży, śmiały, eksperymentalny, jeśli oparty na wypróbowanych wzorach, to najnowszych, godnych poznania.

Nie chcę mówić złośliwości pod adresem zawodowej sceny dramatycznej, znamy doskonale trudności teatrów wojewódzkich — plan finansowy, objazdy, normy etc., etc., lecz fakt pozostaje faktem: teatr wojewódzki, który nie podejmie ryzyka prowadzenia drugiej sceny i nie wyważy należycie zestawu pozycji repertuarowych, odda siłą rzeczy rolę wiodącą w sztuce współczesnej — teatrzykom studenckim, a nawet „Estradzie" w chwili, gdy owo przedsiębiorstwo imprez zafunduje dla honoru domu teatrofilom festiwal przednich monodramów współczesnych z udziałem koryfeuszy scen polskich.

W tegorocznej, IV Studenckiej Wiośnie Teatralnej wzięło udział jedenaście teatrów, dając w sumie szesnaście spektakli w szczelnie zapełnionej sali Chatki Żaka. Przybyły zespoły z różnych stron Polski: ze Szczecina, Gliwic, Poznania, Torunia, Krakowa (aż dwa), Łodzi, Częstochowy. Lublin reprezentowały: „Gong 2", „Dren 59" i Teatr KUL. Przyjemnie jest stwierdzić wierność, jakiej dochowuje lubelskiej SWT większość tych teatrów. Pozwala to śledzić ich rozwój.

Odpadły w tym roku tylko: „Teatr Leniwego Widza" z Opola, rzeszowski „Symbol", białostockie „Kontrasty" i „Skamp" — może zrażone krytycznymi uwagami jury, zresztą sformułowanymi bardzo oględnie. Odpadły i warszawskie „Hybrydy", które na I SWT przywiozły niezbyt trafnie zestawiony program. Miejmy jednak nadzieję, że na przyszłą Wiosnę uda się jej dzielnym organizatorom skaptować również warszawskie teatry studenckie — pamiętamy interesujące inscenizacje, z jakimi wystąpił w r. 1967 „Centon 2", pokazując jednoaktówkę Saroyana „Jest tam kto?" i „Opowiadanie o ZOO" Edwarda Albee.

Skoro już jesteśmy przy pozycjach repertuarowych, to trzeba od razu zaznaczyć, że prezentujące się u nas ST stosują coraz bardziej racjonalną „politykę repertuarową", poszukując wartościowego tworzywa — na miarę swych dyspozycji i warunków. Może w jednym tylko wypadku Teatru STUŁ z Łodzi należy uważać za niefortunny pomysł inscenizację hermetycznej poezji Tadeusza Micińskiego. Przekracza ona możliwości zespołu amatorskiego (a chyba i niejednego zawodowego).

Można by też mieć pewne zastrzeżenia w stosunku do spektaklu pozakonkursowego ST ARGOS z Torunia „Oto Ameryka" wg Arta Buchwalda, spektaklu słusznego w intencji, lecz upraszczającego sprawę. Co do drugiej inscenizacji toruńczyków, zatytułowanej „Karabiny", to nie wydaje mi się, by mariaż pani Carrar z Arturem Ui był szczęśliwy.

Raczej nie należało oczekiwać, iż brechtowski „efekt obcości" da najlepsze efekty w pracy amatorów, którzy niecałe dwa lata temu przegrupowali się tworząc jeden zespół z dwóch poprzednio istniejących: Estrady Poezji i Studenckiego Teatru Prób, „wychowanego", zdaje się, na poetyce Witkacego (u nas pokazał Teatr Prób właśnie dwa lata temu „Pragmatystów", spektakl dość rozkojarzony). Tak czy inaczej osobiste „przeżywanie" pani Carrar zwyciężyło i sympatyczna wykonawczyni tej roli, Renata Kretówna otrzymała nagrodę indywidualną.

Nagrodę główną, Medal IV Studenckiej Wiosny Teatralnej, przyznano ex aequo dwom zespołom: Teatrowi „Studio Miniatur" ze Szczecina za spektakl „Orfeusz" oraz Akademickiemu Teatrowi UMCS „Gong 2" za spektakl „Trismus".

O „Gongu 2", jako o gospodarzu — na końcu, tymczasem para słów zachwytu o „Orfeuszu". „Studio Miniatur" w ogóle celuje w widowiskach pantomimicznych. Dwa lata temu pokazał ów Teatr Pantomimy bardzo udatny spektakl pt. „Parasol", w zeszłym roku utalentowana grupa, z entuzjastą Andrzejem Zubczewskim na czele, zaprodukowała estetyczne i czytelne widowisko „Alarm", a teraz oto widzimy osiągnięcie szczytowe, które mogłoby się znaleźć w czołówce produkcji Festiwalu Festiwali czyli najlepszych w skali światowej studenckich kreacji teatralnych. Scenarzysta, scenograf i reżyser widowiska, Maksymilian Szoc, zawarł humanistyczne treści mitu o Orfeuszu w formie o wyjątkowym pięknie. Jest to spektakl nie poddający się opisowi, trzeba przeżyć osobiście to nieustające przepływanie surrealistycznych struktur w zmiennym świetle (ciekawa propozycja rozwiązania problemu ruchu w plastyce). Muzyka, zmagania się Orfeusza w jasnym kręgu, tekst percepowany fonetycznie jako służebny element kompozycji — wszystko składało się na wzniosłą poezję widowiska.

Akademicki Teatr UMCS „Gong 2". „Trismus" Stanisława Grochowiaka.

Z tym amore sacro kontrastował jaskrawo amore profano zademonstrowany przez krakowski Teatr STU, który inscenizował sztuczkę Pabla Picassa pod sensacyjnym tytułem „Pożądanie schwytane za ogon". Drobiazg ów z lekka zaszokował co solidniejszych widzów. W czytaniu rzecz wydaje się całkiem niedorzeczna (wydrukował ją dwa lata temu „Dialog" chyba jako ciekawostkę), a quasi poetycki jej język przypomina manieryczną mowę Molierowych „Zabawnych wytworniś". Atoli Mieczysław Bibrowski w tymże numerze „Dialogu", w interesującym artykule „Picasso — dramatopisarz", informując, że utwór został napisany w 1940 r., przychodzi do wniosku, iż nie był to „mało wybredny żarcik sceniczny na temat kopulacji na scenie, ale przede wszystkim utwór o wielkim lęku związanym z początkiem okupacji i o przezwyciężaniu tego lęku". W poszukiwaniu genezy utworu Bibrowski sięga do kanonów surrealizmu i, choć jego ciekawe wywody nie dodają sztuczce Picassa istotnego waloru artystycznego, nie widzę nic zdrożnego w prezentacji „Pożądania" na festiwalu studenckim, zwłaszcza że adaptacja Krzysztofa Jasińskiego znacznie ulepszyła tekst. Spektakl jest żywy, kotłowanina na łóżku arcyzabawna, przy odrobinie poczucia humoru nie odbiera się tego jako pornografii. Wolno nawet dopatrzyć się tu celnej satyry na współczesne „ubawy". Ostatecznie amatorzy paraboli mogą też być usatysfakcjonowani. Jury przyznało K. Jasińskiemu nagrodę za pracę z zespołem (systematyczne ćwiczenia, poza próbami, w zakresie dykcji i ruchu).

Pełne humoru było również przedstawienie krakowskiego Teatru 38, który opracował „Żywot Łazika z Tormesu" Antonima z XVI w. Łazik, żarłoczny i psotny przewodnik ślepego żebraka, sługa księdza, następnie biednego hidalga, wreszcie woźny magistracki, budził na widowni śmiech homeryczny, co chyba nie kolidowało specjalnie z wnikliwym komentarzem w programie teatru, który chce „ten świat osądzać". Toteż nagrodzono zespół nie tylko oklaskami, ale i nagrodami rzeczowymi.

Dobrze się stało, że w repertuarze Studenckiej Wiosny Teatralnej znalazły się sztuki Różewicza i Brylla. Mówię — dobrze, ze względu na wielką wagę społeczno-politycznych problemów moralnych, które obaj poeci podejmują z całą odpowiedzialnością.

Treści „Rzeczy Listopadowej" przekazał w sposób przejmujący Studencki Teatr „Gliwice", który w zeszłym roku wyróżnił się przepiękną adaptacją „Wiosny" Brunona Schulza. I tym razem, mimo że reżyserzy E. Mołek i Jan Skotnicki pracowali z zespołem zupełnie nowym, spektakl był bardzo spójny, a scenografia Romana Nowotarskiego (pomysłowo np. pogłębił on perspektywę) oraz tło muzyczne Jerzego Matuli — były w harmonii z poetyką sztuki.

Z dwóch spektakli „różewiczowskich" lepiej wypadła „Kartoteka" w wykonaniu Teatru „Szkodagadać", powstałego przy Politechnice Częstochowskiej dopiero rok temu. Reżyserowi przedstawienia, G. Lewandowskiemu, istotnie udało się wytworzyć wrażenie, jak by „przez pokój bohatera przechodziła ulica". Adaptacji „Mojej córeczki" w Teatrze STU może zaszkodziły niezbyt udatnie poczynione skróty.

Nader trudne zadanie miał Lech Raczak, adaptator i reżyser „Dumy o hetmanie" w „Teatrze ósmego dnia" z Poznania. Udało mu się jednak, mimo swobodnego potraktowania tekstu, zachować wierność wymowie ideowej mitoburczego dzieła.

Na zakończenie — Lublin.

Teatr Akademicki KUL opracował opowieść pt. „Tak jako trza..." wg noweli Stanisława Witkiewicza „Zośka Galicka". Rzecz, powiedziało by się — o laickiej świętej. Nawiasem mówiąc, kojarzy mi się ta dziewczyna góralska z bohaterem „Idioty" Dostojewskiego. Trudność koncepcji inscenizacyjnej polegała na przydzieleniu narracji wszystkim występującym osobom, tak że były one jednocześnie dramatis personae i narratorami. Jury przyznało Annie Klimalance nagrodę indywidualną za rolę Zośki.

Studencki Teatr „Dren 59", istniejący już ponad dziesięć lat, ma w dorobku blisko dwadzieścia pozycji. Pamiętam szczególnie dobrze świetne przedstawienie „Pluskwy" Majakowskiego, ze studentem Piotrem Suchorą w roli głównej, obecnie aktorem Teatru Osterwy. Na I SWT „Dren 59" otrzymał III nagrodę za montaż poezji Różewicza, pt. „Próba rekonstrukcji". Obecnie, niestety, dość trywialny program kabaretowy, zatytułowany „Moje pisemko", nie przyniósł sukcesu zasłużonemu teatrowi Akademii Medycznej w Lublinie. Teatr widocznie przechodzi kryzys.

Chlubą Lublina jest Akademicki Teatr UMCS „Gong 2", który, działając pod wieloletnim kierownictwem Andrzeja Rozhina, wysunął się ostatnio do ogólnopolskiej czołówki teatrów studenckich, dzięki takim wybitnym spektaklom, jak „Pieśni i songi pana Brechta", „Elżbieta Bam", „Dialog na Święto Narodzenia", „Testament" wg „Wielkiego testamentu" Villona.

Adaptacja mikropowieści Grochowiaka „Trismus", realizowana w konwencji koszmaru, odtwarza z wielką siłą sugestywną grozę i nonsens okrutnych lat okupacji. Muszę się przyznać, że spektakl Rozhina wywarł na mnie większe wrażenie niż zbytnio skameralizowana interpretacja krakowska (Ryszarda Smożewskiego). Wydaje się, iż Andrzej Rozhin zastosował do „Trismusa" właściwą formułę inscenizacyjną posługując się metodą zbliżoną do eksperymentów Grotowskiego. Lubelski reżyser uwydatnia, wyolbrzymia, uniwersalizuje dramat Hansa i Nelly przydając mu jako tło wielopostaciowego narratora, rozhisteryzowanego, miotającego się i bełkocącego nieprzytomnie — koncepcja wywodząca się z teatru absurdu. Organicznym komponentem przedstawienia jest scenografia Elżbiety i Leona Barańskich, z gruntu awangardowa, osiągająca poziom opraw scenicznych w najlepszych polskich teatrach zawodowych. Potęguje też nastrój ilustracja muzyczna Stanisława Pawluka, który wykorzystał muzykę Wagnera, Liszta, Beethovena.

Z uwagi na doniosłe znaczenie Studenckiej Wiosny Teatralnej dla życia kulturalnego Lublina, przewodniczący PWRN, mgr Paweł Dąbek, objął protektorat nad tą imprezą o zasięgu ogólnopolskim.

Aldo Palazzeschi

Zegar

Na ścianie mego sypialnego pokoju
wisi od łóżka strony
stary zegar;
jeden z zegarów starego pokroju
z łańcuchem obciążonym.
Czasem ciężarek podciągałem
tak sobie, dla zabawy
nie zdając sobie sprawy,
czy zegar, kiedy stał, mnie irytował bardziej,
czy kiedy chodził niemrawy.
Lecz od jakiegoś czasu
zegar już nie chodzi.
Patrzyłem zawsze na niego zjadliwie
wróżąc mu koniec
za jego bełkot złośliwy,
bardzo żałosny koniec.

Wy wszyscy
macie przy sobie zegarek
i nie wiecie
tego, co on wie,
on wszystko wam pokaże
i nigdy wam tego nie powie.
Patrzyłem na niego myśląc:
Zegarze, ty wiesz wszystko,
wiesz wszystko o mnie, powiedz kiedy umrę.

O drugiej? Piątej? Czy o trzeciej?
Po trzeciej jedna czy też dwie minuty?
O Boże, czułem, że umieram
przez wszystkie te minuty.
Pod tym przeklętym zegarem
z gniewu, z wściekłości szalałem,
wszystko, co wpadło mi w ręce,
w niego ciskałem.
Obelgi, błoto, plwociny,
buty i kałamarze!
Aż się zatrzymał:
stanął na szóstej.

Przez chwilę mi się zdało,
żem się uwolnił spod jego opieki,
że bić mi już nie będzie,
że stanął na wieki.
Ale nazajutrz
nadeszła ta godzina,
spojrzałem na niego,
a widząc nieruchomość tę jego okrutną
pojąłem, że to właśnie
musi być ta godzina
nieubłagana.

Więc co dzień mam umierać
o tej godzinie?
O tej godzinie, gdy słońce zachodzi
lub gdy na anioł Pański dzwonią,
o pierwszej godzinie nocy,
o dnia ostatniej godzinie?
Szósta — godzina straszliwa
wszystkich moich upiorów
stała się właśnie
godziną wieczorową,
moją godziną grobową.

W rozpaczy
podbiegłem do zegara,
by wypruć mu wnętrzności.
Wszystkom wyrzucił — skazówki,
cały jego misterny
i piekielny mechanizm.
I teraz tylko widziałem
tarczę podziurawioną
i kawałek łańcucha,
co stał się wisiorkami,
i przyczepione koło —
strzępy tego brudnego brzucha,
którym wypatroszył.

Ludzie, co nie umiecie sami się urodzić,
ani nie potraficie nawet sami umrzeć,
a hołubicie na piersi, na sercu
ten mechanizm, co zna waszą godzinę,
której wam nigdy nie zdradzi.
Wystukuje codziennie ją na waszym łonie
i wy jej nie dostrzegacie.

Błogosławiony ten, co zna godzinę śmierci,
klękam u stóp samobójcy!
I myślę: na co mam czekać?
Czekać, aż jeden po drugim wypadną
wszystkie me piękne włosy,
me piękne zęby?
Czekać, aż jakaś żółta rana
złupi mi z którejś strony
i zgnoi białą moją skórę,
by ją zagarnąć i pokryć?

O jak jest pięknie umierać
z czerwonym kwiatem na czole,
z różą najbardziej purpurową,
której płatek po płatku opada
na białe skronie!
Albo z najwyższej wieży
zdać się na wolę otchłani,
przestrzeni!
I żeby na świecie została
jedynie plama czerwona.

I ty, który znasz tę godzinę,
już wypisaną na twym czole,
ty, nie wstrzymując swego kroku,
będziesz spokojnie ją wskazywał
i przechodził.
A ja nie potrafię powiedzieć:
to była ta godzina, która mi drżeć każe,
każdego dnia niedostrzeżona, z którą
przechodziłem,
o której nie myślałem.
Nie! Zbuduję sobie wieżę na górze,
na najwyższej górze świata,
na wszystkich twoich minutach,
na wszystkich swoich cegłach
i tam wejdę o swojej godzinie,
tej, którą sam wybrałem.
Stanę, aby usłyszeć dokładnie,
jak biją wszystkie zegary świata,
serca zbyteczne i podłe,
i krzyknę ci: zegarze, patrzaj, ja się rzucam!
I czynu dokonam.
Ach, usłyszałem trzaśnięcie sprężyny.
Czyś to ty była, ty, wyznaczona mi godzino,
myślałaś, że to ty byłaś.
Achachachacha!
Nie, to nie ty byłaś,
to była ta, o której ja wiem!
Teraz ja jestem tym, kto rozkazuje,
jestem tym, który wyznacza godzinę tobie,
Godzino!

Znaleźć w swym gardle,
kazać wydobyć się z brzucha
najwyuzdańszym, najszalańszym śmiechom,
najobrzydliwszym szyderstwom
i kazać ci czekać
jeszcze pięć minut.

Z włoskiego przełożył

K. A. Jaworski

Impreza jakiej nie było

Dokończenie ze str. 1

podarcze i kulturalne, zaprezentować przedsiębiorstwa i zespoły artystyczne. Obawiano się jednak, że inicjatywa może nie spotkać się z dostatecznym zainteresowaniem publiczności. Wobec tego postanowiono festiwal zlokalizować w sali MDK. Mała to salka, mieszcząca niewiele więcej ponad 200 miejsc. Tymczasem lud walił na wystawy jak nigdy, a za bilety na koncerty — choć były za darmo — chciano płacić, byle tylko je dostać. To nie prawda, że tylko ziomkowie mieszkający w Lublinie poczuli raptem zew krwi i za wszelką cenę chcieli zobaczyć swój powiat. Imprezami festiwalowymi interesowali się wszyscy lublinianie. No cóż, szybko rozszedł się hyr po mieście, że na festiwalu jest nie tylko...

...bajecznie kolorowo.

Festiwal powiatów uświadomił obserwatorom jak niezmierne bogactwo form, pomysłowości ludzkiej, rozmaitości zespołów znajduje się w terenie województwa. Okazuje się, że te 1500 różnych zespołów artystycznych w Lubelskiem, to wcale nie fikcja statystyk, ale konkretna rzeczywistość, autentyczne zaplecze kilkudziesięciu tysięcy działaczy kulturalno-społecznych.

Na uroczystym zakończeniu festiwalu padły słowa, które mogą wbić w dumę nie tylko organizatorów, ale i wszystkich uczestników. Powiedziano: **takiej imprezy dotychczas w województwie nie mieliśmy.** To fakt. Ogromem, rozmachem i fantazją Festiwal Powiatów przerastał wszystkie znane festyny i imprezy lubelskie.

A rozmaitość i różnorodność form, jakie prezentowały powiaty, była niepomierna. Ktoś w stroju ludowym grał na okarynie, ktoś inny wygrywał na listku, ktoś lepił garnki, ktoś inny prezentował całe kompanie wojsk zmotoryzowanych ulepionych z plasteliny. Albo te herby rzeźbione w kawałkach cukru! Kapela z Wilkołaza nie ustępowała zespołowi młodzieżowemu z Włodawy, który wystąpił z doskonale opracowaną wiązanką tańców góralskich! Skąd wzięła się góralszczyzna we Włodawie, pozostanie tajemnicą choreografa Zelisławy Szeląg. W każdym razie wszyscy uznali jednogłośnie, że młodzi włodawianie nie gorzej wypadli, niż góraliki spod Czarnego Dunajca.

W lubelskim oddziale Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalistów jest zarejestrowanych zaledwie kilkanaście chórów. Tymczasem na samych koncertach festiwalowych wystąpiło aż 18 chórów. I to jakich! Doborowy chór prowadzony przez Jana Mudę z Siennicy Różanej, który chełpi się tradycją nieprzerwanej pracy od 1911 r., może spokojnie rywalizować z najlepszymi chórami w naszym regionie, a zapewne też i poza granicami województwa. Zresztą nie idzie o rywalizację. Chór ten ma zdecydowaną przewagę nad miejskimi zespołami chóralnymi. Piosenki ludowe, które ma głównie w swoim repertuarze, zupełnie inaczej brzmią w jego wykonaniu. Dlaczego? Chórzyści chyba lepiej odczuwają wszelkie niuanse słów tych piosenek, czują po prostu inaczej niż mieszczuchy, którzy chcą według własnych gustów modelować na przykład „Zieluno zasiała".

Zaskoczeniem dla wszystkich był zespół kabaretowy (choć w nazwie swojej skromnie określił się estradowym) z Żółkiewki w pow. krasnostawskim. Przez całą zimę kilkunastu zapalonych mieszkańców wsi schodzi się na spotkania wieczorne, układa teksty satyryczne, adaptuje melodie znanych piosenek i opracowuje program występów. Przewodnią myślą obecnego była krytyka władz powiatowych i życzenie skierowane pod ich adresem, żeby budowali nową Polskę razem z ludem. Mocne akcenty! Akcenty prawdziwego...

...zaangażowania.

W ostatnim czasie słowo to ulega dewaluacji. Nadużywane przy każdej okoliczności, znalazło się w pewnym impasie. Na jednej z imprez w Radomiu konferansjer każdą solistkę zapowiadał mniej więcej tak: a teraz wystąpi koleżanka..., która zaśpiewa piosenkę zaangażowaną. I na estradę wychodziło dziewczę w krótkiej kiecce i

Mateusz Startek z Łążka, pow. janowski, przy pracy.
CAF — J. Trembecki

przy akompaniamencie czterech budrysów z gitarami śpiewało sentymentalną piosenkę o miłości. Oczywiście piosenka nie miała nic wspólnego z zaangażowaniem społecznym czy politycznym, ale dziewczyna śpiewała z uczuciem i była naprawdę przejęta swoją rolą. Są więc różne odcienie znaczeniowe słowa, dla którego można byłoby znaleźć rodzime odnośniki w postaci: wciągania się, brania udziału, zobowiązywania się. Ale skończmy te dywagacje.

Do lubelskiej imprezy można bez zastrzeżeń zastosować określenie z a a n g a ż o w a n a. I to nie tylko w znaczeniu olbrzymiego ładunku uczuciowego, z jakim prezentowały swój program zespoły artystyczne. Wszystkie bez wyjątku dawały kawałek swojego serca, wszystkie starały się wypaść w oczach oceniających jurorów i publiczności jak najlepiej. Zresztą, powiedzmy sobie też szczerze, po konkursie nie spodziewano się zbyt wielkich nagród. Wiedziano, że komisja konkursowa będzie dysponowała pewną sumą (nie przypuszczano zapewne, że aż tak małą) i dlatego starano się przede wszystkim wyjść z twarzą wobec zgromadzonej na sali publiczności. Nie było wypadku zlekceważenia widza.

Ideowy walor imprezy był jednoznaczny i niewątpliwy. Pokazano to, co powiaty osiągnęły w 25-leciu. A że osiągnęły bardzo dużo, to nie ulega najmniejszej kwestii. Mówiły o tym liczne plansze, wykresy, wystawy przedsiębiorstw, towarzyszące koncertom i wystawom twórców ludowych. Milowymi krokami poszły do przodu nie tylko Puławy, Chełm, Zamość. Również inne miasta stanęły raptem przed perspektywami, których przed ćwierćwieczem nawet nie przeczuwano. Z niepokojem ruszyły do turnieju obok powiatów z dużą już tradycją regiony młode, jeszcze nie liczące 18 lat wymaganych do pełnoletności. Nie skompromitowały się. Wyprzedziły potentatów i uplasowały się w czołówce.

Skala zaangażowania jest podobna do stopnia trudności w nomenklaturze taternickiej. Dla każdego wspinacza jest inna granica ostatecznych możliwości. Ale zarówno ci, którzy robią aussery, jak i ci, którzy nie przekraczają skali trudności oznaczanej jako t r u d n a, są taternikami. Z takim samym zaangażowaniem wewnętrznym grał na fujarce staruszek rolnik z powiatu tomaszowskiego, jak i śpiewał chór WSK ze Świdnika, który pod dyrekcją Tadeusza Chyły wykonał w rytmie poloneza na finalnym koncercie pieśń sławiącą naszą piękną Polskę całą.

Sekretarz propagandy KW PZPR, Edward Machocki, oceniając całą imprezę festiwalową, powiedział: *Placówki kulturalne województwa lubelskiego dobrze służą patriotycznemu wychowaniu społeczeństwa.*

Stare tradycje

Orkiestra Namysłowskiego znana jest w całej Polsce. Ale kapela ludowa Jana Kimaka z Woli Góreckiej (pow. tomaszowski) nigdy dotąd nie koncertowała poza swoim regionem. A prezentuje przecież rzadko spotykany, nie skażony żadnymi wpływami urbanizacyjnymi autentyczny prymitywizm. Kapitalne przyśpiewki kapeli lśnią od ciętych i sprośnawych dowcipów. Kto dziś gra na listku? Jan Szpargała z Woli Góreckiej. Kto dziś umie zagrać na okarynie? Bieńko z Janowa Lub. Gdzie znajdziesz tak doskonałą prymitywistkę, jak malarka z pow. tomaszowskiego Weronika Ratyna? Na pytania, czy zamierza sprzedawać swoje obrazy, nieodmiennie odpowiadała, że nie może, bo już wszystkie zamówił rząd.

Jednym z nielicznych zespołów występujących w stroju ludowym był chór z Siennicy Różanej. Warto wiedzieć, że stroje te projektował jeszcze Janusz Świeży, lubelski regionalista i doskonały etnograf. Ale również zespół ludowy z Wojciechowa w pow. bełżyckim wystąpił w strojach, z gadkami i śpiewkami, przed kilkudziesięciu laty jeszcze na c o d z i e ń „używanymi" w tym regionie. Zapowiedź

Oj, kochani goście, proszę się nie gniewać,
bo na tym weselu można wszystko śpiewać

dał upust pomysłowości i oryginalności przyśpiewek i gadek aktorów-amatorów.

W sposób zupełnie świadomy do tradycji nawiązuje Halina Trojnara z Bełżyc. Jest pracownicą PDK, uprawia wycinankarstwo. Ukończyła szkołę plastyczną. Jej wycinanki wyróżniają się smakiem, artyzmem.

Spośród zespołów najwięcej wystąpiło grup tanecznych. Zespołów tych było 28. Prawie każdy powiat do reprezentacji wysuwał jakiś zespół tańca ludowego. Były więc: doskonały młodzieżowy zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej, chwalony już młodzieżowy z Włodawy, czarujący w swej prostocie zespół z Siennicy. Urzekające było wesele przypisowskie z pow. lubartowskiego.

Tę tradycję regionu podtrzymują również różne stowarzyszenia regionalne. Na czoło wysuwa się Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie, które dość aktywnie działało w czasie lubelskiego festiwalu. Przypomniało o swoich akcjach, m. in. o zbiórce funduszów na pomnik Bolesława Prusa, o poszukiwaniu żołnierzy, którzy w 1944 r. wyzwalali Hrubieszów, stworzyło lubelską agendę. Organizatorzy powiatu radzyńskiego rozdawali gościom wydaną w 1968 r. jednodniówkę z okazji 500-lecia nadania praw miejskich Radzyniowi. Zresztą większość powiatów urządziła stoiska, na których można było obejrzeć lub nabyć publikacje tematycznie związane z danym regionem. Specjalne wystawy przygotowały muzea J. I Kraszewskiego w Romanowie i Henryka Sienkiewicza w Woli Okrzejskiej.

Przy krosnach ludowa tkaczka z Wojcieszkowa, Seweryna Swider.
CAF — M. Targoński

Większość programów koncertowych była ułożona na zasadzie pokazania przeszłości i współczesności. Przez więzy z tradycją ukazywano projekty lepszego jutra. O tradycji Zamościa mówił wyraźnie I sekretarz KP PZPR. Nawiązywał też do niej gospodarz Biłgoraja, aby od razu zawyrokować: ale nie jesteśmy zadowoleni z tego, co już zrobiliśmy, mamy jeszcze wiele do ulepszenia, do unowocześnienia, bo chcemy, żeby nam się lepiej żyło.

Festiwal był powszechnym przeglądem możliwości Lubelszczyzny. Okazuje się, że te możliwości są olbrzymie, znacznie większe niż by się nam zdawało. Dobrze to oceniła ekipa telewizyjna, która zaproponowała Biłgorajowi i Białej Podlaskiej przygotowanie specjalnego turnieju miast na 22 lipca.

Potencjał kulturalny Lubelszczyzny podyktował sekretarzowi propagandy KW PZPR, E. Machockiemu, zaproponowanie urządzania podobnych przeglądów co roku. Słusznie dopatrzono się w tej imprezie możliwości jeszcze większego zaktywizowania społeczeństwa.

Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Nie obyło się też bez drobnych i wcale dużych usterek. Niepowetowaną stratą jest to, że imprezy mogło oglądać tak mało osób. Zamiast festiwalu masowego stał się on prawie elitarnym przeglądem. Na otwarcie wystaw przychodziła grupka jurorów, świta dziennikarska, przedstawiciele władz, organizatorzy.

Lokal był nieodpowiedni. Ciasny, niefunkcjonalny, przeważnie brudny. Nie przysporzył sławy stolicy województwa. Z przekąsem mówiono, że osiągnięcia w dziedzinie inwestycji kulturalnych w Lublinie są bardzo mizerne.

Jeszcze sprawa konferansjerów, albo raczej prowadzących poszczególne koncerty. To w ogóle problem do oddzielnego omówienia, ale tu warto przynajmniej go zasygnalizować. Mało jest osób, które mogłyby na scenie błyszczeć inteligencją Jacka Fedorowicza. Piotr Skrzynecki jest sam dla siebie klasa. Niemniej od konferansjerów wymaga się przynajmniej tego minimum umiejętności opanowywania sytuacji na scenie i widowni (oraz umiejętności sprawnego przekazywania p o p r a w n e j i r z e t e l n e j informacji. Nie zawsze tak działo się w czasie naszego festiwalu. Do miłych wyjątków należeli prowadzący program koncertów: T. Dyjak i J. Bentkowski z Biłgoraja, Bożena Pffachenchauzen z Opola, Janusz Basiak z Janowa Lub., Gerard Połczyński i Tomasz Czajkowski z Łukowa. Przykład Lublina należał raczej do tych, których za wszelką cenę nie należy naśladować.

Udana to była impreza. I wcale nie dlatego, że ja tam byłem, miód i wino piłem. Fakt, że w gościnnym podejmowaniu gospodarze prześcigali się w pomysłowości. Nie zawsze to miało sens, zwłaszcza kiedy np. pieczone prosięta opatrywano napisami „Jacek" i „Agatka", albo kiedy zamiast regionalnych potraw, w czym zdecydowanie przodował Biłgoraj, częstowano różnymi gatunkami alkoholu sprowadzanego ze stolicy. Najmilej przyjmowano poczęstunek rozdawany w czasie koncertu. Robiły to m. in. zespół wojciechowski (pow. bełżycki) i spółdzielnia mleczarska z Łukowa.

Nie wnikam w ocenę jurorów. Przecież osądzali na podstawie wcześniej opracowanego regulaminu, klucza, który ustalili, punktacji, jaką zaproponowali. Ale nie tylko dlatego nie zamierzam poddawać dyskusji takich czy innych sformułowań określających, za co przyznano nagrody. Ewentualne wątpliwości dotyczą szczególnie tych dalszych miejsc, co do początkowej kolejności wyróżnionych powiatów gotów jestem się zgodzić. Po prostu uważam, że w tego rodzaju przeglądzie, jaki urządzono w Lublinie, nie ma z w y c i ę z c ó w.

Al. Leszek Gzella

* * *

W FESTIWALU NAGRODZONO:

I miejsce — 30 tys. zł — powiat biłgorajski,

II miejsce — 25 tys. zł — powiat włodawski,

III miejsce — 20 tys. zł — powiat bełżycki.

WSZYSTKIE ZA: całokształt zaprezentowanych imprez w dniu festiwalu.

Ponadto ufundowano specjalną nagrodę w wysokości 20 tys. zł dla Lublina miasta za ogólnowojewódzki zasięg prezentowanych imprez.

Pozostałe powiaty nagrodzono w zależności od uznania sądu konkursowego nagrodami w wysokości 5 i 15 tys. zł.

Do bogatego repertuaru powiatu włodawskiego wniósł swój wkład najstarszy recytator, 88-letni Jan Trofimiuk z Ratajewic.
CAF — M. Targoński

Werblistki z orkiestry przyzakładowej szkoły zawodowej przy cementowni chełmskiej.
CAF — M. Targoński

Kamena str. 7

Sympozjum w Kazimierzu

O roli regionalnych czasopism społeczno-kulturalnych

Jak już donosiliśmy, w dniach 25 i 26 marca w Domu Wypoczynkowym RSW „Prasa" w Kazimierzu nad Wisłą odbyło się sympozjum na temat roli regionalnych czasopism społeczno-kulturalnych w integracji miejscowych środowisk.

Sympozjum zainaugurowało obszerne wystąpienie przedstawiciela Wydziału Kultury KC PZPR, dr Jerzego Kossaka, który mówił o sytuacji politycznej w świecie, a na tym tle o kierunkach działania czasopism regionalnych. W imieniu dziennikarskiego środowiska lubelskiego redaktor naczelny „Kuriera Lubelskiego", Lesław Gnot, przedstawił dorobek i problemy Lubelszczyzny w dziedzinie prasy, radia i telewizji oraz ich roli integracyjnej. Następnie przedstawiciel Biura Prasy KC PZPR, dr Bronisław Gołębiowski, mówił o zadaniach prasy w kampanii przedwyborczej do Sejmu i rad narodowych oraz w okresie przygotowań do obchodów 25-lecia PRL.

Drugi dzień rozpoczął się wystąpieniem wiceprezesa Zarządu Głównego RSW „Prasa", Edmunda Króla, który przedstawił problemy wydawnicze RSW „Prasa". W obu dniach toczyła się ożywiona dyskusja, którą podsumował kierownik Wydziału Kultury KC PZPR, Aleksander Syczewski.

W sympozjum, zorganizowanym przez redakcję „Kameny" oraz Lubelski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, uczestniczyli m. in.: wiceprezes Zarządu Głównego SDP Zenon Wilczewski, dyrektorzy Zarządu Głównego RSW „Prasa" Alina Tepli i Witold Dobski, dyrektor Ośrodka Dziennikarstwa przy SDP Zdzisław Hardt, przedstawiciel Studium Dziennikarskiego przy Uniwersytecie Warszawskim doc. Tadeusz Kupis, kierownik Wydziału Propagandy KW PZPR w Lublinie Wiktor Chojnacki, kierownik Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie Łucja Jakubowska, przedstawiciel Wydziału Kultury Prez. WRN w Rzeszowie Aleksander Proszak, przedstawiciele czasopism — „Fakty i Myśli", „Głos Młodzieży Wiejskiej", „Kultura", „Kultura i Ty", „Kontrasty", „Litery", „Nadodrze", „Nurt", „Odgłosy", „Odra", „Pobrzeże", „Poglądy", „Pomorze", „Profile", „Tygodnik Kulturalny", „Warmia i Mazury", Telewizji Polskiej, Polskiego Radia w Warszawie i w Lublinie, środowisk dziennikarskich w Białymstoku Kielcach, Lublinie i Rzeszowie, środowisk literackich w Lublinie, Opolu i Szczecinie, klubów literackich i korespondencyjnych klubów młodych pisarzy w Kielcach, Lublinie i Rzeszowie, plastyków lubelskich, Teatru im. J. Osterwy w Lublinie, UMCS i Kuratorium w Lublinie.

Obradom przewodniczyli: prezes zarządu Lub. Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Michał Skalenajdo, redaktor naczelny „Kameny" Marek Adam Jaworski oraz redaktor najmłodszego w kraju czasopisma kulturalno-społecznego „Pobrzeże" — Józef Narkowicz.

W bieżącym numerze „Kameny" publikujemy według stenogramu fragmenty wystąpienia dr B. Gołębiowskiego oraz obszerne fragmenty dyskusji. Zwróciliśmy się do kierownika Wydziału Kultury KC PZPR, Aleksandra Syczewskiego, o autoryzację tekstu, jak również do przedstawiciela tego Wydziału, dr Jerzego Kossaka, o napisanie artykułu, będącego streszczeniem jego wystąpienia.

Prezydium obrad.

Marek Adam Jaworski

„Kamena" — Lublin

Pragnę jeszcze raz wyrazić radość, że doszło do dzisiejszego spotkania, którego głównym tematem jest sprawa regionalnych czasopism kulturalno-społecznych. Nasze sympozjum w Kazimierzu możemy traktować jako drugą tego typu imprezę. „Impreza" nie jest najlepszym sformułowaniem. Ostatni raz, w nieco mniejszym gronie, widzieliśmy się w salce Zarządu Głównego RSW „Prasa". Tamto spotkanie można by nazwać instruktażowym porankiem zapoznawczym. Ale od tego poranku minęły już dwa lata, wiele zmieniło się na świecie (wystarczy nawet czytać codzienną prasę, do czego tak namawiał Putrament literatów na ostatnim Zjeździe ZLP w Bydgoszczy), wiele zmieniło się w Polsce. Mieliśmy ubiegłoroczny marzec, który nie był wprawdzie tak śnieżny i mroźny, jak marzec tegoroczny, ale za to groził znacznie większą lawiną.

Nie ma potrzeby tego tematu dzisiaj rozszerzać, ale z codziennej praktyki wiemy, że ożywczy prąd przebiegł i przez naszą prasę, do czego w dużej mierze przyczyniło się odejście wielu dziennikarzy czy literatów, którzy w końcu musieli się zdecydować, do jakiego narodu należą, której ojczyźnie pragną służyć.

W rodzinie regionalnych czasopism kulturalno-społecznych też zaszły gdzieniegdzie zmiany kadrowe, chociaż przyczyn tych zmian nie należy generalizować. Z satysfakcją muszę odnotować powstanie białostockich „Kontrastów", które z jednodniówki stały się początkowo kwartalnikiem, a ostatnio miesięcznikiem, oraz zapowiedziane przejście rzeszowskich „Profilów" z kwartalnika na miesięcznik. W ostatnich dosłownie dniach „Zapiski Koszalińskie" przekształciły się w miesięcznik pt. „Pobrzeże". Tym samym zwiększyła się liczba województw posiadających pisma społeczno-kulturalne. Białe plamy to ciągle jeszcze Szczecin, Kielce, Opole, gdyż województwo warszawskie też już zdążyło się „ubarwić".

Wspomniałem o Kielcach, a przecież „Kamena" ciągle ma ten kręgujący nas nadtytuł „Lublin, Białystok, Kielce, Rzeszów", stanowiący pozostałość „Unii Czterech", która z chwilą zmian na stanowiskach kierowników wydziałów kultury prezydiów WRN, a często jeszcze przed zmianami, stała się właściwie fikcją. W pełni rozumiem argument sekretarza propagandy KW PZPR w Białymstoku, tow. Witolda Mikulskiego, z którym przed trzema laty przeprowadziłem kilka serdecznych rozmów. „Owszem — mówił — możemy współpracować z Lublinem, ale Kielce czy Rzeszów są zbyt daleko od nas położone. Realna jest współpraca z bezpośrednimi sąsiadami, a dla nas sąsiadami są województwa lubelskie, olsztyńskie i warszawskie". Ale, aby oddać sprawiedliwość sprawie, dla „Kameny" w czasie, gdy pismu w okresie centralizacji groziła likwidacja, „Unia Czterech" stanowiła koło ratunkowe i dobrze się stało, że moja poprzedniczka, ciągle młoda nie tylko duchem, pani Maria Bechcyc-Rudnicka, mocno to koło chwyciła.

Zmieniły się jednak czasy. „Kamena" nie była w stanie i nigdy by nie była, nawet jako tygodnik, zadowolić ambicji środowisk twórczych i Lublina, i Białegostoku, i Kielc, i Rzeszowa. Sprawy nie rozwiązaliby i tzw. przedstawiciele w poszczególnych województwach, mogący ze względów chociażby finansowych pozostawać na ryczałcie „Kameny" i w związku z tym traktować ją drugoplanowo, w odróżnieniu od stałej pracy w „Nowinach Rzeszowskich", „Gazecie Białostockiej" czy „Słowie Ludu". Decentralizacja musi iść dalej. Lublin nie może w odniesieniu do innych miast wschodniej części Polski zastępować Warszawy.

Jestem więc za tym, aby w obliczu powstałych „Kontrastów" i „Profilów" usunąć z nadtytułu nazwy trzech miast wojewódzkich, co wcale nie będzie oznaczać, że mamy rezygnować z tych czytelników i współpracowników, których już na tych terenach zdobyliśmy, a także i tematyki dotyczącej wschodnich regionów kraju. Przestaniemy się jednak wzajemnie czarować, że „Kamena" jest pismem czterech województw i w związku z tym musi drukować i słabsze materiały jedynie dlatego, że traktują one o Nisku, Starachowicach czy Olecku. Jednocześnie będziemy mogli szerzej penetrować teren województwa lubelskiego, gdzie już obecnie w niejednym powiecie sprzedaje się w kioskach tyle numerów, ile w całym województwie rzeszowskim! A ostatni Festiwal Powiatów, kapitalna impreza, zorganizowana w Lublinie dla uczczenia 25-lecia Polski Ludowej, lepiej unaocznił nam, jak bogate jest życie kulturalne Lubelszczyzny, jak piękny jest jej folklor.

Przedwojenna „Kamena" była dziełem właściwie dwóch ludzi: mego ojca i zamęczonego w hitlerowskim obozie Zenona Waśniewskiego. O dziejach, jakże interesujących, tego okresu wydawania „Kameny" traktuje książka Kazimierza Andrzeja Jaworskiego pt. „W kręgu Kameny", do której zainteresowanych odsyłam. Jest to już na szczęście dokument historyczny. Na szczęście, gdyż dziś nie żyje się w zasadzie dla pisma, ale z pisma. Możemy narzekać — i narzekamy — że honoraria są zbyt niskie, że 100—150 zł za utwór poetycki to kpiny z poety, ale przed wojną poeta był zadowolony, jeśli jego wiersz w ogóle ujrzał światło dzienne i nawet nie przyszło mu do głowy żądać honorarium. Ba — on jeszcze gotów był dopłacić, byle tylko zobaczyć swój wiersz wydrukowany.

Oczywiście, jeśli pismo redagowało się za własne pieniądze, wydatkując na to część pensji nauczycielskiej, można się było pokusić o dużą samodzielność. Ale przecież i dzisiaj tej samodzielności mamy wiele. I Wydział Kultury KC, i Biuro Prasy KC, i wydziały propagandy komitetów wojewódzkich naszych pism nie redagują, chociaż je zapewne od czasu do czasu czytają. Muszą one jednak czuwać nad obsadą kierowniczych stanowisk, a jeśli niekiedy — zdarza to się, moim zdaniem, zbyt rzadko — mają jakieś uwagi krytyczne, nie wypowiadają ich w sposób apodyktyczny, ale — powiedziałbym — dyskusyjny. Dzięki temu nie ma atmosfery pokrzykiwań, budzącej nerwowy niepokój, ale wytwarza się klimat wzajemnego zaufania.

Nie mam intencji wystawiania laurki Wydziałowi Propagandy KW PZPR w Lublinie, ale przecież dużą zasługą tego wydziału był fakt przejęcia „Kameny" przed trzema laty przez RSW „Prasa", co dla nas oznaczało kolosalny zwrot na lepsze.

„Kamena" ma w stopce napis: „Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich". Może się mylę, nie należę do ludzi, którzy lekturę czasopism zaczynają od przejrzenia stopki, ale jesteśmy bodaj jedynym poza „Pomorzem" pismem w kraju, które tego rodzaju stopkę posiada. Nakłada to na „Kamenę" szczególne obowiązki, które zresztą nie kłócą się z jej tradycją. A tradycję szanujemy.

W kolegium redakcyjnym „Kameny" zasiada pięć osób. Dwie spośród nich są członkami zarządu Lubelskiego Oddziału ZLP, dwie — dziennikarzami z 35-letnim i 21-letnim stażem, jedna — przedstawicielem środowiska naukowego. Wydaje mi się, że taki skład kolegium jest prawidłowy i znajduje odbicie w konkretnej pracy. Drukujemy więc materiały literackie, preferując — zgodnie z tradycją — poezję, przekłady wierszy, głównie z literatury słowiańskiej. Wciągamy do współpracy wielu dziennikarzy, i wreszcie zwracamy szczególną uwagę na materiały przygotowywane przez środowisko naukowe. Można zawsze dyskutować nad tym, jakie są proporcje w poszczególnych numerach, jaki jest poziom zamieszczanych materiałów. Ktoś, kto je czyta, powie: „Ja bym to napisał lepiej". Zgoda. Napisz! Nigdy przed nikim nie zamykaliśmy naszych łamów, choćby z tej prostej przyczyny, że pracuje nas w redakcji jedynie sześciu, a tylko dwie osoby mają podstawowy obowiązek polegający na pisaniu.

W najbliższym czasie ogłosimy ankietę, chcemy przeprowadzić sondaż wśród czytelników, którzy w dużej mierze są dla nas ciągle anonimowi. Wiemy jednak dobrze, do kogo nasze pismo adresujemy. Adresatem jest inteligencja, również inteligencja techniczna, młodzież akademicka i młodzież starszych klas licealnych. Z myślą o tej ostatniej prowadziliśmy w ubiegłym roku cykl pt. „Przed maturą", a w tym roku kontynuujemy cykl pt. „Powtórka z polskiego", w którym dajemy syntetyczny obraz historii naszej literatury. Ale nasuwa się pytanie: czy ten cykl chwyta?

Nie będę wymieniał problematyki, jaką się zajmowaliśmy. Wystarczy zajrzeć do zszywek. Warto tu jednak wspomnieć o pewnych cyklach tematycznych, jak np. serii artykułów poświęconych przypomnieniu partyzanckich bojów, 25-leciu PPR, 1000-leciu Państwa Polskiego, 650-leciu Lublina, problematyce domów kultury, wychowaniu młodzieży, archeologii i zabytkom. Duże zainteresowanie czytelników wzbudziły materiały poświęcone majorowi Hubalowi i jego ludziom, które przypomnieliśmy właśnie w tym roku — 30-leciu hitlerowskiego napadu na Polskę. Teraz staramy się cofnąć do pierwszych lat Polski Ludowej, pokazując trudne chwile III Rzeczypospolitej i historie związane z likwidowaniem podziemia.

Niemal do tradycji dzisiejszej „Kameny" należą już dyskusje, organizowane w redakcji, i nie tylko w redakcji, przy „okrągłym stole". Np. w Kielcach urządziliśmy dyskusję, której tematem była problematyka teatrów wojewódzkich wschodniej Polski. Inne tematy dyskusji to m.in. problemy ideowo-wychowawcze młodzieży, sprawa badań nad przestępczością, kręte drogi budownictwa, zagadnienie konserwacji Zamościa — ba — nawet przeszczepianie serc i mózgów.

Przejęliśmy mecenat nad twórczością ludową. Raz na kwartał wydajemy wkładkę „Ziemia i Pieśń". Zdajemy sobie sprawę, że nie wszystkie ukazujące się tu utwory można zaliczyć do szczytów ludowej twórczości. Może tolerancja jest czasem zbyt daleko posunięta. Trzeba jednak docenić, mimo wszelkich ułomności, twórczość ludową. Doceni się ją bardziej, jeśli pozna bliżej tych ludzi, ich upór i entuzjazm. Myśmy ich mogli poznać bliżej, bo przecież właśnie w Lublinie powstał Międzywojewódzki Klub Pisarzy Ludowych, przekształcony później w Stowarzyszenie Twórców Ludowych.

Szczególnie opiekujemy się też korespondencyjnymi klubami młodych pisarzy, działającymi przy zarządach wojewódzkich ZMW.

Ciągle modne dyskusje na temat, jakie ma być pismo: regionalne czy ogólnopolskie, rozstrzygnęliśmy chyba na własnym przykładzie. Przed wojną „Kamena" była ponoć pismem ogólnopolskim, choć miała nakład 300 egzemplarzy. Dziś mamy 8 000 egzemplarzy, a jesteśmy ponoć zaliczeni do pism regionalnych. Niech będzie regionalne! Nie mamy ambicji „Życia Literackiego", bo nie mamy i chyba z uwagi na bliskość Warszawy nigdy nie będziemy mieli takiego środowiska twórczego, jakie ma Kraków, a import piór też ma swoje granice. Pisarz, dziennikarz warszawski czy krakowski, zawsze dobry materiał sprzeda „Kulturze" (jeśli z nią nie jest skłócony), „Polityce" czy „Życiu Literackiemu", a do nas przyśle okruchy swej twórczości i każe sobie jeszcze za nie dobrze zapłacić!

Gdy mowa o dyskusji: regionalne czy ogólnopolskie, to muszę przyznać — nieco mnie ona denerwuje. Jeśli ogólnopolska „Kultura" zamieszcza reportaż z Pacanowa, powie się, że pismo chwyta życie na gorąco, jeśli taki sam reportaż z Pacanowa zamieści „Kamena", będzie to objawem zaściankowego regionalizmu.

Rzeczą najważniejszą jest, JAK się pisze. Pacanów może zarżnąć czytelnika, może też... Co może, pokazał nieboszczyk Makuszyński w „Przygodach Koziołka Matołka". Proszę nie doszukiwać się podtekstów!

Dziś mówimy o kulturotwórczej roli czasopism regionalnych. Tę rolę kulturotwórczą widzę przede wszystkim w ścisłym powiązaniu z naszym regionem. Pomoc młodym twórcom w publikowaniu ich co ciekawszych materiałów, popularyzacja działaczy kulturalnych i ich dorobku, analityczne spojrzenie na pracę domów kultury, ośrodków przyszkolnych, wszelkiego rodzaju klubów, amatorskich zespołów. Pole do działania jest olbrzymie.

Moim zdaniem, trzeba pismo redagować tak, aby każdy, dosłownie każdy, znalazł w nim coś, co go zainteresuje. I dlatego szedłbym, zupełnie świadomie, na koncesje na rzecz mniej wyrobionego czytelnika. Nie potępiam krzyżówek „Nadodrza", chociaż, gdy chciałem wprowadzić krzyżówkę w „Kamenie", przegłosowano mnie na posiedzeniu kolegium. Tradycja. Wczoraj: Czechowicz, a dziś: krzyżówka? Tak, ale niejeden kupi pismo dla krzyżówki, zatrzyma przy okazji oko na tym czy innym artykule, i może przy okazji dowie się, że kiedyś w Lublinie ten Czechowicz żył i tworzył.

Niewątpliwie „wszystkoizm" programowy pisma może zbliżyć je do profilu magazynu, do rozcieńczenia merytorycznego, do zatracenia właściwych proporcji w publikowaniu materiałów tzw. do czytania i trudniejszych, zasadniczych problemowo. Uniknięcie przechyłów należy do zadań poszczególnych zespołów redakcyjnych, zależy od ich ciągłej samokontroli własnego działania.

Zwiększyliśmy nakład „Kameny", zmniejszyliśmy zwroty, a myślę, że byłyby one jeszcze mniejsze, gdyby lubelski „Ruch" starał się bardziej eksponować miejscowe pismo.

Rzecz zrozumiała, że innych czasopism regionalnych nie uważamy za konkurencję. Wzajemnie się przecież uzupełniamy, wydaje mi się jednak, że ciągle znamy się zbyt mało. Pewne akcje moglibyśmy podejmować wspólnie. „Kamena" ma jedynie luźne kontakty z „Literami", podjęliśmy inicjatywę „Nadodrza" wymiany kolumn i wzajemnej prezentacji naszych pism. Myślę, że dobrze by było wymieniać i publicystów. Jak to sobie wyobrażam? Bierzemy na przykład temat: dom kultury. Publicysta, powiedzmy z „Odry", przyjeżdża na Lubelszczyznę, nasz publicysta jedzie na Dolny Śląsk. Obaj mają inne spojrzenia, inne doświadczenia. Później na łamach „Odry" i „Kameny" — pism, które terytorialnie się nie dublują — drukujemy materiały, nawet te same, stanowiące efekt rekonesansu. Przy takiej współpracy korzystają i sami publicyści, którzy mogą rozszerzyć swój punkt widzenia.

Konrad Frejdlich

„Odgłosy" — Łódź

Bardzo dobrze się stało, że „Kamena" wspólnie z Lubelskim Oddziałem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wzięła na siebie obowiązek zorganizowania spotkania przedstawicieli pism regionalnych z całego kraju. Nie wiem, czy to jest pierwsze czy drugie spotkanie, w każdym jednak razie ważne jest, iż w ogóle zaczyna się zwracać uwagę na prasę regionalną. Dotychczas było właściwie tak, że prasa ta umykała uwadze wszystkich, co dla mnie osobiście było czymś bardzo niepokojącym. Wystarczy wziąć do ręki pisma centralne o podobnym profilu, by się przekonać, że np. w dokonywanych przez nie przeglądach prasy niesłychanie rzadko pojawiają się jakieś informacje z czasopism regionalnych. Już sam ten fakt mówi nam bardzo wiele. Jeśli w ogóle pisze się coś na ten temat, to chyba tylko z okazji powstania nowego pisma, albo obchodzonego jubileuszu.

Zastanawiam się niejednokrotnie, dlaczego właściwie tak się dzieje? Czy dlatego, że to, co robimy w Łodzi, Poznaniu, Lublinie czy też w innym mieście, nie jest ciekawe? Przeglądając zszywki naszych pism nietrudno się przekonać, iż nie brakuje w nich wartościowych pozycji. Nie można więc mówić o naszej **pracy tylko z okazji** jakiejś kampanii.

Dziwny punkt widzenia przyjmują też niektóre spośród pism regionalnych: nawet w przeglądach prasy tych pism nie spotyka się materiałów z bratnich organów. A więc sami wzajemnie też się lekceważymy.

Mówimy o regionalizmie. Czy ma to oznaczać, że jeśli np. pismo ukazuje się w Lublinie, to ma się w nim pisać tylko o Lublinie? Wydaje mi się, że chyba nie. Ogromnie ucieszyło mnie to, że „Nadodrze" wystąpiło z inicjatywą wymiany kolumn.

Osobiście często oburza mnie to, że wysiłek tzw. prowincji nie jest dostrzegany. Trzeba dopiero jakichś szczególnych wydarzeń, żeby z głosem prowincji zaczęto się liczyć. Stąd też konieczne jest współdziałanie nas wszystkich dla kształtowania polityki kulturalnej w naszym kraju. Musimy przypominać o naszym istnieniu i o naszym wkładzie w kształtowanie tej polityki, jak również o tym, że wiele procesów w zakresie kultury jest właśnie przez nas inspirowanych. Chodzi o to, aby powo-

nie terenowym czy prowincjonalnym, względnie regionalnym, problemom nadawać charakter jakiś uniwersalny, bo też często mają ona właśnie taki charakter.

Mówiąc o tym wszystkim zastanawiam się, czy nie warto by wystąpić z pewną inicjatywą. Nasze pisma regionalne spełniają m. in. rolę służebną w stosunku do stowarzyszeń twórczych działających w poszczególnych miastach wojewódzkich. Łamy pism regionalnych wykorzystywane są przez pisarzy, dziennikarzy, często korzystają z nich nawet naukowcy. Dobrze by więc było prezentować autorów, którzy wspierają dane pismo swoim piórem. Pokazujmy się w poszczególnych miastach nawzajem!

W Łodzi można np. bardzo często natrafić na afisz, z którego dowiemy się o wieczorze autorskim pisarza z Warszawy, rzadziej natomiast lub też wcale nie dowiemy się o spotkaniu z pisarzem z Katowic, Poznania, Szczecina albo innego miasta. Fakt ten mówi sam za siebie.

W moim wystąpieniu pragnę się też ustosunkować do tych referatów, których wysłuchaliśmy w toku dotychczasowych obrad. Ogólnie rzecz biorąc wydaje mi się, iż znalazło się w nich dość dużo ważnych problemów, o których warto by było pomówić. Myślę zwłaszcza o referatach tow. tow. Kossaka i Gołębiowskiego.

Wracając do tych referatów, które wzbudziły moje zainteresowanie, chciałbym stwierdzić, iż szereg zagadnień, które się w nich zarysowały, należałoby „podnieść" na łamach naszych gazet. Należałoby je „podnieść" nie tylko z okazji wyborów. Zagadnienia te powinny wejść do naszej codziennej praktyki redakcyjnej. Zbyt często, należy od razu zaznaczyć — niesłusznie, widzimy regionalizm w zubożeniu problematyki. Owszem, może być wiele spraw regionalnych, ale przecież one też mają znaczenie ogólnopolskie. Oczywiście, że nie jest to sprawa łatwa, a to dlatego, iż nasza sytuacja jest inna aniżeli pism centralnych z tego chociażby względu, że mamy mniej pieniędzy na honoraria niż pisma centralne. Wydaje mi się, iż kwestie te należałoby postawić jasno.

Na zakończenie swej wypowiedzi pragnę zaapelować, aby tego rodzaju spotkania, jak dzisiejsze, organizować systematycznie każdego roku. Jeśli stać nas na doroczne zjazdy nauczycieli, bibliotekarzy itd. itd., to dlaczego nie miałoby nas być stać na organizowanie spotkań dziennikarzy pism regionalnych?

Ireneusz G. Kamiński

„Głos Szczeciński" — Szczecin

Na wstępie warto wskazać fakt, że jeśli tzw. wydarzenia marcowe ub. r. nie znalazły większego oddźwięku w kraju, to między innymi należy to zawdzięczać rozwojowi pism regionalnych. Jest to fakt o dużej wymowie politycznej i dlatego też wszelkie wysiłki, które zmierzają do umocnienia roli i znaczenia czasopism regionalnych, należy utożsamiać z działalnością zmierzającą do umocnienia naszego frontu kultury. Zarówno w wygłoszonych referatach jak i w dwu głosach w dyskusji moich poprzedników nie wyczerpano jednak wszystkiego, co można jeszcze dorzucić na ten temat.

Ze swej strony pragnę poruszyć kilka spraw. Mówiło się tu dziś dużo na temat inwestycji. Wielu z nas patrzy na sprawy kultury właśnie przez pryzmat inwestycji: co zbudowano, czego nie zbudowano itd. Na ten temat toczy się zarazem dyskusja na łamach naszych czasopism. Zagadnienia upowszechnienia kultury schodzą w takiej sytuacji na plan dalszy. Czy i kiedy dyskutowaliśmy np. na łamach naszych czasopism na temat repertuaru teatralnego? Weźmy np. pod uwagę inne zagadnienie. Czy, przypuśćmy, w okresie ważnych wydarzeń dla naszego kraju TWP ustosunkowało się do nich w sposób właściwy? Nie. Jakie wykłady zaplanowano dużo wcześniej przed tymi wydarzeniami, takie wygłaszano. Nie potrafiono wprowadzić tego, co w danej chwili było najbardziej aktualne i pilne. Podobnie ma się rzecz właśnie z repertuarem teatralnym.

Mówiło się dużo o pomocy dla młodych twórców. Moim zdaniem, ruch wydawniczy jest na tyle rozwinięty w całej Polsce, że młodym twórcom można pomagać niekoniecznie przez wydawanie im poszczególnych pozycji w pismach regionalnych, natomiast można by oceniać ich prace.

Na zakończenie swej wypowiedzi pragnę nawiązać do kwestii przeglądów prasy. Osobiście wydaje mi się, iż każde z naszych czasopism raczej poszukuje tzw. materiałów z Polski. W Szczecinie chciałoby się wiedzieć, co piszą w Lublinie, w Gdańsku, o czym donosi Kraków itd. W moim przekonaniu przekazywanie tego rodzaju informacji nie powinno mieć formy przeglądu prasy, a raczej powinno przyjąć formę rybryki zatytułowanej np. „Co piszą inni". W rubryce takiej można by było zamieszczać przedruki ciekawszych materiałów z innych czasopism bądź przynajmniej skrócone informacje na temat tych materiałów. U nas takie materiały są czytane bardzo chętnie. Dzieje się tak dlatego, że dość poważna część mieszkańców województwa szczecińskiego pochodzi między innymi z województwa lubelskiego i dla nich informacje stamtąd, skąd pochodzą, będą zawsze interesujące.

Zdzisław Wróbel

„Pomorze" — Bydgoszcz

Zdajemy sobie sprawę z tego, że działalność rewizjonistyczna w ostatnich 10 latach znajdowała swój wyraz w bardzo wielu i w bardzo różnych dziedzinach naszego życia. Między innymi przejawiała się ona w krytyce literackiej, teatralnej itd. Wywierała ona także duży wpływ na to środowisko, które jest przez nas reprezentowane. Wpływ ten objął zatem również działalność krytyków młodego pokolenia. Było tak np. w naszym piśmie i sądzę zresztą, że nie tylko w naszym, ale i w pismach wychodzących w wielu innych miastach. Wokół tych pism skupiła się przecież pewna grupa młodych krytyków, wychowanych w ostatnich latach, takich, którzy przed kilku laty ukończyli studia, a często i nadal związani są z wyższymi uczelniami. Ich światopogląd kształtowany był w okresie, kiedy dominowały poglądy Kołakowskiego, kiedy były bardzo silne wpływy Kota. Musiało to odbić się na światopoglądzie, a już może nie tyle na światopoglądzie, co na kształtowaniu się twórczych metod krytyki u młodych ludzi.

I oto powstaje problem, w jaki sposób zmienić d z i ś powstałą w ó w c z a s sytuację? Zdajemy sobie sprawę z tego, że nie jest to zadanie łatwe. W naszych redakcjach staramy się w jakiś sposób ukierunkować działalność krytyków współpracujących z naszymi pismami, rozmawiamy z nimi, dyskutujemy, nie zawsze jednak znajdujemy odpowiednie argumenty na poparcie swoich zamierzeń. Dlatego też chcielibyśmy prosić towarzyszy z KC partii o okazanie nam w tej mierze pomocy. Wydaje mi się, że dobrze by było np. organizować jakieś kursy, seminaria, właśnie na temat krytyki marksistowskiej.

Drugie zagadnienie, które pragnę poruszyć, to kwestia ruchu społeczno-kulturalnego i tego wszystkiego, co wiąże się z rozwojem tego ruchu. Tow. Kossak mówił między innymi i o tym zagadnieniu, wskazując na ujawniające się w ostatnich latach duże trudności. Z drugiej strony mamy do czynienia z dość znacznymi grupami młodych ludzi, działaczy Związku Młodzieży Wiejskiej, nauczycieli, bibliotekarzy itd., którzy rozwijają bardzo aktywną działalność kulturalną. Wielu jest takich ludzi w miastach powiatowych, wielu jest na wsi. Na tym tle wyłania się przed naszymi pismami problem dotarcia do tych ludzi, zdobycia ich zaufania i współdziałania z nimi. Jest to zresztą problem, który pojawił się przed naszymi pismami od początku naszej działalności.

Jeśli chodzi o czasopisma tego typu, co nasze, to przeważnie powstają one dlatego, aby służyć określonemu środowisku literackiemu. Inicjatywa w tym względzie wypływa zresztą ze środowiska. Tak można powiedzieć o powstaniu „Pomorza" czy innych czasopism. W miarę upływu czasu przechodzi się do problematyki społecznej, politycznej itd., rozszerzając w ten sposób krąg odbiorców pisma. Później okazuje się, że ludzi zainteresowanych kulturą, wśród nich młodzieży, działaczy kulturalnych, jest znacznie więcej aniżeli czytelników naszych czasopism. Uświadomiliśmy to sobie między innymi kilka lat temu, kiedy to wzrastał nakład naszego pisma, ale wzrost ten był zbyt powolny w stosunku do potrzeb. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie docieramy ze swą problematyką do aktywu kulturalnego w terenie, do młodzieży studenckiej.

Staraliśmy się więc między innymi poruszać te zagadnienia, które mogły interesować młodych czytelników, młodych działaczy kulturalnych z terenu. Znalazło się więc u nas miejsce i na sprawy filmu, i na sprawy telewizji i na sprawy piosenki, nie mówiąc już o całym szeregu innych problemów interesujących bezpośrednio ludzi młodych. Wydawało się nam, iż obowiązkiem naszym jest szerokie naświetlenie różnych zagadnień, wyciąganie na ich podstawie prawidłowej oceny zjawisk i dopiero na tym polu podejmowanie problematyki politycznej. Droga ta wydaje się być jak najbardziej słuszna. Potwierdza to fakt, iż w ostatnich trzech latach udało się nam znacznie podnieść nakład pisma przy zachowaniu minimalnych zwrotów.

Zastanawialiśmy się, jaka jest przyczyna naszych sukcesów. Czy przyczynia się do nich lżejsza tematyka, która przyciąga czytelników, czy też są przyczyny i innego rodzaju? I oto w ubiegłym roku okazało się, że właśnie problematyka polityczna zjednywała nam odbiorców. Najłatwiej było się o tym przekonać w czasie wydarzeń marcowych. Jak wiadomo, wydarzenia te miały różny przebieg. Inny był on w Warszawie, inny na Pomorzu, jeszcze inny w Lublinie czy Krakowie. Wytworzyła się wówczas taka sytuacja, że prasa codzienna (poza oficjalnymi komunikatami) na ten temat się nie wypowiadała. Wówczas my staraliśmy się ukazać prawdę o wydarzeniach. Zamieściliśmy kilka publikacji zatytułowanych „Co dzieje się na naszych uczelniach?", pisząc między innymi o wydarzeniach w Bydgoszczy i w Toruniu. Pisało się wówczas całą prawdę.

Irena Wiertel

„Kontrasty" — Białystok

Organizacja dzisiejszego spotkania została dobrze pomyślana. Chodzi przecież o wymianę doświadczeń, o ciekawe dla wszystkich informacje, nawet gdyby niektóre z nich były i znane. W sytuacji, kiedy powstają nowe pisma, sama wymiana doświadczeń to za mało. Chodzi mi w tym przypadku o to, że pisma powołuje się niejednokrotnie do życia po prostu na wyczucie. O pismach tych trzeba by było w ogóle mówić więcej i przy innych okazjach. Wypadałoby, aby zapraszano nas na dyskusje, na narady, np. w KC partii, żeby nie trafiali na nie tylko redaktorzy naczelni pism codziennych, ale również i nasi przedstawiciele. Czasopismom powinno się poświęcać o wiele więcej uwagi z tego chociażby względu, że pracują one w zupełnie innych warunkach niż prasa codzienna. Jeśli ukazuje się jakaś informacja w dzienniku, to siłą faktu musi ona być aktualna, u nas natomiast przygotowuje się materiały do druku na dwa miesiące wcześniej, wskutek czego wiele z nich może całkiem stracić na aktualności. Potrzebna więc jest jakaś pomoc dla nas w tym zakresie.

Omówię obecnie nasze pismo. W ub. roku wydawaliśmy jeszcze kwartalnik, w tej chwili natomiast miesięcznik. Staramy się skupić wokół niego różne środowiska, podejmując w związku z tym różne inicjatywy. W roku bieżącym podjęliśmy ich kilka. Między innymi raz na dwa tygodnie organizujemy dyskusję pod hasłem: „Między nami z „Kontrastami". Podstawą do tego rodzaju dyskusji jest reportaż lub artykuł zamieszczony w naszym piśmie, a dotyczący przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Białegostoku. Ta nasza inicjatywa wzbudziła duże zainteresowanie w mieście. Kiedy na przykład w pierwszym numerze „Kontrastów" zamieściliśmy artykuł zatytułowany „Polska na powiatach stoi", wywołało to bardzo ożywioną dyskusję przy zapełnionej po brzegi sali. Między innymi padło wiele uwag krytycznych. Przede wszystkim mówiono w nich o niedoinwestowaniu, niedorozwoju gospodarczym i kulturalnym powiatów, zagarnianiu natomiast wszystkiego do miasta wojewódzkiego.

Zorganizowaliśmy dotychczas trzy spotkania. Będą one nadal kontynuowane. W najbliższym czasie zamierzamy podyskutować na temat roli filii Uniwersytetu Warszawskiego, która działa w Białymstoku już od roku.

Staramy się skupiać i skupiamy wokół siebie między innymi młodych pisarzy i poetów. Przy „Kontrastach" powstała grupa pisarzy. Nie ma u nas jeszcze oddziału Związku Literatów Polskich, ci więc, których skupiliśmy wokół naszego pisma, nie są jeszcze członkami ZLP.

Staramy się również dotrzeć do studentów, by nawiązać z nimi kontakty, no a trzeba przyznać, że studentów tych mamy już dość dużo. O studentach mówi się często, że chadzają oni własnymi drogami, trzeba więc czynić wszystko, by wszędzie tam, gdzie się z nimi da coś zrobić, przyciągnąć ich do naszej pracy.

Kolejna sprawa, którą pragnę poruszyć, dotyczy jakiegoś odgórnego uregulowania różnych spraw finansowych, bo rzeczywiście dysproporcje w honorariach między prasą centralną a regionalną są zbyt duże.

Chciałabym jeszcze zwrócić uwagę na kłopoty, jakie wyłaniają się przed nami przy zdobywaniu zdjęć dla naszych potrzeb. Wydaje mi się, że sprawę tę dobrze by było załatwić globalnie, ażeby np. przedstawiciele CAF przekazywali nam fotografie zaliczane im następnie do planu.

O kłopotach można by zresztą było mówić dość wiele, nie brakuje nam ich bowiem. Również i warunki naszej pracy nie są najlepsze, a przecież do dobrej pracy zobowiązuje nas chociażby zainteresowanie, jakim się już cieszymy. Wydajemy w tej chwili 3 tysiące egzemplarzy, a w niedługim czasie, bo w kwietniu br., zwiększymy nasz nakład do 3 500 egzemplarzy.

Edgar Milewski

„Litery" — Gdańsk

Dużo się mówi o modelu pism regionalnych. Mój osobisty pogląd na te sprawy, pogląd wypływający z 6-letniej pracy w piśmie regionalnym, sprowadza się właściwie do tego, że każde pismo jest w końcu czymś żywym i tak je też trzeba traktować. Różnorodność pism regionalnych jest chyba wyrazem różnorodności regionów.

Chciałbym poruszyć właściwie dwa problemy wynikające z funkcji pism regionalnych. Przede wszystkim myślę tu o inicjatywach, które wybiegają poza ramy tych pism i są inicjatywami społecznymi o szerszym zasięgu. Można je podejmować naturalnie w oparciu o pewne konkretne doświadczenia. Jedną z takich podjętych przez nas inicjatyw była sprawa pamiętników ludzi morza. Podjęliśmy się tego przedsięwzięcia, pomimo że istnieją u nas takie pisma, jak „Morze", „Tygodnik Morski". Z faktem tym musieliśmy się liczyć i stąd nasze obawy, czy ta inicjatywa spotka się z właściwym oddźwiękiem ze strony czytelników i tamtych pism. Widzieliśmy jednak potrzebę podjęcia tej problematyki chociażby z uwagi na 25-lecie Polski Ludowej oraz kontrasty, jakie zarysowały się na naszym terenie dość ostro, jeśli się zestawi 20-lecie międzywojenne właśnie z 25-leciem Polski Ludowej.

Z naszą koncepcją wystąpiliśmy dość nieśmiało do RSW „Prasa" i należy stwierdzić, że przyjęta ona została z pewną rezerwą, trudno było bowiem z góry przewidzieć, czy się to uda, czy nie. Z dużą pomocą przyszedł nam w tym zakresie Związek Zawodowy Marynarzy i Portowców. Przypomniał on jednak, iż podobne inicjatywy były już podejmowane, wszystkie z nich jednak sprowadzały się właściwie do tego, że napływało trochę anegdot na tematy morza, trochę jakichś opisów i tym podobnych historii, nigdy natomiast nie było jakichś głębszych treści społecznych i walorów bardziej trwałych, o które zabiegaliśmy. Dodatkową trudność stanowił fakt, że występowaliśmy teraz z inicjatywą do środowiska nie należącego do kręgu naszych stałych czytelników. W naszej imprezie miało zamiar wziąć udział kilkaset osób, jak mogliśmy to obliczyć na podstawie telefonów i innych zapytań, w rezultacie jednak otrzymaliśmy ostatecznie 58 utworów, z czego ponad 30 to są właściwie książki, które po minimalnej adiustacji mogą zostać wydane. Podobnych plonów nikt chyba się nie spodziewał.

Drugi problem, który wiąże się także z modelem naszego pisma, dotyczy dorocznych nagród i wyróżnień. Przed laty istniały nagrody artystyczne województwa i miasta Gdańska, zostały one jednak zlikwidowane. Wytworzyła się więc pustka, a wraz z nią okazja do jej wypełnienia. W redakcji powstała więc koncepcja nadawania „orderu". Dziś można śmiało powiedzieć, że nabrał on już odpowiedniej rangi, odznaczenie to bowiem obejmuje wszystkie dziedziny twórcze oraz sprawy upowszechnienia. W roku bieżącym laureatem było np. między innymi Towarzystwo Kulturalne w Elblągu, nie mówiąc już o szeregu osób, znanych nie tylko w naszym województwie.

W mojej wypowiedzi chciałbym też powiedzieć parę słów już nie tyle o inicjatywach redakcyjnych, ile w ogóle o pewnych sprawach środowiska, wiążących się tak czy inaczej z naszym warsztatem pracy.

Może najpierw o naszych numerach tematycznych czy monograficznych. W odniesieniu do tej kwestii słyszy się różne głosy. Obserwujemy jednak takie zjawisko, że np. numery monograficzne trafiają do uczelni, do bibliotek szkolnych, są wykorzystywane przez wiele osób, w tym również i przez młodzież. Stanowi to sygnał, że rzecz jest potrzebna.

Z ciekawszych numerów warto będzie przypomnieć numer poświęcony Malborkowi, czy też numer poświęcony 50 rocznicy Rewolucji Październikowej. Był to numer szczególnie cenny. Znalazły się w nim nawet przekłady ze środowiska literackiego Leningradu.

W naszych planach na rok bieżący mamy numer z okazji 20-lecia NRD. Uzyskaliśmy zgodę na wysłanie do NRD naszej ekipy, która w czasie pobytu w tym kraju zbierze liczne materiały.

Jeżeli mowa o popularyzowaniu pism regionalnych, to wydaje mi się, iż w akcji tej największe usługi mogłaby nam oddać telewizja.

Funkcja pism regionalnych jest najmniej wdzięczna, a problemów wyłaniających się przed nami bardzo wiele. Do nas nie przychodzą wielcy politycy, naukowcy i artyści, trzeba opierać się na politykach, naukowcach i artystach „powiatowych", a to już w znacznym stopniu zmienia postać rzeczy.

Romuald Karaś

„Sztandar Ludu" — Lublin

Reprezentuję tu nie „Sztandar Ludu", lecz siebie. Jestem tylko czytelnikiem wielu pism. Wydaje mi się, iż dzisiejsze sympozjum jest swego rodzaju zjazdem liliputów, bo takie właśnie przede wszystkim pisma są na nim reprezentowane. Sam ten proces wydaje się być zdecydowanie negatywny w zestawieniu z wielką centralizacją, której odwrócenie jest niemożliwe. Wytworzyły się modele Paryża, Warszawy i na tym też tle rodzą się tutaj pewne kompleksy, które raz po raz wychodzą.

Niektóre pisma czy zespoły starają się wystawić sobie pewne kapliczki. Nieporozumienie z tym związane tkwi chyba w tym, że pisma te nie grupują raczej tego rodzaju zespołów, żeby one chciały coś zmienić.

Wydaje mi się, iż w pismach regionalnych powinny znajdować się materiały szczególnie cenne dla terenu. Ostatecznie występuje się w nich w interesie społecznym. Bezbarwność tych pism jest tymczasem zasadą. Brakuje przede wszystkim jakiejś pomysłowości. Np. w „Kamenie" drukuje się fragment książki Machejka, która została już wydana. Całą stronę poświęca się jubileuszowi pewnego aktora. To samo można odnieść do wielu innych publikacji i to samo do wielu innych pism regionalnych.

Zastanawiam się, na czym w ogóle powinny opierać swój rozwój pisma regionalne. W każdym razie tworzenie nowych tytułów, nowych liliputów nie wydaje mi się słuszne. Słuszne byłoby natomiast oparcie się raczej na prasie codziennej, której oddziaływanie czytelnicze jest znacznie szersze i znacznie bardziej wielokierunkowe. Należałoby więc pójść raczej w kierunku rozbudowy cotygodniowych dodatków — magazynów do prasy codziennej. I nakłady są duże, i czytelników jest dużo, a więc i oddziaływanie znacznie szersze.

W publikacjach trzeba by też było pokazywać różne konflikty. Warto więc teraz uderzyć się we własne piersi, nie szukać winy w pismach centralnych. Co tu zresztą wiele mówić: pisma centralne redagowane są na znacznie wyższym poziomie i dlatego też publikacje ukazujące się w pismach regionalnych nie miałyby szans ukazania się w pismach centralnych.

Jeśli mówię o pismach regionalnych, to chciałbym jeszcze dodać, że ratunek dla nich nie tkwi chyba w pieniądzach. Powinny one szukać ciekawego zaplecza pisarskiego, literackiego. Jak jest z tym zapleczem, najlepiej to zaobserwować na przykładzie chociażby środowiska lubelskiego, z którego ciągle odpływają jednostki zdolne. Nawet ci, którzy zostali tu przekreśleni, gdzie indziej zdobywają pracę i szanse — jakich nie mieli w Lublinie. Nikt nie ma odwagi zrobić szczerej analizy istniejącego stanu rzeczy, a analiza taka, rzetelna analiza, bardzo by się przydała.

Tadeusz Kupis

Studium Dziennikarskie przy UW — Warszawa

Z wielkim zainteresowaniem wysłuchałem głosu swojego przedmówcy, tym bardziej, że uwagi jego w dość istotny sposób odbiegają od moich poglądów.

Przedmówca użył na wstępie swego wystąpienia sformułowania, że pisma regionalne są liliputami. Ze swej strony nie będę przytaczał jakiejś definicji tego rodzaju pism, chciałbym natomiast określić naszą prasę regionalną społeczno-kulturalną jako młody las, który rośnie powoli, lecz systematycznie, na pustej porębie. Taka jest moja odpowiedź na to zapewne niefortunne określenie red. Karasia w omawianych kwestiach.

W dalszej części swej wypowiedzi chciałbym odwołać się z kolei do pewnych fragmentów wystąpienia tow. Kossaka, który mówił między innymi o stopniowym likwidowaniu czasopism regionalnych przed rokiem 1956. Dr Kossak mówił zarazem o perspektywach rozwojowych naszego państwa, o tym, że utworzona zostanie żelazna siatka, której punktami zasadniczymi będą stutysięcz-

→

Kazimierz nad Wisłą

ne miasta. Roztacza się więc przed nami wizja prawidłowego rozwoju całego kraju. W związku z zachodzącymi procesami, które są aktualnie realizowane i które rysują się w perspektywie, wiele zadań będzie musiało być wypełnianych przez ośrodki wojewódzkie. Bez względu na to, jakbyśmy to nazwali, mamy taki stan, że jesteśmy właściwie federacją województw. Najlepszym przykładem tej federacyjności może być chociażby to, że próby tych pism międzywojewódzkich, które chciały objąć swym zasięgiem większe tereny, nie bardzo się udały. Są to fakty, które trzeba umieć uszanować.

Była tutaj mowa o funkcjach prasy regionalnej społeczno-kulturalnej. Ze swej strony pragnąłbym dorzucić do tego tematu garść pewnych refleksji.

Przede wszystkim chcę stwierdzić, że funkcji tej prasy należy doszukiwać się nie tylko w pewnych walorach kulturalnych, ale i kulturowych. Jeśli mówimy o miłości ojczyzny, o patriotyzmie, o integracji społecznej naszego dynamicznie rozwijającego się społeczeństwa, to w pojęciach tych mieści się zapewne i miłość do własnego województwa, regionu, miasta, nawet jakiś sentyment do ulicy, przy której się mieszka. Wydaje się, że w tym wieloszczeblowo rozumianym patriotyzmie, w wieloszczeblowej postawie patriotycznej powinna mieścić się prasa społeczno-kulturalna, której głównym zadaniem jest integracja społeczno-kulturalna i społeczno-kulturowa mieszkańców danego terenu z całą jego bogatą historią. Kulturotwórcza rola prasy regionalnej w odniesieniu do własnego regionu powinna być czymś podstawowym, zasadniczym.

W szkolnictwie kładzie się obecnie duży nacisk na wychowanie obywatelskie. Z faktem tym prasa regionalna społeczno-kulturalna powinna się liczyć. Dlatego też poważnym jej odbiorcą powinno stać się między innymi nauczycielstwo.

Jednym z wniosków jest to, że czasopisma regionalne z uwagi na swój charakter powinny w przedmiocie wychowania obywatelskiego, w nauce historii, w nauce historii literatury w szkołach podstawowych i w szkołach średnich, stać się czynnikiem kształtowania świadomości młodych ludzi, nie tylko jako obywateli w ogóle kraju, ale i przede wszystkim obywateli określonego regionu. Wiąże się z tym zarazem kwestia zwalczania wszelkich obsesji zaściankowości i kompleksów. To, co reprezentował np. red. Karaś, nazwać by było można kompleksem zaścianka.

Rozwój naszego kraju przewiduje wyrównanie dość zauważalnych różnic między centrum, jakim jest Warszawa, a ośrodkami pozawarszawskimi.

W dotychczasowej dyskusji spr wą dość mocno akcentowaną była kwestia sytuacji i pozycji prasy społeczno-kulturalnej. Wydaje się, że w tej mierze robi się między innymi stanowczo za mało na odcinku upowszechniania. To, o czym wspominał np. tow. Król, jakich metod szukają niektóre czasopisma dla zdobycia czytelników, a nie tyle czytelników, co odbiorców, bynajmniej nie pociesza. To nie jest droga. Rozwijanie prenumeraty, owszem — jest celowe, ale pod tym warunkiem, że będzie to prenumerata indywidualna, nie zbiorowa. Jest to ekonomicznie i pozaekonomicznie opłacalna forma upowszechniania.

Z innych kwestii warto wskazać na to, że w ostatnich dwóch latach prowadziłem badania ograniczające się wprawdzie do problemów prasy codziennej i tygodników, niemniej jednak pewne wyniesione stąd obserwacje mogą znaleźć zastosowanie również i w odniesieniu do dwutygodników oraz miesięczników. Otóż między innymi pragnę wskazać na to, że jeśli chodzi o prasę codzienną i tygodniki, to daje się zauważyć zjawisko nabywania tych pism w sposób systematyczny i wyrywkowy. Szczególnie ciekawe wydają się być motywy czytelnictwa dorywczego. Jak się okazuje, jedną z podstawowych przyczyn czytelnictwa dorywczego jest np. to, że ktoś dowiedział się z przeglądu prasy o jakimś ciekawym artykule, który go zainteresował i to też stało się przyczyną, że nabył dane pismo. Z tego wniosek, że np. przeglądy prasy są dla czytelników czymś bardzo istotnym. Wykorzystywanie tego rodzaju kanałów dodatkowych dla upowszechniania czytelnictwa jest więc jak najbardziej celowe. W lokalnych programach telewizyjnych w rozgłośniach Polskiego Radia powinny więc być dokonywane przeglądy prasy regionalnej. Podwyższyłyby one sprzedaż tych czasopism. Od czytelnictwa dorywczego przechodzenie do czytelnictwa stałego nie jest zresztą zjawiskiem odosobnionym.

Chciałbym teraz poświęcić garść uwag szkole i młodzieży szkolnej. Otóż w jednym z dość dużych miast przemysłowych o ponad 70-tysięcznej liczbie mieszkańców przeprowadzone badania wykazały gwałtowny spadek sprzedaży czasopism regionalnych w okresie wakacyjnym. Wskazuje to w sposób dobitny, że czasopisma te nabywane były w znacznym stopniu przez młodzież, do czego musieli zachęcić ją nauczyciele. Niech fakt ten stanie się sygnałem dla innych czasopism regionalnych społeczno-kulturalnych, że z treściami zawartymi w tych czasopismach trzeba również umieć docierać do szkół, a w nich, i do nauczycieli, i do uczniów.

Kwestia następna odnosi się do wzajemnych stosunków między tzw. prasą ogólnopolską a regionalną. Wydaje się tu, że rozwój prasy regionalnej powinien wpływać wzbogacająco na treść prasy ogólnopolskiej. Jest tu jednak pewna kwestia poruszana nie tylko przez niektórych dyskutantów, ale i przez tow. Króla. Konkretnie chodzi o honoraria. Problem ten wciąż jest problemem dyskusyjnym i dyskutowanym. Wymaga on zebrania bardzo różnych opinii i jakiegoś wypośrodkowania ich. Jeśli jest np. tak (operuję tu danymi abstrakcyjnymi), że za tę samą publikację w czasopiśmie regionalnym otrzymuje się 500 zł, natomiast gdzie indziej płaci się za nią tysiąc zł, to ukierunkowanie bodźców wskazuje dobitnie na prasę centralną.

Przechodząc do innych kwestii chciałbym stwierdzić, iż prasa ogólnopolska powinna jednak częściej penetrować łamy czasopism regionalnych społeczno-kulturalnych, doszukiwać się na nich pozycji wybitnych, których nieupowszechnienie równałoby się szkodom społecznym. Mieliśmy w ostatnich latach okresy, w których tak właśnie się postępowało. I tak np. w roku ubiegłym gdzieś od marca do września w „Trybunie Ludu" znaleźć można było wiele cennych przedruków z prasy wojewódzkiej. Czy musi się tak dziać tylko wyjątkowo z okazji jakichś kampanii? Osobiście uważam, że nie.

To samo, o czym mówiłem przed chwilą, powinno dziać się w relacji: czasopisma regionalne i czasopisma o zasięgu ogólnopolskim. Zamieszczenie w czasopiśmie o zasięgu ogólnopolskim ciekawej publikacji autora z czasopisma regionalnego byłoby wielkim wyróżnieniem dla tego autora, a zarazem dawałoby satysfakcję całemu zespołowi redakcyjnemu danego czasopisma regionalnego, który na pewno kładłby coraz większy nacisk na jeszcze lepsze redagowanie czasopisma. Tutaj jest jeszcze wiele do zrobienia.

Przeglądam niektóre czasopisma regionalne, między innymi „Kontrasty". Sam teren województwa, w którym jest redagowane to pismo, zaliczyć należy do bardzo ciekawych. Darzę dużym szacunkiem tych ludzi, którzy bardzo silnie związani są emocjonalnie ze swoim regionem i robią dla niego wszystko, co tylko możliwe.

Zastanawiam się, czy dla tego typu prasy, jaką jest prasa regionalna, nie warto by było wydawać specjalnego biuletynu Agencji Robotniczej, stwarzając jej w ten sposób publicystyczne zaplecze agencyjne. Kwestia na pewno warta jest przedyskutowania.

Porównując czasopisma regionalne do młodego lasu, chciałbym dać jeszcze inne porównanie, a mianowicie do studni głębinowych, zawierających w sobie zdrowe źródła.

Jan Goczoł

„Poglądy" — Katowice, Opole

W ostatnich miesiącach podjęto w Opolu energiczne starania o powołanie do życia czasopisma regionalnego. Starania te są już bliskie sukcesu. Istnieje w tej sprawie specjalna uchwała Sekretariatu KW partii, spodziewamy się więc, że od stycznia 1970 roku i my powinniśmy mieć swój miesięcznik. Zabiegi o utworzenie podjęto znacznie wcześniej. Mieliśmy już nawet jeden tytuł — „Odrę", jednak spłynęła ona Odrą do Wrocławia. Istniało wiele różnych przyczyn, które spowodowały, że nie doczekaliśmy się jeszcze następnego.

Potrzeba posiadania przez Opole własnego regionalnego czasopisma społeczno-kulturalnego jest bardzo pilna. Specyfika Opolszczyzny jest jakaś szczególna. Chodzi tu o pewne fakty polityczne, które wydarzyły się na tej ziemi. Znajdują one między innymi swój wyraz w wielkiej migracji ludności. W regionie tym znalazły się grupy ludności o bardzo różnych tradycjach, różnicach zewnętrznych itd. Tam też występuje szczególny problem tzw. autochtonów. Wiadomo, że w pewnych okresach było wiele tarć, całkiem zresztą naturalnych w tego rodzaju sytuacjach, że zderzały się ze sobą różne tradycje. Gdyby od początku istniało u nas pismo regionalne, na pewno wiele spraw dałoby się dzięki niemu rozwiązać. Przede wszystkim chodzi tu o problem integracji, o którym tak pięknie mówił w swym wystąpieniu doc. Kupis.

Na froncie działalności kulturalnej najważniejsi są oficerowie i podoficerowie liniowi, a więc aktyw kulturalny i etatowi działacze społeczni i polityczni. Tym oficerom i podoficerom liniowym powinny być oddane czasopisma regionalne, przekazujące jakąś bardzo głęboką wiedzę o swym regionie, o ludziach w nim mieszkających, a zarazem kształtujące społeczeństwo zgodnie z generalną linią polityczną i społeczno-kulturalną. W tych działaniach frontowych wiele było u nas dotychczas niepowodzeń. Do dziś zresztą popełnia się szereg błędów, jest dużo nieporozumień.

Mówiąc o Opolszczyźnie nie wystarczy ograniczyć się tylko do autochtonów. Wchodzi tu w grę również problem osadników. Osadnikom też nie stworzyło się nowego mitu tej ziemi, na której teraz zamieszkują. Dzienniki, pisma codzienne mitu tego nie stworzą. Nie stworzą go, choćby starały się publikować najbardziej przemyślane pozycje. Zadanie to może być wypełnione jedynie przez miesięczniki czy dwutygodniki. Do „Trybuny Opolskiej" pisali przecież i tacy ludzie jak prof. Suchodolski czy inni. I cóż z tego wyszło? W każdym razie nie to, co by wyjść mogło, gdyby rzecz ukazała się w innym „opakowaniu".

Z Opolszczyzną wiąże się wreszcie kwestia województwa, wciśniętego między dwa kolosy: katowicki i wrocławski. Jesteśmy województwem, które nazwać można buforowym. Jest to czymś nienaturalnym. Wszystkie te trzy regiony mają wiele wspólnych momentów historycznych, jak też i wiele wspólnych perspektyw przyszłościowych. Rysuje się jakiś wielki subregion Polski. Granice województw śląskich jednak nie tylko istnieją, ale w jakiś dziwny sposób wywierają swój wpływ na brak ściślejszych więzów pomiędzy trzema jednostkami administracyjnymi.

Nawiązując do wypowiedzi red. Karasia chciałbym stwierdzić, że łatwo iść szturmem na bagnety, ale ciągle jeszcze brakuje nam pozytywnej pracy u podstaw, skierowanej do odbiorcy, który potrafi ocenić formy, ale który przede wszystkim przyjmuje treści. Pisma centralne i regionalne powinny się wzajemnie uzupełniać.

Romuald Wiśniewski

„Kamena" — Lublin

Czytam nieraz, ile to jest na świecie pism deficytowych i ile z nich jest w związku z tym likwidowanych. U nas z tego powodu pisma się nie zamyka, nie mówiąc już o likwidowaniu tak deficytowych placówek, jak teatry, filharmonie itd. Jest to zdobycz naszej socjalistycznej kultury.

Słyszymy tutaj głosy, że „Kamena" sprzedawana jest w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu i to w znacznie większych ilościach, niż np. w Rzeszowie. Sądzę, że prasa kulturalna stanowi w tej chwili jedyną możliwość ogólnopolskiej wymiany doświadczeń kulturalnych, dzielenia się tym, co dzieje się w życiu kulturalnym naszego kraju. Rzecz jasna, że najwięcej musi dziać się pod tym względem w Warszawie i Krakowie, ale z drugiej strony nie można sobie wyobrazić życia Polski bez innych miast, np. Wrocławia, o których przeciętny obywatel wie na ogół bardzo niewiele. Ogląda on wprawdzie audycje telewizyjne, od czasu do czasu może zobaczyć jakiś zespół artystyczny, szczególnie tzw. mocnego uderzenia, ale już znacznie rzadziej np. orkiestrę symfoniczną.

Nie istnieją natomiast żadne kłopoty, aby mieszkaniec jakiegokolwiek miasta mógł czytać prasę z całej Polski. W związku z tym spadają na nas bardzo poważne zadania i bardzo duża odpowiedzialność za to, by pismo kulturalne odzwierciedlało działalność twórczą poszczególnych ośrodków wojewódzkich. Może tego dokonać prasa regionalna, nie dokona natomiast np. „Kultura".

Mówiąc o wymianie materiałów pomiędzy pismami regionalnymi chciałbym podkreślić, że taka wymiana zmuszać nas będzie do pokazywania czytelnikowi tego, co się dzieje w całej Polsce, a zarazem zmusi poszczególne redakcje do lepszego przedstawiania na swych łamach wszystkiego, co dzieje się na ich terenie.

Nie zgadzam się ze zdaniem kolegi z Łodzi, że Warszawa nie dostrzegając tego, co się dzieje poza jej granicami, postępuje niesprawiedliwie. Jeśli nie dostrzega rzeczywiście — to postępuje szkodliwie.

W Lublinie urządziliśmy Festiwal Powiatów. Sam pomysł był niewątpliwie znakomity, wykonanie może nieco gorsze, ale organizowało się taką rzecz na tak dużą skalę po raz pierwszy. Samo zorganizowanie festiwalu powiatów naturalnie nie oznacza, że się w nich nic nie dzieje, gdyby jednak tego festiwalu nie było, to nasz obraz o ich życiu stałby się o wiele uboższy.

Co nam daje ten festiwal? Czy gdyby do niego nie doszło, życie kulturalne Zamościa, Hrubieszowa, Puław czy Białej Podlaskiej byłoby inne? Skądże! Pod tym względem nic festiwal nie zmienił. Natomiast zorientował nas, mieszkańców Lublina, w tym, co się dzieje w poszczególnych powiatach. Zorientował też nawzajem mieszkańców tych powiatów. A zatem festiwal wzbogacił naszą świadomość o to, jak tętni życie kulturalne w województwie, jakie ono jest bogate i zróżnicowane, ile istnieje tam ciekawych zespołów artystycznych, jak barwna, świeża jest twórczość ludowa. Wielu ludzi, którzy sądzili, że tylko ktoś lub coś z Lublina wart czy warte jest pokazania w tak zwanym terenie, a nigdy odwrotnie — przekonało się, że było w błędzie. Festiwal unaocznił nam z całą plastycznością mapę kulturalną województwa lubelskiego.

Polsce potrzebny jest nieustający festiwal wymiany kulturalnej. I o ile nie stać nas zapewne z różnych względów, m. in. materialnych, na wymianę teatrów, operetek, filharmonii, zespołów amatorskich i innych przejawów życia kulturalnego, to możemy wymieniać regionalną prasę społeczno-kulturalną. A jej łamy powinny się stać odbiciem tego wszystkiego, co się dzieje w kulturze, co zaprząta świadomość Polaka w dziedzinie pozamaterialnej. Jeśli Warszawa, Kraków, Poznań lub Lublin nie będą wiedziały o tym, co w tej właśnie dziedzinie dzieje się we Wrocławiu, mieszkańcy Wrocławia nie będą o to ubożsi duchowo. Ale będą ubożsi nie wiedząc, czym żyje mieszkaniec Rzeszowa, Białegostoku i Koszalina. Życie kulturalne Polski koncentruje się w Warszawie. Lecz Warszawa to nie cała Polska, a tylko Warszawa. Wzajemna wymiana musi obejmować wszystkie ośrodki. Sądzę, że obecnie naprawdę jedyną możliwość takiej wymiany daje regionalna prasa społeczno-kulturalna. W konsekwencji spada na nas bardzo trudny i bardzo odpowiedzialny obowiązek. Musimy go jednak podjąć — gdyż w przeciwnym wypadku świadomość nasza o tym co się dzieje w kulturze polskiej, będzie o wiele uboższa.

Jerzy Torończyk

Teatr im. J. Osterwy — Lublin

W czasopismach społeczno-kulturalnych tego typu, jakie są tu reprezentowane, stanowczo za mało miejsca poświęca się sprawom krytyki. Rzecz nie w recenzjach, a w krytyce teatralnej, której obserwuje się coraz mniej. Poza środowiskiem warszawskim i krakowskim zaczyna ona zanikać. A to jest źle i na kwestię tę trzeba zwracać więcej uwagi, szczególnie właśnie w czasopismach społeczno-kulturalnych.

Krzysztof Kostyrko

„Nurt" — Poznań

Pojęcia „zapotrzebowanie społeczne" używamy często w sposób mechaniczny, przenosząc je z języka ekonomiki na grunt procesów kulturalnych, procesów kształtowania świadomości społecznej. I tutaj ono w jakiejś mierze funkcjonuje, jest to jednak pojęcie na tym gruncie dość zafałszowane, czuje się bowiem stale niedosyt tego, co być powinno. Z tym zapotrzebowaniem społecznym często jest tak, że jeśli zajmiemy się np. problemami młodzieży, seksem, przerywaniem ciąży itp., to chwilowo można zwiększyć liczbę czytelników. Czytelnicy ci mają swoje „oczekiwania", które nietrudno rozpoznać. Nietrudno jest je zarazem zaspokoić. Wyraża się to w raptownym wzroście nakładów. Ale przecież nie tylko o to nam chodzić powinno i nie jest rzeczą obojętną, w jaki sposób ten wzrost osiągamy.

Niekiedy postępuje się u nas w ten sposób, że gdy staje się aktualna np. sprawa wychowania obywatelskiego, to od razu powołuje się do życia nowe pismo zatytułowane „Wychowanie Obywatelskie", jak by nie można było znaleźć żadnych innych rozwiązań. Nie wydaje się to słuszne, istniejące pisma w zasadzie bez dodatkowych kosztów mogą to zadanie wypełnić lepiej.

Sprawą bardzo istotną jest kształtowanie kultury pisarskiej, na naszych łamach nie znajduje ono jednak należytego odzwierciedlenia. Jest ono nieproporcjonalnie niskie w stosunku do nakładu wniesionej pracy. W jaki sposób kształtować kulturę pisarską i czytelniczą? Na dobrą sprawę tego nikt za dobrze nie wie, co sobie powoli uświadamiamy. Jest to tymczasem zadanie bardzo ważne. Szereg pism ma w tym zakresie już teraz dość duże zasługi. Wielkie zasługi, większe w każdym razie niż się to nawet wydaje, ma np. „Kamena". To samo można by powiedzieć o naszym piśmie, w którym przywiązujemy dość dużą wagę do tej sprawy, spotykając się zresztą z bardzo różną reakcją ze strony środowiska.

Gdybyśmy poprzestali na funkcji pokazywania pewnych zjawisk zachodzących w danym regionie i z drugiej strony na kształtowaniu kultury pisarskiej, wybijając te właśnie zadania na pierwszy plan, to moglibyśmy zapomnieć o innych zadaniach stojących przed pismem, takich jak zadania organizatorskie w kształtowaniu wizji kulturalnej regionu. Zdajemy sobie sprawę, że np. województwa białostockie i koszalińskie stają wobec bardzo trudnych zadań organizatorskich, że ich praca w tym zakresie musi być obliczona na czas dłuższy. Inny natomiast zespół zagadnień występował będzie w takich pismach jak „Odra", „Litery" czy „Nurt".

Wydaje mi się, że na każdym etapie każdemu z naszych pism grozi prowincjonalizm. Nie zależy to tylko od zespołu redakcyjnego. Wypływa to stąd, że nasze ośrodki kulturalne stoją przed szeregiem zagadnień, które są, czy wydają się być, prowincjonalnymi. Jest to kwestia bardzo złożona.

Z kolei pragnę się zatrzymać nad sprawą specjalizacji pism regionalnych. Wydaje mi się, że jeśli będziemy widzieli ten problem, to zabezpieczymy poszczególne pisma przed spłycaniem słusznych idei. Oczywiście specjalizacja nie jest rzeczą prostą. „Odra" ma np. opinię zasłużonego pisma w rodzinie formalnie pojętych pism regionalnych, trudno jednak powiedzieć, czy ona już tę specjalizację osiągnęła, czy jest jej do niej blisko. W każdym razie w piśmie tym czuje się inny punkt spojrzenia, w tym przypadku czuje się zainteresowanie problematyką niemiecką w znacznie szerszym stopniu, niż czynią to np. inne pisma. Występują tam pewne odrębne tony. Podobnie ma się rzecz z „Literami", gdzie zainteresowania zespołu redakcyjnego skupiają się na innych sprawach.

Wydaje mi się, że dla każdego z naszych pism można by było znaleźć tego typu zagadnienia, które byłyby odrębne w płaszczyźnie kultury kraju. Oczywiście, jeśli mówimy o odrębności, to jest to możliwe tylko pod jednym warunkiem, że dane pismo będzie się stopniowo wprowadzać na „rynek" ogólnopolski, „rynek" kultury, gdyż inaczej pismo takie nie utrzyma się długo w swych ambicjach. Kwestia rozprowadzania tego rodzaju pism wydaje mi się zagadnieniem drugorzędnym.

Każdy z dyskutantów patrzy tylko na pewien krąg spraw. Gdyby zaś spojrzeć inaczej, wówczas można by było stawiać pewne postulaty do realizowania wszystkim, a jednocześnie rozdzielać inne zadania, także na tygodniki, na magazyny, na dodatki niedzielne. Należałoby spojrzeć na całą rodzinę istniejących pism przez pryzmat tego, jakie zadania powinny one wypełniać na odcinku kultury w całości, a jakie specyficzne w swoim regionie.

Jednym z istotnych problemów wartych omówienia jest też kwestia poruszona przez tow. Kossaka, który powiedział między innymi, że działalność kulturalna będzie musiała być limitowana, ponieważ są olbrzymie potrzeby w zakresie budownictwa szkół, szpitali, domów mieszkalnych. Jeżeli więc w kulturę nie będzie się zbyt wiele inwestować, trzeba zacząć lepiej wykorzystywać te środki, które zostały już wydatkowane. Powinniśmy się wspólnie zastanowić, co robić, by mimo to kultura w całym kraju rozwijała się nadal, jak przekształcić mapę kulturalną Polski w ten sposób, aby wszystkie regiony były zintegrowane i mogły sobie wzajemnie przekazywać różne wartości. To jest przecież możliwe i nasze pisma mają tu olbrzymie pole działania.

Ireneusz G. Kamiński

„Głos Szczeciński" — Szczecin

Tego typu spotkania, jak dzisiejsze, są bardzo pożyteczne. Mnie osobiście dają one dużo do myślenia. Nasuwa się wiele problemów, wiele praktycznych wniosków. Proponowałbym, aby przyszłe sympozjum poświęcić już ocenie pracy czasopism regionalnych.

Cała nasza obecna dyskusja dotyczyła problemów związanych ściśle z pismami regionalnymi. Wszystko, co zostało powiedziane na ten temat, było ciekawe, choć wyłoniło się przy tym wiele problemów dyskusyjnych. Nie przeczy to jednak temu, że uwagi były bardzo cenne. Wystąpienia analityczne mogą nas doprowadzić do wspólnych wniosków i ustalenia przynajmniej zrębów wspólnej polityki w zakresie czasopism regionalnych. Dyskutować w zawieszeniu, w abstrakcji, jest łatwo, trudniej natomiast o wnioski do działań praktycznych.

Zgodzę się z tym, o czym było tutaj między innymi mówione, że „Litery", „Odra" i „Nurt" mają innych adresatów niż pozostałe pisma tego typu, ale fakt ten odbija się też i na nakładach. Na tym tle wyłania się pytanie, czy zwracać się bardziej do środowiska inteligentnego, środowiska twórczego, czy też spełniać szersze zadania wobec szerszego grona czytelników. Kwestię tę warto by było przedyskutować na następnym naszym spotkaniu w oparciu o przygotowane do tego materiały. Rozstrzygnięcie tego problemu byłoby kolejnym krokiem naprzód w naszej pracy.

Kamena str. 10

Władysława Majewska

„Sztandar Młodych" — Warszawa

Wydaje mi się, iż źle się stało, że przedstawiciele poszczególnych pism regionalnych nie przywieźli ze sobą swoich pism. Pozwoliłoby to urządzić ich wystawę, poprzeć dyskusję konkretnymi przykładami.

Trzeba wreszcie przełamać kompleks niższości pism regionalnych. To jest fakt, że ludzie, którzy piszą do pism centralnych, są inaczej traktowani niż ci, którzy współpracują z prasą regionalną.

Mówiło się dziś dużo o dziennikarzach z Warszawy. Ja też jestem ze stolicy i chciałabym ze swej strony stwierdzić, iż dziennikarze stołeczni uczą się pisać właśnie w terenie — od robotników, od chłopów, od młodzieży. Gdy chodzi o wzajemny stosunek prasy regionalnej i prasy centralnej, powinno się dokonać rzetelnego rozrachunku właśnie tu — na sympozjum. Chciałabym też powiedzieć, że powinniśmy popierać wszyscy jak najbardziej inicjatywy, mające na celu tworzenie pism regionalnych.

Marek Jaworski

„Współczesność" — Warszawa

W dzisiejszych obradach wziąłem udział przypadkowo, przebywam bowiem w Kazimierzu na urlopie i oficjalnie nie uczestniczę w sympozjum. Pomimo tego chciałbym ustosunkować się do niektórych poruszonych tu zagadnień.

Od wielu lat mamy do czynienia z wynurzeniami, z których wynika kompleks niedoceniania w prasie centralnej spraw terenu, spraw różnych regionów. Osobiście odnoszę wrażenie, iż pojęcie, o którym mowa, jest z gruntu fałszywe. Poczucie jakiegoś „niedopieszczenia" tkwi wyłącznie w świadomości tych ludzi, którzy o tym mówią. Dla nich artykuł, który ukazuje się w prasie regionalnej, jest mniej ważny aniżeli ten, który ukazuje się w centralnej prasie w Warszawie. Dotyczy to również zarzutów, które były tu sformułowane w ten sposób, że prasa centralna nie dostrzega pism terenowych. Zarzuty tego rodzaju są naprawdę gołosłowne. Ja sam dokonuję przeglądów prasy we „Współczesności", mogę więc coś na ten temat powiedzieć. Najlepiej zobrazowałoby tę kwestię odpowiednie podsumowanie.

To samo, co powiedziałem wyżej, dotyczy materiałów. Okazuje się, że np. w ostatnim numerze „Współczesności" prawie połowa wszystkich materiałów pochodzi z Poznania. Wydaje mi się, że gdybyśmy dokonali przeglądu od tej strony innych pism centralnych, to kwestia ta również nie wyglądałby tak źle, jak się o tym słyszy. Weźmy chociażby pod uwagę „Tygodnik Kulturalny". On też publikuje masę materiałów z terenu.

Krótko mówiąc, wydaje mi się, że te wszystkie pretensje, jakie się zgłasza, są chyba niesłuszne. Poza tym organizowanie tego typu spotkania, jak dzisiejsze, pogłębia jeszcze zadrażnienia. Ze swej strony wypowiadałbym się więc za rozszerzeniem składu uczestników przyszłych sympozjów właśnie o przedstawicieli pism warszawskich, którzy mogliby się na te tematy wypowiedzieć. Wydaje mi się, jak zresztą już to podkreśliłem, że prasa warszawska i tak poświęca dość dużo miejsca sprawom terenu.

(Tu padło wyjaśnienie przewodniczącego obrad, że przedstawiciele tacy zostali zaproszeni, ale nie wszyscy z zaproszenia tego skorzystali).

Nasuwa się jeszcze jedna uwaga. Otóż wydaje mi się, iż terenem najbardziej pokrzywdzonym, jeśli chodzi o pisma regionalne, jest... sama Warszawa. Warszawa nie ma przecież swojego pisma regionalnego. Istnieje taki paradoks, że najmniej pisze się na temat życia kulturalnego samej stolicy. W związku z tym należałoby postulować, aby w przyszłości powstało również pismo regionalne dla Warszawy.

Zdzisław Hardt

Ośrodek Dziennikarstwa przy ZG SDP — Warszawa

W związku z wysuniętymi już uprzednio wnioskami chciałbym zaproponować, aby z okazji naszego następnego spotkania wziąć na warsztat dwa do trzech czasopism regionalnych, ale za to przygotować bardzo dokładną ich analizę. Analiza taka powinna uwzględniać program tych czasopism, ich profil, podejmowaną problematykę regionalną, sprawy czytelnictwa i inne kwestie.

Weźmy np. pod uwagę „Kamenę". Pismo to znajduje odbiorców nie tylko w swoim województwie, ale również w szeregu innych, jak np. w krakowskim czy wrocławskim. Sądzę, iż sprawy te warte są bliższego zbadania. Niektóre zagadnienia mogłyby być podjęte i przez nasz Ośrodek. Dobrze by było, gdyby następne nasze spotkanie odbyło się jesienią tego roku.

Przed wyborami i jubileuszem PRL

Bronisław Gołębiowski

Jak stwierdził autor, jego wypowiedź to „refleksje i propozycje", związane z okresem przedwyborczym do Sejmu i rad narodowych oraz zbliżającego się jubileuszu 25-lecia PRL. Bogactwo form dziennikarskich, inicjatywa i pomysłowość poszczególnych redakcji, konkretne warunki różnych środowisk i regionów niewątpliwie rozszerzą i pogłębią proponowaną tematykę. Publikując fragmenty tego wystąpienia, przeznaczonego w zasadzie dla dziennikarzy, sądzimy, że mogą one być wykorzystane także przez działaczy politycznych, gospodarczych i kulturalnych, zarówno w akcji przedwyborczej jak i w organizowaniu obchodów, związanych z rocznicą wyzwolenia.

Głównym naszym zadaniem powinno być przedłużenie tej aktywności politycznej partii i społeczeństwa, która znalazła wyraz w kampanii i uchwale zjazdowej i towarzyszyła konferencjom wojewódzkim PZPR. Bardzo istotna jest owa ciągłość działania. W toku kampanii wyborczej chcemy bowiem te problemy doprowadzić do świadomości całego społeczeństwa i skonkretyzować na płaszczyźnie ideowej FJN. Szczególnie w tych ważnych dziedzinach życia narodu, które dotyczą dalszego rozwoju systemu demokracji socjalistycznej, samorządności, ludowładztwa, wychowania i dyscypliny obywatelskiej. Takiemu zintegrowanemu ciągowi naszej pracy sprzyjają proponowane główne terminy akcji wyborczej i obchodów 25-lecia.

Przede wszystkim należałoby pokazać przejawy bohaterstwa, poświęcenia, walki z kontrrewolucją i walki o plan, awansu społecznego z tamtych lat, wykorzystując w tym celu biografie ludzi pracy, pamiętniki itp. Awans ludzi ze środowisk chłopskich i robotniczych powinien być głównym motywem w ukazywaniu tego, jak zmieniło się oblicze społeczne narodu, jego struktura demograficzno-ekonomiczna i cywilizacyjno-kulturalna. Nadal podstawowym problemem jest ukazywanie kierowniczej roli klasy robotniczej, która w ostatnich latach pod każdym względem staje się zbiorowym gospodarzem kraju. Trzeba to ukazywać jako proces, a nie fakt wynikający „z nadania", bo tego właśnie czasem nie rozumieją niektórzy przedstawiciele młodego pokolenia.

Mam tu na myśli przede wszystkim: a) zagadnienie klasy robotniczej jako klasy najpełniej reprezentującej naród w jego dążeniu do socjalizmu z racji jej siły ekonomicznej i politycznej, liczebności, stałego wzrostu, wchłaniania w siebie całych odłamów innych klas i warstw, co zmienia strukturę społeczną narodu; b) zagadnienie przemian zachodzących wewnątrz klasy robotniczej, która wraz ze wzrostem poziomu technicznego przemysłu i innych gałęzi gospodarki staje się klasą w coraz większym stopniu wysoko kwalifikowanych, myślących szerokimi kategoriami społecznymi i ekonomicznymi fachowców z różnych dziedzin; c) zagadnienie przemian w świadomości politycznej i ideologicznej klasy robotniczej, która powstając z różnych klas i warstw, przede wszystkim z chłopstwa, dojrzewa coraz bardziej do sprawowania pełniej niż dotąd funkcji gospodarza kraju poprzez swą partię, samorząd robotniczy i system rad narodowych, a tym samym staje się potężnym czynnikiem dyscypliny społecznej i socjalistycznego patriotyzmu.

Na tym tle nadal bardzo aktualne są problemy inteligencji i pracowników umysłowych — w kilku szczególnie aspektach. Polemicznie — w stosunku do tez rewizjonistów, którzy starają się część inteligencji przeciwstawić partii i klasie robotniczej poprzez realne ukazywanie wielkiej roli twórczej inteligencji technicznej i humanistycznej w organizowaniu procesów produkcyjnych, życia społecznego i kulturalnego. Tę rolę inteligencji partia wysoko ceni, walcząc jednocześnie z ujawniającymi się u części inteligencji postawami menażerstwa, technokratyzmu, wynoszenia się ponad klasę robotniczą i partię, absolutyzowania roli techniki i nauki w procesie postępu społecznego itp.

Powinniśmy szerzej ukazywać fakt, że na takich postawach żeruje rewizjonizm, że z nich wyrasta często biurokracja, bezduszny stosunek do człowieka pracy, złe funkcjonowanie instytucji czy ich ogniw. Zjawiska te rzutują na mnożenie się konfliktów i tarć w stosunkach międzyludzkich, oddziaływują demoralizująco na społeczeństwo, anarchizują je, uczą lekceważenia prawa, bezkarności i innych wad.

Podkreślać wypada szczególnie zadania inteligencji humanistycznej, nauczycieli — wychowawców, działaczy politycznych i społecznych w dziedzinie przekazywania nowym pokoleniom ideologii socjalizmu, tradycji narodowych, wiedzy o społeczeństwie oraz w zakresie formułowania nowych ujęć i tez ideologii klasy robotniczej, dokonywanych w oparciu o przemiany zachodzące w życiu społecznym. Na tym tle trzeba demaskować istotne cele ośrodków rewizjonizmu, które zwykle największy atak przypuszczają na środowiska inteligencji humanistycznej i nauczycielskiej, starając się je opanować i poddać je swoim wpływom, aby w ten sposób móc kształtować w duchu rewizjonizmu młode pokolenia. Jaskrawą ilustracją tego są zabiegi ośrodków rewizjonizmu u nas, poprzedzające i przygotowujące wydarzenia marcowe.

Pełniej jeszcze ukazać należałoby społeczeństwu, dlaczego partia polskich komunistów jest jednocześnie politycznym reprezentantem interesów narodu, rozumianego jako więź ludzi pracy. Jeszcze raz akcentować fakt, że komuniści wysunęli jedyną historyczną koncepcję rozwoju społecznego i narodowego Polski, którą potwierdziły dzieje najnowsze w postaci konkretnej 25-letniej realizacji. Ten element potwierdzenia przez historię, sprawdzenia się w praktyce koncepcji, wykutej w warunkach okupacji hitlerowskiej w okresie narodzin PPR w 1942 r. jest szczególnie istotny.

Przewidzieć również powinniśmy znaczne ożywienie problematyki życia wewnątrzpartyjnego, a szczególnie w zakresie intensyfikacji pracy POP z kandydatami i młodymi członkami partii, w zakresie leninowskich norm życia wewnątrzpartyjnego, działalności politycznej POP w środowiskach robotniczych, chłopskich, na wyższych uczelniach itp. Jesteśmy bowiem partią pod względem stażu członków bardzo młodą.

Demokracja socjalistyczna i jej funkcjonowanie powinno być główną tematyką tego okresu. W tym, bardzo obszernym i istotnym zakresie tematycznym na czoło wysunąć — jak sądzę — należałoby następujące aspekty: a) walka o pełne wykorzystanie i sprawne funkcjonowanie instytucji demokratycznych, które istnieją; b) kształtowanie postaw obywatelskich, patriotycznej odpowiedzialności za wykonanie powierzonych zadań zawodowych i społecznych, podnoszenie wydajności i kultury pracy, dyscypliny społecznej, troski o wspólne mienie narodowe; c) mobilizowanie opinii przeciwko wszelkim elementom czy tendencjom anarchicznym, aspołecznym, nieodpowiedzialności i nieobowiązkowości w pracy i w życiu społecznym; d) umacnianie praworządności socjalistycznej w oparciu o przestrzeganie prawa, umacnianie autorytetu władzy państwowej i władz samorządowych, wykonywanie uchwał i planów demokratycznie podjętych, rozwijanie szerokiej i pryncypialnej krytyki społecznej.

Powinno nam zależeć na tym, aby utrzymać i rozwinąć rzetelną, pryncypialną metodę krytyki publicznej w prasie, bez względu na stanowisko krytykowanego. Szczególnie w tych wypadkach stosowaną, gdy uderzać trzeba w sobiepaństwo, biurokratyzm, łamanie prawa, nieodpowiedzialność, partykularyzm, brak skromności itp. Jednocześnie wprowadzać powinniśmy zwyczaj, który z czasem przyjmie się jako coś naturalnego, wynikającego z naszego systemu demokratycznego, że krytyka błędów czy złych nawyków działacza lub funkcjonariusza państwowego nie oznacza przekreślenia go w opinii publicznej, pozbawienia stanowiska. Szczególnie jeśli stara się on naprawić wytknięte mu błędy, czy zmienić niedobre decyzje, nawyki, postępowanie.

Ważną częścią kampanii wyborczej winna się stać ocena realizacji programu wyborczego FJN w latach 1966—1968. Generalnie w tym okresie mamy się czym pochwalić jeśli chodzi o uruchomienie nowych inwestycji, ich szerszą rejonizację, rozbudowę i modernizację przemysłu, intensyfikację i wyniki w rolnictwie itp.

Ważna sprawa to szereg nie zrealizowanych punktów programów lokalnych FJN z 1966 r., które obecnie będą przypominane przez wyborców. Najlepiej będzie, jeśli tych spraw nie będziemy przemilczać, lecz realnie wyjaśniać, dlaczego takie czy inne obiekty „wypadły z planu", na jakie trudności napotykała ich realizacja, lub po prostu kto jest odpowiedzialny za niezrealizowanie danego punktu programu wyborczego, jeśli nie ma istotnych przyczyn, które by nie pozwalały na jego realizację.

Z powyższym wiąże się sposób popularyzacji nowego programu wyborczego i perspektyw podnoszenia poziomu życia społeczeństwa w latach 1969—1970, a także zadań gospodarczych w głównych zarysach do 1975 r. Oczywiście głównym zadaniem będzie jak najszersze propagowanie założeń programu. Główny akcent proponujemy położyć na rozwojowy charakter inwestycyjnego wysiłku narodu i dopracowywanie się zespolenia rewolucji socjalistycznej — jak mówił tow. Gomułka na zakończenie V Zjazdu — z rewolucją naukowo-techniczną. Jest to bowiem istota całego wysiłku, jaki w najbliższych latach wkładać będziemy w rozwój gospodarki kraju, zarówno w przemyśle jak i w rolnictwie.

25-lecie powinno być szeroko ukazywane w kontekście naszego znaczenia jako państwa na mapie politycznej świata, ciągłego wzrostu tego znaczenia i jego źródeł, którymi są fakt przynależności do obozu państw socjalistycznych i wzrost potencjału ekonomicznego kraju. Ciągle istotne w tym kontekście jest demaskowanie natury współczesnego imperializmu światowego. Jest to zadanie pierwszoplanowe ze względu na obecną sytuację międzynarodową. Przede wszystkim trzeba nadal ukazywać imperialistyczną taktykę wywoływania stałego napięcia międzynarodowego przez prowadzenie lub inspirowanie wojen lokalnych (Wietnam, Bliski Wschód) w celu opanowania militarnego, ekonomicznego i politycznego trzeciego świata.

Powinno to łączyć się z ukazywaniem biegunów sprzeczności w rozwoju cywilizacyjno-technicznym (ekonomicznym) istniejących między kapitalistycznymi krajami najwyżej i najniżej rozwiniętymi oraz z ukazaniem i udokumentowaniem tendencji do pogłębiania się tych przepaści. W związku z tym — ukazywanie i analizowanie klasowych, rasowych i narodowościowych sprzeczności świata kapitalistycznego, a szczególnie USA, z ich napiętą kwestią murzyńską.

Stałym i ciągle na nowo rozwijanym tematem powinna być polityka NRF i jej główne w obecnej chwili tezy. Szczególnie ostro powinniśmy atakować odrodzenie się faszyzmu w NRF oraz różne rewizjonistyczne ziomkostwa.

Bardzo istotną i eksponowaną problematykę nadchodzącego okresu stanowić winny zagadnienia jedności państw socjalistycznych. Jest to związane z przygotowaniami do moskiewskiej narady partii komunistycznych i robotniczych, która odbędzie się w Moskwie. Problematykę tę należy rozwijać w kilku istotnych aspektach, wynikających z sytuacji politycznej w świecie i w obozie socjalistycznym.

Przede wszystkim ukazać należy w pełni kwestie teoretyczne i polityczne zasady, że powinna to być „jedność w różności". Jedność postawy wobec imperializmu i walki z nim — przy różności specyficznych rozwiązań problemów wewnętrznych danego kraju socjalistycznego. Szczególnie podkreślać powinniśmy, że nacjonalizm i separatyzm jest największą groźbą dla „jedności w różności", bowiem przekreśla więzy trwałe na rzecz eksponowania nie różności koncepcji i rozwiązań, lecz właśnie mogących się zdarzyć różnic drugorzędnych interesów. Konsekwencją tego może być — co należy sygnalizować głównie od strony teoretycznej — w określonej sytuacji międzynarodowej otworzenie furtki w danym kraju do rozpoczęcia procesu wrastania kraju socjalistycznego w kapitalizm.

Głębiej ukazywać powinniśmy nierozerwalne więzy sojuszu politycznego i militarnego oraz współpracy ekonomicznej, łączące nas ze Związkiem Radzieckim.

Możemy dziś już ocenić, że dywersyjny atak ośrodków i elementów antykomunistycznych i antypolskich w świecie i w kraju, który nastąpił na przełomie 1967 i 1968 r., a następnie w marcu ub. roku, skończył się generalną przegraną tych ośrodków i elementów. Nie możemy jednak wykluczyć, a nawet można przewidywać dalsze ataki światowego antykomunizmu, który w lęku przed rozszerzaniem się idei socjalizmu w świecie podejmie nowe środki i nowe formy atakowania państw socjalistycznych. Dlatego jednym z głównych torów rozwoju publicystyki w najbliższym okresie powinno być demaskowanie współczesnego antykomunizmu i form dywersji ideologiczno-politycznej z zagranicy, w powiązaniu z działaniem reakcyjnych elementów w kraju.

Rozszerzyć musimy zakres tematyczny i grono autorów frontu walki z rewizjonizmem, a przede wszystkim w zakresie konstruktywnego formułowania problematyki demokracji socjalistycznej, roli klasy robotniczej, partii, samorządności, ludowładztwa, odpowiedzialności i dyscypliny obywatelskiej i pracowniczej, państwa ludowego itp. Są one bowiem atakowane przez rewizjonizm szczególnie zaciekle, były przedmiotem demagogii w roku ubiegłym, nie zostały do końca wyjaśnione i teoretycznie uzasadnione. Mogą i zapewne będą na tle kampanii wyborczej wielokrotnie wracać jako ważne problemy.

Zdjęcia z obrad CAF — J. Huzar

Kamena str. 11

Sprawy na Sejmik

Dokończenie ze str. 1

produktem: tam możliwa jest tylko recenzja. Natomiast wszędzie tam, gdzie widać jakieś organizacyjne niedopasowanie, jakąś niespójność zespołu wywierającą ujemny wpływ na poszczególne osiągnięcia — w innych warunkach mogące być znaczniej bardziej udanymi — należy skupić uwagę i szukać metod poprawy. Nie chodzi już o tę oklepaną „integrację", aczkolwiek po odjęciu oklepania jest to postulat wciąż aktualny, ale nie za wiele mamy spraw, które by wokół siebie stwarzały napięcie środowiskowe, a konflikty jeśli są, posiadają najczęściej charakter antagonizmów osobistych.

Ta właśnie atmosfera — oprócz wielu czynników rzeczywiście obiektywnych — ma wpływ na to, że do niedawna nie mieliśmy w mieście kabaretu, nie mamy innych przejawów amatorskiej inicjatywy teatralnej, nie mamy t.zw. drugiej sceny, to znaczy teatru czy teatrzyku, prezentującego repertuar mniejszego, dyskusyjnego kalibru. Owszem, Teatr im. J. Osterwy wystąpił z zamiarem prezentowania sztuk współczesnych za pośrednictwem tzw. „teatru przy stolikach" i temu tylko przyklasnąć, ale całe prawie ćwierćmilionowe miasto mogłoby jakoś wyraźniej zaakcentować swoje na tym polu ambicje.

Przy tym temacie warto nie pominąć kwestii dość wstydliwie przemilczanej, mianowicie chwytliwości, atrakcyjności teatru w środowisku. Wiele podskórnych opinii o tym krąży i dobrze będzie, jeśli Wojewódzki Sejmik stanie się wreszcie trybuną wyraźnych i otwartych wypowiedzi. Można z różnych stron tę sprawę potraktować, niemniej jednak — kiedy stanowisko krytyczne pod adresem zespołu aktorskiego i rodzaju wystawianych sztuk daje się odczuć tak często — warto zauważyć zjawiska, mające miejsce po drugiej stronie rampy.

W każdym razie lubelski teatr nie jest chyba gorszy od zainteresowania teatrem u lubelskiej publiczności. Te dwa zjawiska się wzajemnie warunkują i zainteresowanie to można by zwiększyć polepszając teatr, ale i vice-versa: aktywniejszy front widowni jest w stanie podbudować pracę teatru, jeśli ta według niektórych opinii nie skutkuje należytym efektem. Także do omówienia pozostaje sprawa nowego teatralnego gmachu, operetki, sali widowiskowej — również nie w trybie zbędnych zagalopowań, ale dla wyjaśnienia sytuacji, wymagającej wreszcie oczyszczenia, czy z niesłusznych pretensji czy wygórowanych apetytów.

Środowisko literackie w obecnym okresie ma chyba nie najgorszą passę, skoro na rynku księgarskim pojawiło się sporo książek lubelskich autorów, a ostatnie trzy lata przyniosły trzy literackie doroczne nagrody wojewódzkie i tyleż nagród ministra kultury i sztuki.

Najliczniejsze z twórczych — środowisko plastyczne — utrzymuje bieżące kontakty z innymi województwami za pośrednictwem udziału w tamtejszych wystawach okręgowych i prezentowania pozalubelskich twórców na naszym terenie. Dość często odbywają się wystawy indywidualne plastyków lubelskich w salach BWA. Do wspomnianych już plenerów zwierzynieckiego i puławskiego dodać należy tradycyjną już wystawę „Przeciw wojnie", która jest imprezą o zakroju ogólnopolskim.

Tak więc Sejmik będzie czymś w rodzaju bilansu XXV-lecia, ale przede wszystkim startem do nowych zamiarów i dokonań. Oprócz zintensyfikowania twórczości artystycznej, oprócz podniesienia jakości swego artystycznego produktu, plastycy, aktorzy, literaci i muzycy lubelscy niewątpliwie zwrócą uwagę na związek swej pracy z zagadnieniami polskiej współczesności w ogóle, z oddziaływaniem na kształtowanie nowych, socjalistycznych pierwiastków w świadomości społecznej. Ten rezultat dyskusji i działań będzie najistotniejszą legitymacją wkładu, jaki środowisko twórcze wniesie w rozwój życia kulturalnego naszego regionu.

Zygmunt Mikulski

O klubach wiejskich bez entuzjazmu

W SIEDZIBIE Uniwersytetu Ludowego w Gardzienicach, k. Lublina, odbyły się ostatnio interesujące, kilkumiesięczne kursy, mające na celu przygotowanie kadr gospodarzy klubów „Ruchu" i Rolnika. Inicjatywa — sama w sobie interesująca, uwzględniając fakt, że wspomniane kluby w wielu wsiach lubelskich są j e d y n y m i placówkami kulturalno-oświatowymi. Nie we wszystkich jednak dzieje się najlepiej. Udostępniono nam sprawozdania uczestników, a właściwie uczestniczek, jednego ze wspomnianych kursów. Dziewczęta w ramach zajęć praktycznych przebywały po kilka dni w poszczególnych klubach. Oto co piszą po powrocie:

K. Dąbek, M. Kwiatek i Z. Budziłowicz: „Byłyśmy w Klubie Rolnika w Piotrowicach (pow. bychawski). W klubie jest radio, adapter i telewizor. Sam budynek został zbudowany przed trzema laty. Warunki, zdawałoby się, wymarzone. Niestety... Rada klubu bardzo słabiutko uwidacznia swą działalność. Członkowie tłumaczyli się brakiem czasu: prawie wszyscy pracują w miejscowym POM-ie i wszyscy są bardzo młodzi. Są i inne trudności. GS wypożyczyła lokal od POM-u i stąd rodzą się ciągłe nieporozumienia. Był taki okres, że do klubu przychodzili sami „pomowcy", bo przecież to lokal POM-u. Zarząd GS, który płaci za lokal, pragnie, aby klub służył całej ludności wsi. I słusznie..."

M. Derylak, I. Barcik i H. Gołąb: „Byłyśmy w Przedmieściu Zamojskim, koło Szczebrzeszyna. Wioska liczy około 240 gospodarstw. Klub jest mizerny, budynek, w którym się mieści, należałoby jak najszybciej wyremontować. Rada klubu istnieje, ale nie kontaktuje się z klubem, ponieważ jej członkowie pracują poza wioską. Organizacje młodzieżowe też nie prowadzą na miejscu żadnej działalności. Chciałyśmy zorganizować zebranie ZMW, niestety, sam przewodniczący nie przyszedł. Natomiast udało się nam zrobić spotkanie z uczestnikami klubu, miałyśmy pogadankę o uniwersytecie w Gardzienicach. Padło tyle pytań, że byłyśmy zaskoczone. Zauważyłyśmy, że młodzież jak i starsi słuchają prelekcji z dużym zainteresowaniem. Widać z ich wyrazu twarzy, że chcą, aby ktoś w klubie był i żeby mogli pożytecznie spędzić czas."

T. Machałek, E. Flaga, E. Puchacz i H. Jaworska: "Klub we wsi Mokre jest dobrze wyposażony. Niestety, zebrania rady klubu odbywają się bardzo rzadko. Imprez w klubie jest też nie za wiele. Zorganizowałyśmy wieczór gier i zabaw dla najmłodszych. Cieszył się on dużym powodzeniem."

Z. Lis, W. Maksymiuk i L. Oszajca: „Sobieska Wola — nazwa wsi pochodzi od Jana Sobieskiego, który tu dłuższy czas przebywał. Teraz wioska ma ponad 1000 mieszkańców. Koło ZMW liczy 20 osób, niestety pracuje nie najlepiej; brak osób, które by umiały pokierować młodzieżą. A młodzież jest chętna do pracy, dąży m. in. do założenia teatru amatorskiego, ale nie ma instruktora. Zwracała się o pomoc do grona nauczycielskiego, ale nauczyciele powiedzieli, że nie chcą się w ich sprawy wtrącać. Po przyjeździe zastałyśmy w klubie straszliwy bałagan, ściany popleśniałe, ani jednej gazetki, krzesła połamane. Postanowiłyśmy, że w takim stanie klubu nie zostawimy. Zebrałyśmy młodzież ZMW. Chłopcy reperowali krzesła, a my, wraz z dziewczętami z koła, bieliłyśmy klub. Pojechałyśmy następnie do GS w Żółkiewce, gdzie wytargowałyśmy radio, płyty, popielnice, szklanki ze spodeczkami, kosz na śmiecie. Zrobiłyśmy gazetkę n.t. „25 rocznica wyzwolenia Ziemi Lubelskiej", wywiesiłyśmy hasło: „Nie tam czysto, gdzie często sprzątają, ale tam, gdzie mało brudzą". Klub zmienił się wprost nie do poznania. Naszym zdaniem — można wiele zrobić, byle tylko chcieć."

I. Semeniuk, M. Wielgus, B. Bańkowska: „Byłyśmy w Ostrowie, pow. Janów Lubelski. W Ostrowie jest tylko 56 gospodarstw. Brak tu szkoły. Jedyną placówką kulturalną jest Klub Rolnika. Działalność kulturalna jest, niestety, bardzo słaba, choć klub odwiedza sporo osób. Wszyscy siedzą bezczynnie, patrząc jedynie na ekran telewizora. Zorganizowałyśmy zebranie ZMW. Zorientowałyśmy się, że ZMW nic nie robi. Nie wie po prostu, co ma robić. Urządziłyśmy w klubie wieczorek taneczny, młodzież chętnie nam pomagała. Zatroszczyłyśmy się o punkt biblioteczny przy klubie. Bibliotekarka z biblioteki gromadzkej chętnie zgodziła się pożyczać książki z tego punktu. Miejscowa GS dba tylko o sprawy handlowe. O każdy karton, każdą farbę trzeba usilnie prosić, a przecież mają pieniądze na kulturę. Nam udało się wyprosić szafę na książki, apteczkę, gaśnicę. A więc można!"

Poza małymi wyjątkami (Firlej!) sprawozdania dziewcząt nie napawają optymizmem. Inaczej działalność klubów wygląda w sprawozdaniach, a inaczej w bezpośredniej obserwacji. Niepokoi stagnacja wielu kół ZMW, które miałyby tu duże pole do popisu.

Być może, absolwentki kursów w Gardzienicach, które wykazują tyle entuzjazmu, pokażą, jak naprawdę powinna wyglądać praca kulturalna w wiejskim klubie. Szczerze im tego życzymy. O ich inicjatywach, które warto rozpropagować w innych klubach, chętnie będziemy informować, tym bardziej, że nasze pismo do lubelskich klubów wiejskich dociera.

(j)

Czy pani doktor może iść do pani profesor?

„Iż Polacy nie gęsi..."

W NUMERZE 7/1969 „Polityki" ukazał się obszerny artykuł Mieczysława Szerera pt. „Pani doktor poszła do pani profesor". Autor użalał się na „poniewieranie językiem polskim w słowie drukowanym w prasie i słowie mówionym w radiu i telewizji" i przytaczał na dowód tego wiele pracowicie zebranych przykładów. Przedmiotem krytycznych uwag Szerera było przede wszystkim słownictwo środków masowego przekazu, przesycone wprowadzanymi bez istotnej potrzeby neologizmami i tak zwanymi wyrazami natrętnymi (zajmiemy się nimi innym razem), poza tym niewłaściwy szyk wyrazów, nadużywanie strony biernej i „maskulinizacja kobiet". Zdaniem autora kobiety „pozwalają na jawną degradację swej płci", używając tytułów zawodowych w formie męskiej (referent, kierownik, naczelnik, dyrektor, a nie: referentka, kierowniczka, naczelniczka, dyrektorka). Razi też Szerera „nieodmienianie stopni naukowych kobiet" — stąd właśnie tytuł jego wypowiedzi.

Artykuł Szerera jest niewątpliwie wyrazem jego serdecznej troski o język, o jego poprawność i piękno. Autor nie jest jednak językoznawcą i kieruje się w swych wypowiedziach nie tyle znajomością przedmiotu, ile intuicją, która go niekiedy zawodzi. Trudno na przykład uznać za słuszne jego uwagi krytyczne na temat tytułów zawodowych i naukowych kobiet. Wbrew bowiem twierdzeniu Szerera pozostawianie w formie męskiej tytułów zawodowych, jeśli się je odnosi do kobiet, nie ma nic wspólnego z „degradacją ich płci", lecz przeciwnie — wynika z dążenia do tego, by podkreślić, iż ważna jest wykonywana funkcja, nie zaś to, czy ją wykonuje kobieta, czy mężczyzna. Świadczy też o tym, że w zasadzie przestały już istnieć zawody i stanowiska zawodowe zastrzeżone dla mężczyzn. Nazywanie więc kobiety — zwłaszcza w stosunkach służbowych — referentem, naczelnikiem, kierownikiem, dyrektorem odpowiada potrzebom współczesnej rzeczywistości, dowodzi odzwierciedlania się w języku przemian społecznych.

Nie należy, oczywiście, wyciągać stąd wniosku, że utrwalone wieloletnią, a nieraz wielowiekową, tradycją formy żeńskie nazw wykonawczyń wielu zawodów straciły prawo obywatelstwa. Z pewnością pozostaną w dalszym ciągu w powszechnym użyciu takie żeńskie nazwy zawodowe, jak na przykład bieliźniarka, hafciarka, gorseciarka, praczka (nazwy wykonawczyń zawodów uważanych tradycyjnie za kobiece), aktorka, gospodyni, kasjerka, krawcowa, nauczycielka, (nazwy wykonawczyń zawodów od dawna dostępnych kobietom), maszynistka (bo termin maszynista oznacza inny zawód), sekretarka (bo sekretarz to współcześnie zwykle nazwa funkcji nie mającej nic wspólnego z pisaniem na maszynie i innymi obowiązkami sekretarki) itp. Jedne z tych nazw są i będą w obiegu przede wszystkim w mowie potocznej, inne uznaje za oficjalne również nomenklatura urzędowa. Nie ma też przepisu, który by zakazywał tytułować kobietę-naczelnika panią naczelniczką, a kobietę-dyrektora panią dyrektorką.. Na ogół jednak niewiasty pełniące takie funkcje nie bardzo sobie tego życzą, nie uszczęśliwiajmy ich więc wbrew ich woli...

Nawiasem mówiąc, niektórych tytułów zawodowych w ogóle nie można sobie wyobrazić w formie żeńskiej. Przypuśćmy na przykład, że kobieta zostanie wybrana marszałkiem Sejmu albo mianowana ministrem. Czy przyjdzie wtedy komukolwiek do głowy urabiać formy żeńskie tych godności? Chyba nikomu! Podobnie ma się sprawa z tytułami naukowymi: magister, doktor, docent, profesor itp. Używa się ich w formie męskiej zarówno w odniesieniu do mężczyzn, jak do kobiet. Słyszy się wprawdzie w mowie potocznej terminy: doktorka, profesorka, ale tylko jako nazwy zawodów (doktorka to kobieta-lekarz, profesorka jest grzecznościowym tytułem nauczycielki szkoły średniej).

Z „maskulinizacji" nazw wykonawczyń niektórych zawodów wyniknęły pewne komplikacje fleksyjne i składniowe, z którymi także trzeba się pogodzić. Jedną z nich jest właśnie nieodmienność tytułów zawodowych i naukowych zastosowanych do kobiet. Jeżeli mianowicie dodaje się do takiego tytułu nazwisko jego nosicielki albo poprzedza się go wyrazem pan, pani, obywatelka, towarzyszka itp., albo w jakiś inny sposób (formą przydawki lub orzeczenia) zaznacza się, że chodzi o kobietę — to nie przybiera on końcówek w przypadkach zależnych. Mówi się więc i pisze: rozmawiać z inżynier Kowalska, przeprowadzić wywiad z towarzyszką minister, nasza dyrektor wyjechała itd. A zatem wypowiedź: pani doktor poszła do pani profesor jest najzupełniej poprawna i słowotwórczo, i fleksyjnie, i składniowo. Taki się bowiem ustalił zwyczaj językowy i nie ma sensu kruszyć kopii o jego zmianę.

Witold Kochański

Kamena str. 12

POWTÓRKA Z POLSKIEGO

Powieść pozytywistyczna

Urszula Kowalska

ŚWIADOMOŚĆ polskiego pozytywizmu została ukształtowana przez europejskie prądy i tendencje filozoficzne i społeczne oraz przez dwa nieudane zrywy narodowowyzwoleńcze, które spowodowały wzmożenie represji zaborców, zacofanie gospodarcze i kulturalne kraju. W tej sytuacji, zdeterminowanej trudnościami życia Polaków pod zaborami, najświatlejsi ludzie połowy XIX wieku podjęli hasła pracy organicznej i pracy u podstaw w imię ambitnych planów szeroko zakrojonej odnowy społecznej. Ta postawa wobec rzeczywistości określiła społeczne zadania literatury pozytywizmu. Określiła ona również zgodną ze światopoglądem epoki zasadę kreacyjną literatury — mimetyzm, czyli próbę odzwierciedlenia rzeczywistości.

Zasada owa zyskuje swoje najpełniejsze realizacje w prozie — w rozpowszechnionej wówczas nowelistyce, w opowiadaniach i obrazkach oraz, najpełniej, w powieści. Literatura pozytywizmu odkrywa nam codzienność życia, jego skomplikowane i trudne problemy społeczne. Mając ambicje oddziaływania na zbiorowość, kształtowania jej przekonań i postaw moralno-społecznych, ukazuje życie proletariatu miejskiego i wiejskiego, życie mniejszości narodowych, chłopów, drobnych rzemieślników i ludzi czynu — lekarzy czy inżynierów.

Przyzwyczailiśmy się tak bardzo do konwencji powieści realistycznej, do jej sposobów przedstawiania świata fikcyjnego, że mamy złudzenie „odzwierciedlania" w niej rzeczywistości pozaliterackiej. Zdajmy sobie jednak sprawę, że twórczość jest zawsze procesem kreacji, opartym o zasady, nakreślone przez historycznie zmienną estetykę oraz założenia indywidualne artysty. Pamiętajmy również, że prezentacji świata w literaturze służy język, który musi zastąpić wszystko to, co w życiu wyraża się przez inne jakości: przez obecność ludzi, rzeczy, zjawisk przyrody. Nie istnieją dotąd sposoby przeniesienia rzeczywistości do świata sztuki; nawet kamera filmowa może zarejestrować tylko jego fragmenty, a wybierając je, dokonywa już pewnej kreacji.

Nie znaczy to, że nie istnieją sposoby przenoszenia elementów rzeczywistości do literatury, że nie ma żadnych relacji między nią i życiem. Owe wzajemne związki i zależności prezentuje najpełniej właśnie powieść realizmu krytycznego, która stara się ukazywać typowe problemy, typowych bohaterów oraz procesy społeczne. Fragmenty rzeczywistości, odpowiednio wyselekcjonowane i przykrojone do potrzeb określonego utworu, służą dokumentacji tez przedstawianych przez autora w fikcyjnej fabule. Zatracają one jednak swoje dotychczasowe uzasadnienia i związki, wchodzą w nowe układy i zaczynają funkcjonować jako integralny składnik dzieła literackiego. Widać to wyraźnie choćby na przykładzie zestawienia, jakiego dokonała M. Warneńska w próbie tropienia realiów „Lalki" Prusa. Jakkolwiek autor oparł się na obserwacji pewnych konkretów, nie jest dla nas ważne, czy istniał taki sklep i tacy subiekci, ponieważ zżyliśmy się z określoną wizją Warszawy końca XIX wieku i patrzymy na nią oczyma narratora i bohaterów.

W początkach pozytywizmu, w okresie jego heroicznych i optymistycznych przekonań, że postęp nauki i techniki jest w stanie zapewnić szczęście ludzkości, zlikwidować rażącą niesprawiedliwość społeczną i wychować ludzi na nowych zasadach, powieść wyraża dydaktyczna i agitacyjna tendencyjność, ilustruje tezy programowe. Widać to w „Marcie" Orzeszkowej i w „Placówce" Prusa. Orzeszkowa przedstawia problem konieczności emancypacji kobiet, zapewnienia im możliwości pracy na równi z mężczyznami, równouprawnienia pod każdym względem. Tezę ową ilustruje pokazaniem losu nie przygotowanej do samodzielności kobiety, którą warunki życia zmuszają do poszukiwania jakiegokolwiek zarobku. Przebieg fabularny utworu musi doprowadzić do tragicznego końca, bowiem w innym przypadku ideowe założenia utworu nie rysowałyby się tak wyraziście. Orzeszkowa, występująca jako narratorka przedstawianej rzeczywistości, nie szczędzi czytelnikowi bogatego komentarza, w którym zawiera osąd zdarzeń i wskazuje na ponadjednostkowe wymiary problemu.

„Placówka" mniej idealizuje swoich bohaterów, ukazując okrutny w walce o byt świat wiejski, w którym mimo ciemnych stron można odnaleźć wartości autentyczne. Są nimi przywiązanie do ojcowizny, poczucie zrośnięcia z ziemią, podświadomy patriotyzm i siła, która pozwala chłopu przetrwać ciężki okres. Ciąg fabularny powieści i komentarz odautorski poddają wartościowaniu postawy różnych klas społecznych (szlachty i chłopów) i wskazują, że w tym świecie ocenę pozytywną mimo wszystko może zyskać tylko klasa chłopska.

W późniejszym okresie, kiedy zaczęły się rysować wewnętrzne sprzeczności pozytywizmu jako ideologii burżuazji, powieść przechodzi znamienną ewolucję. Od reprezentowania tendencji zwraca się ku obserwacji życia. Zaciera tak wyrazistą początkowo ideowość utworów i ich dydaktyzm i stara się ukazać panoramę życia. Dokonywa tego przez konfrontację różnych warstw społecznych, przez analizę interesów klasowych i postaw swoich bohaterów. Coraz bardziej interesuje ją codzienność, nobilitowana do godności zasadniczego tematu literatury. Prus w jednej z *Kronik tygodniowych* pisał:

Przypatrz się temu żebrakowi, chłopu, robotnikowi — oni nie są brzydcy, każdy z nich to kopalnia brylantów, byleś je szukać umiał. Nie pogardzaj ich brudnym i połatanym ubiorem bo i on ma strony malownicze. Rozmawiaj z dziećmi i prostaczkami, a w ich naiwnych poglądach znajdziesz nowe źródło zadowolenia i mądrości.

Realizm tej powieści był niejako sposobem poznania świata, budowania go z drobnych obserwacji codzienności, z fragmentów poddających się twórczej interpretacji. Zasada prawdopodobieństwa fikcji powieściowej, obejmująca prawdopodobieństwo zdarzeń, sytuacji i postępowania bohaterów, pozwoliła na kreację narratora ukrytego i wszechwiedzącego, który informuje nas o pobudkach działania postaci, o ich poglądach, myślach i zamierzeniach. Świat przedstawiony jest wytłumaczalny do końca. Jest zamknięty określonymi ramami kompozycyjnymi (najczęściej ciągłością losu głównego bohatera), jest zdeterminowany prawami rządzącymi w społeczeństwie i przez to doskonale czytelny dla odbiorcy.

Powieść tego typu zwykliśmy nazywać realistyczną i przypisywać jej właściwości odzwierciedlania świata. Iluzji tej służyły dodatkowo takie zabiegi, jak indywidualizacja wypowiedzi poszczególnych postaci (wprowadzenie elementów gwary dla charakterystyki społecznej postaci, obdarzenie bohatera specjalnymi właściwościami językowymi — np. styl wypowiedzi Rzeckiego, wprowadzenie żargonu środowiskowego czy narodowościowego dla prezentacji określonej grupy itp.), opis topograficzny, zwracanie uwagi na elementy stroju występujących postaci.

W łonie pozytywizmu zrodziła się tendencja do wierności dla szczegółu, do stosowania techniki fotografii. Nowej metodzie literackiej towarzyszyły wielokrotne wypowiedzi programowe jej twórców i entuzjastów — Zoli, Maupassanta, braci Goncourt i innych. Starano się uzasadniać ową teorię zdobyczami ówczesnej nauki, szczególnie jej dyscyplin biologicznych oraz wyraźnie przeciwstawić innym sposobom literackiej kreacji. Jednakże sam Zola mówił, iż utwór jest widzeniem rzeczywistości przez temperament artysty, czyli owa „naukowość" w traktowaniu materiału literackiego wydaje się trochę problematyczna.

Naturalizm w swej fazie początkowej (zwany dziś często „małym realizmem") nie różnił się zbyt widocznie od innych metod tych czasów. Nie interesowała go wprawdzie typowość problemów i postaci, sięgał najczęściej po drastyczną problematykę społeczną i obyczajową i nie zdradzał ambicji syntezy. Wycinkowość tej literatury widać wyraźnie w twórczości Zapolskiej i w niektórych utworach Reymonta, Gruszeckiego, Sygietyńskiego, Dygasińskiego i innych. Naturaliści stosowali często mniej lub więcej ujawniane analogie między światem ludzkim i naturą, eksponowali drugorzędną w powieści realizmu krytycznego erotykę i wyrażali ostrzejszy sprzeciw wobec kultury mieszczańskiej. Trudno jednak mówić o zasadniczych różnicach w technice powieściowej, które mogłyby dotyczyć najwyżej sposobu eksponowania brzydoty i stosowanie innego typu opisu. Ze względu na ambicje demaskatorskie ideałów i dążeń mieszczaństwa, naturalizm oddziałał w dużym stopniu na późniejszy trochę modernizm.

PRZECIW ŚMIERCI

Konrad Bielski

TYTUŁ ukradłem od Mulforda, do tego przyznaję się od razu, choć sądzę, że niewielu już ludzi czytało i pamięta tę uroczą książkę, przepełnioną najszlachetniejszym dziewiętnastowiecznym, dziś mocno anachronicznym optymizmem, którą w swoim czasie zachwycali się Bolesław Prus, Tadeusz Rittner i inni. Wprawdzie tam śmierć występuje w zupełnie odmiennym kontekście, ale jestem przekonany, że do mego pisania ten tytuł pasuje i dlatego go użyłem.

Nie będę pisał pod kątem fachowych inwagacji. Bardziej jako świadek, człowiek czujący i literat — najmniej jako prawnik, choć mam za sobą wiele lat praktyki w tym zawodzie.

Rzecz będzie o karze śmierci.

Nie mam zamiaru rozważać i przytaczać argumentów przeciw. Zrobili to już inni przede mną i znacznie lepiej, choć z miernym skutkiem, bo kara śmierci pozostała i ma jeszcze przez długi czas obowiązywać w naszym prawie. Ograniczę się jedynie do przytoczenia kilku faktów, gdy w czasie długoletniej praktyki w zawodzie obrońcy zetknąłem się z nią bezpośrednio. Niech one mówią same za siebie, tym bardziej, że przedstawiam je ze skrupulatną dokładnością. Dziś — fakt pierwszy

Historia wydarzyła się wiele lat przed wojną, gdy rozpocząłem dopiero swą praktykę. Byłem jeszcze aplikantem u znanego adwokata. W tym czasie w województwie popełniono ohydną zbrodnię, która dosłownie wstrząsnęła społeczeństwem. Sprawcą jej był młody chłopak, ale już pełnoletni. Zarówno sposób dokonania przestępstwa, cynicznie bestialski, jak również okoliczności mu towarzyszące dawały obraz tak przejmujący, że trudno się było otrząsnąć z przygnębiającego wrażenia.

Wyglądało to w dużym skrócie tak. Młody człowiek, zamieszkały w dość oddalonej od głównych szlaków wsi podlubelskiej, zamierzał wstąpić w związki małżeńskie. Rodzina jego była biedna; natomiast panna o którą zamierzał się ubiegać, uchodziła za dość zamożną, choć wielce nieurodziwą. Konkury dały wynik pozytywny tym łatwiej, że na placu zabrakło rywali i wyznaczono nawet termin wesela. Dość odległy, bo trzeba było jeszcze załatwić wiele spraw natury gospodarczej.

Te sprawy właśnie nastręczały narzeczonemu sporo kłopotów. Bo należało pomyśleć o nowym ubraniu, koniecznym ekwipunku i wielu jeszcze innych rzeczach mniejszej, lub większej wagi, ale wymagających sporej ilości gotówki. A z tym było najgorzej. Rodzice tylko obiecywali i to niedużo, a sam pan młody groszem nie śmierdział. Kłopoty te powodowały mnóstwo niemiłych sytuacji; a to panna robiła mu przykrości, koledzy się śmiali, wesele odwlekało się i w ogóle młody człowiek był narażony na wiele upokorzeń w specyficznie pojętej dumie męskiej. Wtedy to właśnie w jego głowie zrodził się zamysł, który stopniowo dojrzewał do realizacji.

W sąsiedniej wsi, na uboczu, pod lasem, mieszkało dwoje starszych włościan, bezdzietne małżeństwo. Powszechna fama głosiła, że to są ludzie majętni i mają w domu poważną gotówkę. Utwierdzał w tym mniemaniu fakt, że gospodarstwo u nich było prowadzone wzorowo, inwentarz żywy i martwy w wysokim gatunku i doskonale utrzymany, a wydatki prawie żadne. Pomagał im w pracy przychodni parobek, który nocował w sąsiedniej wsi. Pracowici, skromni, na siebie niewiele wydawali — z braku potomstwa, już w starszym wieku — wzięli na wychowanie dziewczynkę, ale to było jeszcze dziecko.

Na nich to zwrócił uwagę potrzebujący stale pieniędzy kandydat do małżeństwa, nazwijmy go Antonim J. Zbadał dokładnie teren i okoliczności, przemyślnie ułożył sobie plan działania. Za wspólnika dobrał sobie koleżkę, na pół sierotę, nigdzie nie pracującego. O nie najlepszej opinii. Wtajemniczył go w swe plany i przystąpili do działania.

Pewnego pogodnego sierpniowego dnia, gdy wszyscy we wsi zajęci byli żniwami obaj młodzieńcy udali się do upatrzonej chaty. Na rozprawie tłumaczyli się, że mieli zamiar tylko okraść gospodarzy z gotówki, a siekiera, którą ze sobą zabrał Antoni J., miała służyć jedynie do sforsowania zamków. Jednak wypadki potoczyły się odmiennym torem.

Gdy weszli do zabudowań i skierowali się do wnętrza, stwierdzili ze zdziwieniem, że drzwi są otwarte i po izbie krząta się gospodyni, która od razu poznała nieproszonych gości i choć nic groźnego nie przeczuwała, ze względu na mętną opinię przybyłych — ostro kazała im się wynosić i nie wałęsać w pobliżu.

Wtedy Antoni J. trzymaną w ręku siekierą uderzył w głowę kobietę. Uderzył nie dość mocno — ta z krzykiem upadła na podłogę, wtedy to kilkakrotnie z dużą siłą zaczął bić leżącą, póki nie znieruchomiała. Trzeba trafu, że w pobliżu znajdował się mąż ofiary; zaniepokojony dziwnymi odgłosami dochodzącymi z mieszkania, wbiegł tam, ale zanim zdążył się rozejrzeć otrzymał cios śmiertelny w głowę. Taki sam los spotkał również dziesięcioletnią dziewczynkę, która po kilkunastu minutach wbiegła do chaty i na widok krwi i trupów zaczęła wrzeszczeć tak, jak tylko dzieci przerażone potrafią. Uciszono ją momentalnie.

Zaznaczam, że mordował tylko Antoni J. Jego towarzysz na razie był świadkiem, na którym zresztą ta cała makabra nie uczyniła większego wrażenia. I skoro rozpoczęto plądrować mieszkanie w poszukiwaniu ukrytych skarbów, ochoczo zabrał się do dzieła.

Skarbów jednak nie było. Albo stugębna fama o bogactwie tych ludzi przesadzała, albo tak dobrze je ukryto. Przeszukano wszystkie kąty i skrytki, otwierano szafy, wyrzucano cały dobytek na zewnątrz. Bez skutku. Łupem zbrodniarzy stała się kwota 150 zł, kwota drobna i jakżeż daleka od spodziewanych bogactw. W bezsilnej złości niszczyli więc sprzęty, tłukli garnki i talerze.

Natomiast obficie zaopatrzona okazała się spiżarnia. Widocznie niedawno bito wieprza; toteż słoniny i wszelakich wędlin było wiele. W dwa worki napchali przeróżnych wiktuałów i udali się bezpośrednio do odległej o kilka kilometrów wsi, leżącej już w granicach innego powiatu. Wiedzieli, że odbędzie się tam zabawa w remizie strażackiej. Na miejscu zostało zdemolowane mieszkanie, trzy potwornie zmasakrowane trupy, pełno krwi na podłodze, meblach i na ścianach. Nikt z sąsiadów na razie nie przychodził, gdyż domostwo stało na uboczu, a ludzie byli zajęci w polu przy żniwach.

Tymczasem w remizie strażackiej, gdzie już pod wieczór rozpoczynała się zabawa, przybycie dwóch nowych gości wywołało pewne zdumienie. Aczkolwiek na tego rodzaju wieczorynki nikt z młodzieży wiejskiej specjalnie się nie stroił, to jednak pogniecione i niechlujne ubrania przybyszów, w dodatku poplamione krwią, stanowiły wyraźny kontrast z otoczeniem. Jednak opowiedziana naprędce jakaś zmyślona historyjka o przypadkowej pomocy przy szlachtowaniu wieprza, która miała tłumaczyć niesamowity wygląd zewnętrzny, a następnie rozpakowanie przywiezionych wiktuałów — rozładowały sytuację. Gdy jeszcze zaczęły krążyć szklanki z wódką, już po kilku kolejkach nikt się nie dziwił, muzyka grała i bawiono się ochoczo.

Znalazło się jednak kilku starszych gospodarzy, dla których młodzieńcy wydali się mocno podejrzani. Uradzono na wszelki wypadek zameldować o wszystkim sąsiedniemu posterunkowi policji. Okazało się to jednak niepotrzebne, bowiem jeszcze przed północą policja zjawiła się i to w dość licznym zespole, by aresztować dwóch zbrodniarzy. Nie stawiali żadnego oporu, skutych odprowadzono na posterunek, a potem odwieziono do więzienia. Nazajutrz cała wieś i okolica dowiedziały się o zbrodni.

Dalszy tok zdarzeń jest już prosty i nieskomplikowany. Śledztwo, akt oskarżenia, rozprawa sądowa. Wyrok: Antoni J. skazany na karę śmierci, jego wspólnik na dożywotnie więzienie. Ponieważ w tym czasie nie obowiązywało postępowanie doraźne, obrońca z urzędu wniósł odwołanie i sprawa znalazła się na wokandzie Sądu Apelacyjnego. Do obrony wyznaczono mego patrona, który z kolei te obowiązki zlecił mnie.

Nie powiem, abym się zbytnio ucieszył. Do sprawy czułem obrzydzenie, musiałem przezwyciężyć ciężkie opory, aby sine ira et studio zająć się sprawą.

Co tu uderzało przede wszystkim z punktu widzenia obrony? Nie liczba trupów i bestialskie dokonanie zbrodni (bywały już gorsze), lecz niezwykłe zachowanie się oskarżonego. I ta niezwykłość tkwiła nie w samym sposobie i rodzaju dokonanego zabójstwa, lecz w jego późniejszym postępowaniu. Pozostawił po sobie obraz wstrząsający, a nie uczynił niczego dla zatarcia śladów. Wręcz przeciwnie, działał z jakąś niezrozumiałą brawurą i nonszalancją. Przecież musiał zdawać sobie sprawę, że nastąpi pościg, a on nie uciekł, nie ukrył się, lecz poszedł na publiczną zabawę, oblepiony krwią swych ofiar. Jadł, pił, bawił się, tańczył, jak by zatracił zupełnie instynkt samozachowawczy, który każdemu, a szczególnie młodemu, jest przyrodzony. Nie mówię już nawet o takiej sprawie jak wyrzuty sumienia, bo chyba takich uczuć nie doznawał od urodzenia. Nie — tak nie postępuje człowiek normalny!

Im bardziej i dokładniej wgłębiałem się w sprawę, tym mocniej utwierdzałem się, że mam do czynienia z człowiekiem niespełna rozumu. Wizyta w więzieniu jeszcze mnie utwierdziła w tym przekonaniu. Spędziłem tam przeszło dwie godziny i nic się nie dowiedziałem. Oskarżony coś bredził, coś ględził. Mówił bardzo niezrozumiałym bełkotem; tłumaczył, że działał we własnej obronie, co w zestawieniu z trupem 10-letniej dziewczynki wyglądało niesamowicie.

Czy symulował. Dziś trudno mi na to pytanie odpowiedzieć, byłem wtedy jeszcze bardzo młodym obrońcą, bez tej sumy doświadczenia, którą się powoli i długo nabywa. Być może uległem złudzeniu — ale uległem.

Znów wróciłem do akt sprawy. Niestety, ustaliłem, że obrona w I instancji, prowadzona też z urzędu, była zdawkowa i powierzchowna, czemu się zresztą nie bardzo mogłem dziwić. Adwokat dla spokoju sumienia podniósł kwestię poczytalności podsądnego i sąd wezwał na rozprawę dwóch młodych lekarzy, którzy po powierzchownej rozmowie z oskarżonym, polegającej na zadaniu mu kilkunastu stereotypowych pytań, orzekli, że jest on najzupełniej normalny. Co uzupełniła opinia sąsiadów, która brzmiała mniej więcej tak: mądry to on nie był, ale też nie tak całkiem głupi.

Te orzeczenia lekarskie i sąsiedzkie nie były kwestionowane w skardze apelacyjnej, toteż przy obronie miałem związane ręce. Mimo tych przeszkód postawiłem wniosek o ponowną ekspertyzę lekarsko-specjalistyczną, uzasadniałem go obszernie i — jak mi się wydawało — dość sugestywnie. Sędziowie — trzech starszych panów — z uwagą wysłuchali ciekawych wywodów młodego człowieka, po czym wniosek oddalili, a wyrok I instancji utrzymali w mocy.

Następnie wszystko już poszło normalnym porządkiem rzeczy — nie uwzględniona kasacja, odrzucenie prośby o łaskę. I wreszcie pewnego dnia, daty nie pamiętam, wiem, że to było późną jesienią, na biurku mego patrona listonosz złożył pismo, które zawiadamiało, że wykonanie wyroku na Antonim J. odbędzie się tegoż dnia o godzinie jedenastej wieczór na Zamku w Lublinie i że obrońca ma prawo być przy tym obecny.

Patron mój, mecenas Z., był nie tylko utalentowanym obrońcą, ale również człowiekiem mądrym i doświadczonym. Wręczył mi ten papierek i na moje pytanie co mam robić — odpowiedział:

— Obecność obrońcy przy wykonywaniu wyroku nie jest konieczna, jeśli nie chodzi o jakieś wyjątkowe wypadki, w danym razie absolutnie zbędna. Ja kolegi nie namawiam, ani też nie odradzam, żeby tam pójść. Myślę jednak, że dla młodego człowieka, który wstępuje na trudną drogę obrońcy, pożytecznym być może na własne oczy zobaczyć, jak to wygląda. Takie przeżycie może pogłębić jego stosunek do wykonywanego zawodu.

Wziąłem więc tą upiorną przepustkę i stanąłem wobec dylematu: iść — czy nie iść. Czasem do namysłu miałem niewiele, a ochoty jeszcze mniej. Śmierć zadawaną ludziom widziałem już nieraz. Przeżyłem rewolucję na Ukrainie, widziałem pogromy petlurowskie, byłem na wojnie. Ale ta sprawa miała zupełnie odmienny posmak. Inne czasy, inni ludzie i warunki. Tak — to nie była łatwa decyzja. Tym bardziej, że nikt mnie nie zmuszał, prócz jakiegoś dziwnego wewnętrznego nakazu, by i to jeszcze przeżyć. Słowa mego patrona nie poszły na wiatr.

O godzinie pół do jedenastej wieczorem zadzwoniłem do bramy więzienia. Noc była ciemna i dżdżysta, panował przenikliwy ziąb. Miałem nawet zamiar wypić coś mocnego dla kurażu i na rozgrzewkę, ale pomyślałem, że to jakoś nie przystoi znaleźć się tam zamroczony alkoholem. Byłem więc przeraźliwie trzeźwy i miałem niemałą tremę.

Szczęknęły klucze, strażnik otworzył małe okienko, wziął ode mnie legitymację i papiery i kazał czekać. Po chwili wrócił, otworzył bramę i powiedział, bym się udał do gabinetu naczelnika, dokąd mi wskazał drogę. Jak się okazało, przyszedłem pierwszy, przede mną stawił się tylko zakonnik kapucyn, który właśnie znajdował się w celi skazańca. Naczelnika znałem już uprzednio; nie zdziwił się wcale moją obecnością, wskazał mi krzesło i oznajmił, że nie będę musiał długo czekać, gdyż te rzeczy odbywają się u nich z zegarkową punktualnością. I rzeczywiście za chwilę stawił się prokurator i lekarz więzienny, a niebawem do pokoju weszła najważniejsza osoba.

Choć kat zjawił się w towarzystwie kilku osób — od razu poznałem, że to ten. Niczym specjalnym się nie wyróżniał. Człowiek w średnim wieku, średniego wzrostu, o rysach pospolitych. Setki takich ludzi przechodzi koło nas na ulicy i żaden nie zwróci uwagi. A jednak tę nieciekawą sylwetkę i bezbarwną twarz zapamiętałem na całe życie. Przywitał się z prokuratorem, lekarzem i zbliżył się w moim kierunku, ale jakoś tak wymanewrowałem, że uniknąłem uścisku ręki.

Tymczasem naczelnik spojrzał na zegarek i powiedział: — Na nas czas, ale radzę panom włożyć na siebie okrycia, bo w szopie nie palono i będzie zimno.

Wyszliśmy na podwórze. W rogu przy głównym gmachu stał budynek gospodarczy, rodzaj lamusa i graciarni. Tam miała się odbyć egzekucja. Pośrodku zmontowano prowizoryczną szubienicę. U sufitu jaśniała ostra żarówka.

Wreszcie wprowadzono delikwenta. To nie był już człowiek, tylko worek wypełniony kośćmi i mięsem. Dwóch ludzi go formalnie wlokło. Trzeci popychał z tyłu. Obok szedł ksiądz z krzyżem w ręku i coś starał się przemawiać. Prokurator zaczął odczytywać wyrok. Kat nałożył na ręce rękawiczki — nie czerwone, jak w romansach z czasów średniowiecznych, tylko niciane, brudnobiałe. Gdy prokurator kończył, skazany, który dotychczas tylko cicho pojękiwał, nagle wrzasnął głosem zarzynanego koguta: — ratunku, policja! I znowu zamilkł.

Ten krzyk rozpaczy, ten głos przyzywający na pomoc policję, który wyszedł z gardła skazanego zbrodniarza — niesamowite na wszystkich zrobił wrażenie. Prokurator dał znak, aby kończyć.

Postanowiłem sobie uprzednio w momencie kulminacyjnym nie patrzeć, po prostu zamknąć oczy. Ale nie mogłem. Musiałem widzieć. Zresztą wszystko odbyło się w tempie błyskawicznym. Nawet trudno mi dziś ustalić kolejność czynów. Anim się obejrzał, gdy człowiek z osłoniętą szmatą twarzą już wisiał. Wtedy kat zerwał z rąk rękawiczki i gestem teatralnym rzucił na szafot u stóp szubienicy. Ten kabotyński czyn, tak nie licujący z majestatem śmierci, nawet ohydnego zbrodniarza, na długo mi utkwił w pamięci.

Wszyscy milczeli i ocknęli się dopiero na słowa naczelnika: — Proszę panów do mego gabinetu, tam w cieple przeczekamy, póki lekarz nie skonstatuje zgonu i podpiszemy protokół.

Ruszyliśmy z miejsca powoli, bez słów. Każdy palił i zaciągał się dymem. W gabinecie było naprawdę ciepło i tak jakbyśmy przeszli do innego świata, a raczej wrócili z powrotem w bezpieczne miejsce, tylko rozmowy jakoś się nie kleiły. Korzystając z okazji, że znalazłem się chwilowo na uboczu z księdzem, zapytałem go, czy skazaniec był przytomny i czy zdawał sobie sprawę z istoty swego czynu, oraz czy wyraził skruchę. Kapucyn zrobił unik, zasłaniając się tajemnicą spowiedzi.

Wreszcie przyszedł lekarz z katem i mogliśmy przystąpić do podpisania protokółu. Przez cały ten czas starałem sobie plastycznie uprzytomnić ohydną zbrodnię, którą popełnił stracony, jakoś jednak ten obraz pod wpływem silnych wrażeń ciągle się zacierał. Podpisaliśmy protokół.

Była jednak pointa i to jaka — odpowiednia do całości. W pewnym momencie pan Maciejewski (taki pseudonim nosił ówczesny kat) podszedł do nas trzymając w ręku mocny konopny sznur: — Sznur wisielca przynosi szczęście, pozwolą panowie, że im ofiaruję po kawałku.

Pociął nożyczkami na mniejsze odcinki i wręczył każdemu z nas. Mnie też. Wsunąłem machinalnie ten prezent do kieszeni kamizelki i z takim talizmanem opuściłem mury więzienia.

Nazajutrz mecenas Z. zapytał mnie:

— Był kolega?

— Byłem.

— Tak przypuszczałem.

I więcej na ten temat nigdyśmy nie rozmawiali.

Sznurek wisielca nosiłem jeszcze przez pewien czas. Potem sam się zgubił. Nie szukałem i nie żałowałem. Szczęścia mi nie przyniósł.

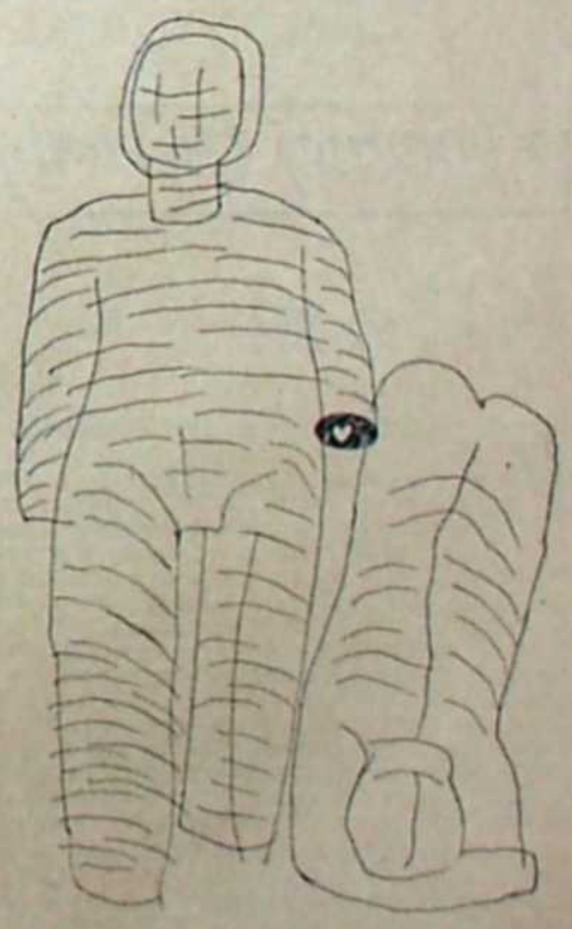

Rys. Edward Inglot

okolice sztuki

Scenografia w „Gongu 2"

4 STUDENCKIEJ Wiośnie Teatralnej w Lublinie, zakończonej kolejnym sukcesem „Gongu 2" za inscenizację „Trismusa" Stanisława Grochowiaka, towarzyszyła wystawa przestrzeni teatralnej, będąca aranżowanym przeglądem „kuchni" scenograficznej Elżbiety i Leona Barańskich, którzy od czterech lat związani są ścisłą współpracą z zespołem Rozhina.

Barańscy to ludzie młodzi, studiujący jeszcze w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych; Elżbieta na wydziale grafiki u prof. Wejmana, Leon — na tym samym wydziale, poprzedzonym scenograficzną edukacją u prof. Stopki. Nazwiska mistrzów mówią za siebie i choć nie zdarzyło się jeszcze, aby uczniowie mechanicznie przejmowali umiejętności i skalę talentów nauczycieli, to przecież chcąc nie chcąc przyswajają sobie ich sposób myślenia, ich stosunek do przedmiotu twórczego działania.

Leon Barański przejął od Stopki cechę bardzo istotną: przeświadczenie o autonomicznej i ważnej roli scenografa w teatrze. Po nie tak odległych dyskusjach o zbytnim rozpanoszeniu się plastyki na scenach polskich, w których nazwisko Szajny powtarzało się najczęściej, jako przykład rzekomego zachwiania proporcji widowiska teatralnego na rzecz elementów wizualnych, takie wyznanie wiary wymaga dodatkowego komentarza.

Barański, uczeń Stopki, przystępuje wraz z żoną do projektowania konkretnej scenografii bez uprzednich konsultacji z reżyserem, pamiętając jedynie o technicznych i materiałowych możliwościach teatru. Punktem wyjścia i wyłączną płaszczyzną autorskiej refleksji, materializowanej w szkicach przestrzennych czy kostiumowych, jest tekst dramaturgiczny lub literacki — w zależności od tego, na jakim gatunku pisarskim opiera się zamierzona inscenizacja. Mamy więc do czynienia z samodzielną interpretacją tekstu, tłumaczonego na plastyczne znaki, symbole, związki sytuacyjne.

Mroczna i duszająca atmosfera „Pieśni i songów pana Brechta" otrzyma swój plastyczny ekwiwalent w postaci „sufitu" z nisko zawieszonej nad sceną czarnej tkaniny, a drobnomieszczańscy czy knajaccy bohaterowie odetchną pełną piersią w landrynkowatej barwie papierzysk, pokrywających ściany, które prowadzą do centralnego motywu z małomiasteczkowym widoczkiem, żywcem przeniesionym z grafiki Mianowskiego, co jest również aluzją do brechtowskich skłonności przysposabiania tekstów innych autorów do potrzeb własnego teatru... W „Trismusie" tragiczna sceneria zostaje rozjaśniona namiastką radości pod postacią laleczek, piłek, radości w końcu pozornej... Obok przestrzeni scenicznej rozbudowanej, nasyconej rekwizytami i zanurzonej w barwie — ascetyczne, skromne układy plastyczne. „Nawet zwykły stół robi scenografię" — mówi Barański.

We współczesnym teatrze rządzi przecież reżyser, któremu owa niezależna wizja scenografa może w sposób zasadniczy nie pokrywać się z własnym odczytaniem tekstu. Wypadki to nierzadkie, kiedy reżyser usiłuje przenicować projekt do tego stopnia, że faktycznie on staje się autorem scenografii. W takich wypadkach Stopka radzi swoim uczniom zerwanie kontaktów zawodowych i towarzyskich z panem reżyserem.

Rozhin w zasadzie nie ingeruje w propozycje scenograficzne Barańskich. Mało tego: nie dysponując jeszcze scenariuszem widowiska o walczącym Wietnamie, które ma zamiar pokazać w Nancy, zastanawiając się dopiero nad jego koncepcją, już na tym przedwstępnym etapie zleca Barańskim opracowanie scenografii! Powie ktoś, że takie dwutorowe i niezależne od siebie działanie stwarza ryzyko niespotkania się w umówionym miejscu. Dotychczasowa współpraca Rozhina z Barańskimi układa się nader pomyślnie, czego dowodem choćby te liczne sukcesy na przeróżnych krajowych i zagranicznych festiwalach oraz spotkaniach teatralnych.

Zresztą: ta niezależność działania ma w tym wypadku charakter w gruncie rzeczy formalny. Istnieje bowiem coś, co mocno spaja nie tylko reżysera i scenografów, ale i cały zespół „Gongu 2". Mam na myśli podobny stosunek do sztuki teatralnej, jej zasad i roli, a także wspólnotę doświadczeń życiowych i intelektualnych generacji wychowanej w powojennej Polsce. Ci ludzie po prostu rozumieją się nawzajem — bez pomocy słownych ozdobników i rozbudowanych komentarzy.

Szkicując metodę pracy scenograficznej Barańskich nie miałem zamiaru przekonywania kogokolwiek, że oto objawiło się na terenie Lublina jakieś niezwykłe czy nowe zjawisko twórcze. Podobny stosunek do teatru i nie gorsze efekty są udziałem sporej grupy młodych (i nie tylko młodych). Ale realizacje krakowskich studentów (i rozmowa z Leonem Barańskim) przekonały mnie, że ich działalność scenograficzna pozbawiona jest elementów przypadkowych, skłonności do powielania opatentowanych niejako przez innych i gwarantujących poklask chwytów. Gdy powiem, że oni myślą i czują, trąci to frazesem, ale daj Boże więcej okazji do powtarzania takich frazesów.

IJK

ekran i widz

W sidłach agenta 007

MODA na „tajnych agentów" zatacza coraz szersze kręgi. Muskularni dżentelmeni, niechybni w posługiwaniu się mauzerami czy lugerami, niezwyciężeni w karate i diabelnie męscy, podbijają serca widowni obojga płci. Działają najczęściej w szeregach Intelligence Service lub Interpolu, bo to brzmi dumnie, choć nie gardzą i Abwehrą, szczególnie jeśli znaleźli się w niej dla „dobra sprawy". Walczą zwykle o rzeczy wzniosłe. Są to m. in: zapobieżenie wybuchowi trzeciej wojny światowej, wykradzenie planów bomb atomowych lub uratowanie świata (zachodniego ma się rozumieć) przed... „widmem komunizmu". Mózgi mają wygimnastykowane, a serca obszerne. Najpiękniejsze dziewczyny, także te, które miały ich zgładzić w sposób okrutny i perwersyjny, padają im w objęcia, a co poniektórej w efekcie zemrze się marnie z ręki własnych szefów — oprychów nie z tej ziemi.

Sami tajni agenci wychodzą ze wszystkich opresji bez szwanku, w garniturach nieskazitelnych jak z igiełki. A przecież co i raz przeciwnik atakuje ich, to przy pomocy mózgu elektronowego, to zwykłego sprężynowca, a to znów odpali im w czoło rakietę średniego zasięgu.

W Polsce oglądamy, na szczęście niewiele, „dzieł" tego rodzaju i może dlatego tłumy walą na japoński film „Beczka prochu" czy francuski — „Tygrys lubi świeże mięso". Co inteligentniejsza publiczność zachodnia stała się natomiast jakby zblazowana i, o dziwo, twierdzi, że obrazy dotyczące przygód supermanów po prostu ją nudzą. Mimo to producenci filmowi nie rezygnują — jak wiadomo naiwnych nie trzeba szukać ze świecą.

Moda na tego rodzaju filmy zapanowała szczególnie od czasu, gdy przed sześciu laty zaadaptowano na ekran jedną z książek Iana Fleminga, zaś główną rolę — Jamesa Bonda, superagenta wywiadu angielskiego, posiadacza numeru rejestracyjnego 007 na liście osób uprawnionych do zabijania według własnej decyzji — powierzono Seanowi Connery. Drugorzędny aktor filmowy, już po trzydziestce, stał się nagle idolem, zyskał sławę i fortunę, jaka przypadła dopiero po latach ciężkiej pracy takim sławom i ulubieńcom publiczności jak Clark Gable, Gary Cooper, Humphrey Bogart czy John Wayne. Oczywiście do sławy tej przyczynił się reżyser Lewis Gilbert oraz producenci, panowie Harry Saltzman i Albert Broccoli, którzy nie żałowali talentu ani ogromnych sum pieniężnych, aby zapewnić lansowanemu aktorowi odpowiednio wystawne tło.

I trzeba przyznać, że w tzw. inwestycjach tkwi jedno z głównych źródeł powodzenia filmów „bondowskich". Akcja jest na ogół idiotyczna i prymitywna, toteż widza postanowiono zaszokować... najnowszymi osiągnięciami techniki i to w postaci „najczystszej". Inaczej mówiąc: jeśli widz ogląda na ekranie bohatera wznoszącego się w powietrze przy pomocy „kieszonkowego" helikoptera czy posługującego się aparatem radiowym ukrytym w pierścionku, to na pewno wiadomo, że użyto tutaj autentycznych, najnowszych wynalazków.

Z drugiej strony postawiono na zawsze popularną widowiskowość. „Bondofilmy" charakteryzuje niezwykły rozmach inscenizacyjny, liczebność statystów. Jeśli scenariusz wymaga ukazania bitwy płetwonurków, angażuje się ich stu. Jeśli inscenizuje się scenę walki karate, bierze w niej udział kilka tysięcy osób. To skutkuje. Pomijając już sprawę sexu, któremu poświęca się tyleż miejsca, co zbrodniczemu wyrafinowaniu i okrucieństwu.

Jednakże nie wszystkie wytwórnie mogą pozwolić sobie na angażowanie w filmy o agentach wywiadu ogromnych sum pieniężnych. Proponują zatem bohaterów posługujących się wynalazkami, w jakie należy wierzyć, ale których nie można sprawdzić. Taki na przykład „Derek Flint" (jego postać kreuje James Côburn) swoje wywiadowcze sukcesy zawdzięcza fenomenalnym zdolnościom w dziedzinie elektroniki, które pozwoliły mu zbudować niewielki aparacik wykonujący kilkadziesiąt różnych czynności — od uśmiercania przeciwników do... zapalania papierosa. Bohater przygód „Matta Helma" — znany skądinąd i ceniony aktor Dean Martin — polega raczej na sprawności własnego mózgu, zaś „Geo Poquet" — „Goryl" (Lino Ventura) już tylko na sile pięści. Z pań najlepiej dotąd dają sobie radę jako agentki wywiadu — chłodna i wyrafinowana „Modesty Blaise" (Monica Vitti) oraz mieszająca szyki Abwehrze „Kotka" (Francoise Arnoul). Stara się z nimi jeszcze wprawdzie konkurować „Miss Marple" (Margaret Rutherford), ale znawcy nie rokują jej zbyt wielkich nadziei: Margaret mogłaby być śmiało babką każdej ze swych przeciwniczek, a poza tym ogranicza się głównie do spraw kryminalnych, współpracując w dodatku ze Scotland Yardem. A cóż to jest w dzisiejszych czasach Scotland Yard!

Co gorsze (dla producentów) sam Sean Connery zbrzydził sobie dość gruntownie dotychczasowe role. Lugera zamienił na colta, sportową Toyotę na konia i u boku Brigitte Bardot wystąpił w westernie Dmytricka „Shalako". Miejmy nadzieję, że zobaczymy go na naszych ekranach w tym bądź co bądź sympatyczniejszym wcieleniu.

(MD)

z bocznej trybuny

Allez!

WEJŚCIE filmu „Pan Wołodyjowski" na nasze ekrany, a także telewizyjna seria z małym rycerzem zapewne będą miały wielki wpływ praktyczny na życie sportowe, a ściślej mówiąc na szermierkę. Wprawdzie w filmie nie ma jej za wiele, lecz i to, co jest, wystarcza, aby pobudzić wyobraźnię młodzieży i zachęcić ją do naśladownictwa. Podwórka i place zaroją się małymi panami Michałami i małymi Azjami, fantazja zastąpi konie, a zamiast szabli wystarczą kije. Zresztą inicjatywa prywatna już wyciągnęła z tego wnioski i korzyści: na rynku pojawiły się pierwsze egzemplarze dziecięcego sprzętu szermierczego. Jakie wnioski i korzyści wyciągną z tego nasze organizacje sportowe? Obawiam się że żadne...

Boże chroń oczy naszych dzieci, gdy tak zaczną teraz na lewo i prawo machać młyńce! Szermierka, piękny, elegancki sport, uprawiana w tak żywiołowy sposób, bez kontroli i właściwego sprzętu, może spowodować niejedno kalectwo. Lepiej by już było, gdyby nasi synowie bawili się w Drogosza i okładali kułakami, niż próbowali ciąć i dźgać wyostrzonymi drzewcami. Najlepiej byłoby oczywiście, gdyby ten gwałtowny pęd do fechtunku, którego wybuch już obecnie widać, znalazł swoje ujście w klubach i szkolnych kołach sportowych. Nie łudźmy się jednak — nie znajdzie. Brak jest sekcji, brak instruktorów, brak sprzętu. I to wszystko właśnie w kraju, gdzie najlepszy szablista wszechczasów, Pawłowski, oraz inna znakomitość plansz, Zabłocki, rozpoczynali swą karierę na podwórkach od zabawy w bohaterów sienkiewiczowskich utworów. Tam zostali zauważeni przez wścibskich trenerów i wprowadzeni na drogę wielkiego sportu.

Wybitne talenty sportowe nie rodzą się na kamieniu. Gdyby nawet jednak tak było i gdyby takie kamienie znajdowały się w Lublinie, to i tak nic by z tego nie wynikło. W całym mieście, a nawet w całym województwie, mamy zaledwie jedną sekcję szermierki — w Akademickim Zrzeszeniu Sportowym. Sekcja ta wiedzie tak rachityczny żywot, że mało kto o niej słyszy. Przed laty 15—20, gdy studentów było w Lublinie wielokrotnie mniej, szermierze akademiccy bardziej dawali o sobie znać, liczyli się nawet jakoś w skali krajowej. Dwaj bracia Samkowie, którzy naukę władania białą bronią pobierali w Lublinie, po wyemigrowaniu do Kanady stali się czołowymi zawodnikami. W Lublinie organizowano dość często zawody szermiercze, mieliśmy okazję podziwiania dobrych drużyn i dobrych pojedynków. Jednakże szermierka akademicka nie poszła w parze wraz z rozwojem szkolnictwa wyższego i wzrostem liczby studentów. Raczej cofnęła się. Dlaczego? Właściwie trudno o podanie konkretnych powodów.

Szermierka jest sportem mającym wszelkie dane, by stać się masowym. Ma duże walory widowiskowe, a samym zawodnikom daje posmak wielkiej przygody, bezpośredniego starcia z przeciwnikiem, wymaga koncentracji psychicznej, odwagi, zręczności, czasem brawury. Jest tak zgodna z temperamentem narodowym Polaków, z tradycjami. Może dlatego od lat odnosimy w niej sukcesy międzynarodowe? Dlaczego jednak tak mało ludzi ją uprawia? I czy gdyby szermierzy było więcej, nasze sukcesy nie byłyby też jeszcze większe?

Nie każdy młody chłopiec marzył o tym, by być wielkim piłkarzem, narciarzem, czy pływakiem. Prawie każdy natomiast miał okres w życiu, kiedy chciał umieć znakomicie wywijać szabelką. A iluż starszych panów, oglądając jakiś film z serii „szpady i płaszcza", pomyśli sobie: „ech, gdybym miał okazję, na pewno okazałoby się, że tkwi we mnie talent rębajły". Szermierka ma zresztą to do siebie, że można ją uprawiać z dobrymi wynikami do dość późnego wieku. Gdy zawodnikowi nie staje już kondycji, zaczyna zastępować ją coraz lepszą techniką i praktyką. A więc szermierka jest sportem, który mógłby być uprawiany także w kołach Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej. Niestety, Towarzystwo to woli forsować zabawny może, ale mało poważny, badmington, nazwany po polsku nie najlepiej kometką. Sprzęt szermierczy, nie ten wysokowyczynowy, lecz ten zwykły, nie jest tani, lecz znów i nie taki drogi, a gdyby zapotrzebowanie wzrosło, nasza Wytwórnia Sprzętu Sportowego mogłaby zapewne wyprodukować go więcej. Zawody organizować można nawet w niewielkich salach. A więc idealny sport zarówno dla młodzieży szkolnej jak i siwiejących panów, chętnych do pozbycia się nadmiaru tłuszczu na brzuchach. Dlaczego jest w niełasce — trudno to wyjaśnić. Dlaczego sekcji szermierczych nie mają kluby wojskowe, w tym i nasza „Lublinianka"? Któż to logicznie potrafi wyjaśnić...

(R. W.)

Kamena str. 14

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante honorarium nie płacimy.

Z biciem serca i wypiekami na twarzy oczekujemy na kamenowe tytuło-poezje, objęte konkursem, którego liberalne warunki ogłosiliśmy w poprzednim numerze (oczywiście na łamach naszej rubryczki). Oczekując niecierpliwie, ale i z wyrozumieniem dla twórczego namysłu naszych korespondentów, publikujemy tekst będący również swego rodzaju literacką zabawką. Na marginesie wypada zauważyć, iż z racji takiej zabawy można dość bezkarnie zwymyślać swoich wrogów lub złożyć donos na klikę malwersantów Pan K. P. z Lublina serwuje jednak podtekst neutralny, a dla nas interesujący:

K-amenę chętnie czytuję,
A-ż do ostatniej jej strony!
M-nie ona lękiem przejmuje,
E-h! chyba uzasadnionym
N-ie chwali, lecz krytykuje,
A-ż człek zamilknie speszony!

Oczywiście idzie nie tyle o cały wierszyk, ile o pierwsze litery wersetów. Inny rodzaj podtekstów zawiera utworek Pana T. S. z Bielawy, stałego naszego korespondenta, który opatruje wiersz następującym listem: „I znowu czytałem fragment utworu mego w Poste Restante. Może się wreszcie wygramolę i na szpalty „Kameny" utwory moje, co daj nam Boże! Co dzień tworzę." Pokrzepieni optymizmem naszego korespondenta, drukujemy fragment wiersza tym chętniej, że znowu mamy okazję powrócić do liryki erotycznej:

Czymże jest miłość?
Jest wielce uroczystym
przyjęciem Daru
przez niewiastę.
Ryjesz,
jak świnia w ogrodzie,
nosem
podnosisz biust.
Piękna budowa cielska,
ciała — jeśli tak wolisz.
Anatomia!
A czy tylko to?
Dusza, duszą,
a ciało ciałem.
Czymże jest miłość?
Grawitacji umysłów
na pewno nie powoduje,
umysłów
ludzi kulturalnych.
W obecnej sytuacji ludzkości
jest ideałem.

Ludzie „niekulturalni" albo — lepiej — lud prosty, np. górale, mogliby przy lekturze wiersza Pana T. S. westchnąć: „a kis dziadzi" Ale wśród prawdziwych miłośników poezji spotka on się zapewne z należytym przyjęciem.

Listy do KAMENY

„JAŚ I MAŁGOSIA"

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł Bohdana Komorowskiego pt. „Jaś i Małgosia a lektura szkolna" („Kamena" nr 4). Różnice w wypowiedziach dzieci przed i po przeczytaniu książki są rzeczywiście bardzo duże i raz jeszcze potwierdzają olbrzymią rolę społeczną pisarza.

Ale, co chciałbym szczególnie podkreślić, te różnice nie są, bo przecież w wypadku dzieci nie mogą być wynikiem tylko własnych przemyśleń. Musi im umiejętnie pomóc nauczyciel przed odpowiednio poprowadzoną lekcję. W praktyce jednak rzecz napotyka na dwie zasadnicze trudności. Nie wszyscy nauczyciele zdobywają się na tyle trudu, aby chociaż z niektórych książek przekazać dzieciom wszystkie walory moralne, społeczne i artystyczne. Drugą przeszkodą to wciąż mocno przeładowany program. Gdyby w normalnej szkole nauczyciel-idealista chciał przeprowadzać właściwą analizę czytanych kolejno książek — koniec roku szkolnego zastałby go gdzieś w połowie listy lektur obowiązkowych.

Osobiście jestem zdania, że lepiej „przerobić" mniej książek a lepiej, niestety jednak w praktyce nauczyciel musi ulegać bardziej rubrykom statystyki niż czarowi najlepszego nawet utworu literackiego.

A swoją drogą dyskusje na temat przeładowania programów szkolnych trwają już od lat. Władze szkolne nieustannie zapowiadają, że programy zostaną skrócone, lepiej opracowane — ale rezultatów obietnic nie widać. Ostatnio np. w prasie codziennej można było przeczytać, że podręczniki do matematyki i geometrii dla jednej klasy mają razem ponad 700 stron! A gdybyśmy tak autorom takich podręczników po przekroczeniu np. 10 arkuszy wydawniczych zaczęli poważnie obniżać honoraria, tak, aby np. za 11 arkuszy otrzymali mniej niż za 10? Docenizmy już działanie bodźców materialnych w wielu dziedzinach. Może czas zacząć doceniać — i także stosować — antybodźce materialne?

Stanisław Z.
Chełm
(Nazwisko znane redakcji)

moje **LEKTURY**

Przyjaźnie Jana Parandowskiego

PRZED paru laty ukazała się książka wspomnień zatytułowana *Przyjaźnie i animozje*. Wspomnienia Jana Parandowskiego nie mogłyby takiego tytułu nosić. Obracają się one wyłącznie w kręgu przyjaźni i serdecznego koleżeństwa. Portrety ludzi, którzy pojawiają się na kartach książki, zachowały barwy jasne i ciepłe. Mówi się tutaj o wszystkich dobrze, życzliwie i z szacunkiem. Nie oznacza to zapewne, by w pamięci pisarza brak było ludzi, do których czuje on animozje, ale tacy nie zasługiwali po prostu, by o nich pisać. Do książki tej dałoby odnieść się słowa, którymi Parandowski charakteryzował S. Łempickiego, autora *Wspomnień ossolińskich: z każdej stronicy patrzy jego szczere, przyjazne spojrzenie i każde zdanie okrąża jego serdeczny uśmiech. Mając w sobie tyle dobroci, widzi ją we wszystkich, nie umie o nikim wyrazić się uszczypliwie lub choćby z lekkim przekąsem. Świat jego pamiętnika jest zamieszkany przez ludzi zacnych, uprzejmych, zgodnych, ludzi najlepszych chęci: jeśli mieli jakieś wady, on ich albo nie dostrzegał, albo je od razu rozgrzeszył.*

Ta postawa Parandowskiego ma cechy programu, wszak książkę otwiera szkic *O przyjaźni*. W pięknych i nasyconych dojrzałą mądrością słowach autor przedstawia różne odmiany przyjaźni, pojmując ją bardzo szeroko: od przyjaźni osobistej do przyjaźni szerszych, a — w wypadku pisarza — do zadzierzganych poprzez książki, kiedy nie wchodzi w grę nawet osobista znajomość. Mogą też istnieć przyjaźnie, dla których wieki nie stanowią przeszkody, choć nie każdy, jak autor *Godziny śródziemnomorskiej* — może powiedzieć np. o autorze sonetów do Laury *mój przyjaciel Petrarka*. Przyjaźń stanowi przeciwwagę samotności, jakiej człowiek doznaje. *Każdy jest samotny* — czytamy we *Wspomnieniach i sylwetach* — *i albo poddaje się temu nieubłaganemu prawu życia, albo stara się je poduważyć miłością i przyjaźnią*. Pisanie umożliwia skuteczny sprzeciw wobec tego prawa, literatura jest *słowem przymierza z tymi, którzy na nasze słowo czekają*.

Parandowski daleki jest od często spotykanych wspomnień, gdzie powierzchowna znajomość stanowiła wystarczającą podstawę do pisania wszystkiego, co się o kimś wie czy słyszało. Autor *Nieba w płomieniach* utrwala na kartach swoich wspomnień jedynie ludzi najbliższych, z którymi łączyła go wieloletnia przyjaźń. Piękne karty mają tu Leopold Staff, Julian Tuwim, Julian Ejsmond, Józef Jedlicz, dalej Witwicki, Gansiniec, Kowalski, a więc krąg bardzo jednorodny. Są tu pisarze i uczeni, związani na różny sposób z kulturą antyczną, jej badacze i miłośnicy, dla których humanizm nie był pustym dźwiękiem. A to właśnie: antyk i humanizm, są bliskie autorowi *Wspomnień i sylwet*.

Pisanie o Parandowskim jako o pisarzu związanym z antykiem to czynność nazbyt oczywista. On sam nie tak dawno mówił w wywiadzie dla „Kameny" o tych sprawach bardzo dokładnie. Toteż zatrzymajmy się na chwilę przy drugiej sprawie — właśnie przy humanizmie postawy pisarskiej Parandowskiego. Dla niego antyk nie oznacza muzealnej martwoty, on jest żywy i współczesny. Antyk — jak dobitnie zauważył Parandowski — *popycha pisarza lub artystę ku jego ojczystym stronom — epoki, kraju, ludzi*.

Parandowski czuje się związany z najgłębszymi wartościami humanizmu, a te w dużej mierze skupia i symbolizuje książka. Wzruszający jest rozdział o książkach, o ich przyjacielskiej wierności i nie starzejącej się mądrości. Toteż autor z takim przekonaniem sprzeciwia się postawie, że *myśl wykwita w słońcu, a nie pod abażurem lampy*, wyraża się z szacunkiem o pracy pisarza, zaś z dezaprobatą odnosi się do wypowiedzi wybitnych nawet pisarzy, którzy przyznają się, iż nie czytają książek. Widzi w tym przejaw zarozumiałej wyniosłości, jakoby tylko ich książki godne były lektury. Książka stanowiła i będzie stanowić podstawę kultury humanistycznej i jej zagrożoną pozycję stara się brać w obronę autor *Alchemii słowa*. A rozwój choćby telewizji prowadzi do rozluźnienia kontaktu czytelnika z książką, zostawiając mu najwyżej książkę obrazkową, cofającą go wstecz. Toteż słowa pisarza, może dyskusyjne i przejaskrawione, zawierają przepowiednię, która ma szansę swojego spełnienia:

Nie można sobie wyobrazić, żeby cywilizacja poszła tą drogą, jest to raczej pewne, że nawet tam, gdzie ona dziś panuje, telewizja prędzej czy później spadnie do rzędu dokuczliwych gratów. Nie da się zaprzeczyć, że żyjemy w epoce hałasów, ale to właśnie rodzi przekonanie, że objawi się reakcja i znów cisza odzyska swoją cenę. Zachowała ją ona u wielu ludzi znających wartość i rozkosz skupienia i samotności. I ci właśnie ludzie tworzą kulturę.

Korzenie każdego humanizmu współczesnego muszą nadal sięgać do ojczyzny Greków i Rzymian. Ostatnie szkice Parandowskiego przynoszą jakby wspomnienia z podróży, które stają się jeszcze ciekawsze dzięki konfrontacji dawnych przeżyć i wrażeń z nowymi. A Parandowski znakomicie potrafi ożywiać sprawy sprzed tysiącleci, każda ruina, okruch, wykopalisko pobudza wyobraźnię, zmusza do przeżywania na nowo historii. W tej umiejętności Parandowski styka się ze współczesną poezją typu Herberta (czy *Barbarzyńca w ogrodzie* nie wyszedł ze szkoły Parandowskiego?) czy Szymborskiej. Oto pytania z książki Parandowskiego:

Kto miał ten pas na biodrach? jakie drzwi otucierał ten klucz? z czyjej sakiewki wypadł ten pieniądz? komu podawano strawę w tym garnku? I z mgły wyłania się sto twarzy, sto postaci.

A W. Szymborska w wierszu *Muzeum* ujmuje rzecz podobnie:

Są talerze, ale nie ma apetytu,
Są obrączki, ale nie ma wzajemności
od co najmniej trzystu lat.

Nieprzypadkowo stoi tu proza obok tekstu poetyckiego. U Parandowskiego zacierają się bowiem granice prozy. W jego książce, pięknie i precyzyjnie napisanej, jest tyle obrazów, zdań, wzruszeń i przeżyć lirycznych, które sprawiają, że obcujemy z dziełem prawdziwie poetyckim. O niewielu książkach, pisanych prozą, dałoby się to powiedzieć. Z ostatnich przychodzi na pamięć Kazimiery Iłłakowiczówny *Trazymeński zając*. I chyba ta poezja wspomnień tak zniewala czytelników, co zostało zaświadczone drugim wydaniem książki.

Tadeusz Kłak

Jan Parandowski: Wspomnienia i sylwety. Wyd. 2. Wrocław 1969. Ossolineum.

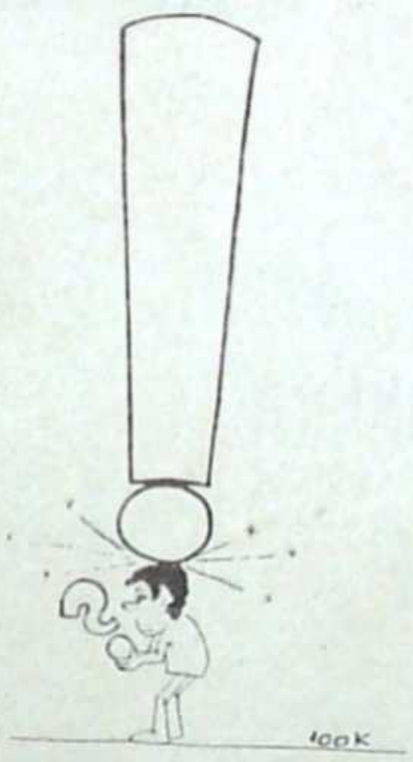

Rys. A. Stok

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować na adres: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — na adres redakcji.

Zam. 1297 5.IV.69 F-4

„Profile" miesięcznikiem

Ukazał się już ostatni (13!) numer rzeszowskiego kwartalnika „Profile" liczący 132 stron. Zawiera on 5 rozpraw naukowych (Fr. Persowskiego, St. Frycie, W. Pasterniaka i M. Karasia), 5 artykułów publicystycznych, bogaty dział literacki oraz inne materiały, recenzje i kronikę.

Poczynając od kwietnia „Profile" ukazują się jako miesięcznik, a więc będą mogły częściej i pełniej nawiązywać kontakty ze społeczeństwem rzeszowskim. Redakcja zapowiada, że „miesięcznik „Profile" spełni swoje zadanie, jeśli zjednoczy wysiłki tych (twórczych) środowisk, jeśli stanie się forum dla ich przedstawicieli, jeśli będzie ukazywał złożoność życia społecznego i kulturalnego".

Witając serdecznie nowy miesięcznik w rodzinie regionalnych czasopism społeczno-kulturalnych, życzymy „Profilom" największych sukcesów.

Konkurs „Odgłosów"

Rada Okręgowa ZSP w Łodzi oraz redakcja tygodnika „Odgłosy" w ramach XXV-lecia PRL ogłaszają konkurs pod nazwą „Indeks wspomnień" dla studentów, absolwentów i wykładowców uczelni łódzkich na wspomnienie, szkic biograficzny lub pamiętnik, poświęcone historii i życiu akademickiej Łodzi. Prace opatrzone godłem należy nadsyłać do redakcji „Odgłosów", Łódź, ul. Piotrkowska 96, do 1 października. Wyniki będą ogłoszone do 15 listopada. Nagrody w grupie studentów 5, 3 i 2 tys. zł, w pozostałych 10, 7 i 5 tys. zł.

Kto ma materiały o Tadeuszu Micińskim?

P. Teresa Wróblewska (Warszawa — Żoliborz, ul. Toeplitza 2 m. 85) przygotowuje dla Wydawnictwa Literackiego w Krakowie edycję dramatów Tadeusza Micińskiego. W związku z tym prosi wszystkich, którzy posiadają nie znane materiały rękopiśmienne pisarza (także korespondencje) o ich wypożyczenie lub udostępnienie do wglądu.

	za dużo	za mało
Organizacja życia kulturalnego		
Literatura (proza i poezja)		
Interpretacje i komentarze literackie		
Teatr		
Sztuki plastyczne		
Film		
Kwestie językowe		
Sport i turystyka		
Inne (jakie?)		

6) Podajemy niektóre tytuły stałych rubryk i działów, jakie istnieją lub istniały w naszym piśmie. Które czytywałeś (czytywałaś), a które nie?

	Nie	Tak (stale)	Tak (rzadziej)
„Zapole"			
„Ziemia i Pieśń"			
Notes „Kameny"			
Z problemów nowej prozy			
Przed maturą			
Powtórka z polskiego			
Moje lektury			
Okolice sztuki			
Ekran i widz			
Z bocznej trybuny			
„Iż Polacy nie gęsi..."			
Prasa zakładowa			
Minuta myślenia			
Big-beat			
Felieton z rezerwy			
Kultura (notki na 2 stronie)			
Poste-Restante			
Listy do „Kameny"			
Odpowiedzi redakcji			
Noty i notki			
Humor rysunkowy			

7) Jakie cykle artykułów zamieszczanych w „Kamenie" wzbudziły Twoje zainteresowanie (ewent. dlaczego)? .....

.....

.....

8) Jaka forma publicystyczna najbardziej Ci odpowiada (ewent. dlaczego): obszerny materiał problemowy, reportaż, wspomnienie, krótki komentarz, recenzja, felieton? .....

.....

.....

9) Czy artykuły w „Kamenie" są zbyt długie i czy od długości tekstu uzależniasz jego przeczytanie? .....

.....

10) Co byś zmienił i jakie innowacje wprowadził w naszym piśmie? .....

.....

.....

11) Od kiedy jesteś czytelnikiem (czytelniczką) „Kameny"?

.....

12) Jak często czytujesz „Kamenę" (stale, nieregularnie, rzadko)?

.....

13) Czy „Kamena" jest dostępna w miejscu Twego zamieszkania?

.....

14) W jaki sposób otrzymujesz nasze pismo (prenumerata, doraźne kupno, w czytelni, klubie)? .....

15) Twoje dane osobowe:

Wiek .....

Płeć .....

Wykształcenie (uczniowie i studenci podają rodzaj szkoły lub studiów) .....

Zawód .....

Stanowisko służbowe .....

Miejsce zamieszkania (wieś, miasto: wojewódzkie, powiatowe, inne miasto) .....

16) Twój pseudonim, który nam ułatwi ewentualne zawiadomienie o wylosowanej książce .....

Dziękujemy za udział w naszej ankiecie!

Współredaguj z nami „Kamenę"!

ZASTANAWIAMY się nad ewentualnością pewnych zmian w redagowaniu naszego pisma. Fakt i charakter owych zmian uzależniamy w wielkim stopniu od opinii naszych czytelników. W tej sytuacji ogłaszamy ankietę skierowaną właśnie do czytelników, której rezultaty wydatnie mogą nam dopomóc w ostatecznej decyzji co do możliwości i jakości wspomnianych zmian. Ankieta jest anonimowa (można ją podpisywać pseudonimem). Prosimy odpowiedzieć na poniższe pytania, wyciąć tekst ankiety, odpowiednio go złożyć i bez koperty przesłać na adres redakcji. Mile widzimy odpowiedzi na wszystkie kwestie ankietowe, ale gdyby ktoś był tylko przypadkowym czytelnikiem naszego pisma i nie był w stanie ustosunkować się do wszystkich kwestii, wymagających częstokroć bardziej regularnej lektury „Kameny", wtedy zadowolimy się odpowiedziami niepełnymi. Wśród wszystkich uczestników zostaną rozlosowane nagrody książkowe.

ANKIETA

(Opłatę pocztową uiści adresat)

Redakcja
„KAMENY"
Lublin
Skrytka pocztowa 131

1) Który artykuł (artykuły) w „Kamenie" najwięcej Ci się ostatnio podobał (ewent. dlaczego)? .....

.....

.....

.....

2) Których autorów (autora) najchętniej czytujesz w „Kamenie" (ewent. dlaczego)? .....

.....

.....

.....

3) Artykuł (artykuły) na jaki temat chciałbyś (chciałabyś) przeczytać w najbliższych numerach „Kameny"? .....

.....

.....

.....

4) Czy nadruk: Lublin, Białystok, Kielce, Rzeszów — znajduje uzasadnienie w zawartości naszego pisma i czy czytasz materiały dotyczące innych województw? .....

.....

.....

.....

5) Podajemy przykładowy zestaw tematów poruszanych na łamach naszego pisma. Którym tematom poświęcaliśmy za mało, a którym za dużo miejsca?

	za dużo	za mało
Polityka		
Gospodarka (przemysł, rolnictwo)		
Najnowsza historia Polski		
Przejawy ruchu regionalnego		
Problemy młodzieżowe		
Sprawy studenckie		
Problemy szkolnictwa		
Filozofia i socjologia		

Verte

Wytnij, wypełnij i wyślij!

Z ŻYCIA WZIĘTE

Lucjan i inni

NIEDAWNO w zapowiedziach programu telewizyjnego można było przeczytać następującą informację: „Godz. 18.45: Lucjan i inne. Progr. rozrywk.". Trudno było się domyśleć, jaką niespodziankę szykuje swoim odbiorcom telewizja. Toteż gdy o oznaczonej godzinie na srebrnym ekranie pojawił się uśmiechnięty jak zwykle Lucjan Kydryński, stało się zupełnie jasne, którego Lucjana miała na myśli nasza telewizja. Chluba sceny estradowej, niezrównany mistrz polskiej konferansjerki, mógł — niestety — zająć swoją osobą tylko tytuł. Żeby coś znaczyć, potrzebna była drobnostka: te inne. Cóż było robić? Prawdopodobnie telewizja z ciężkim sercem zgodziła się, aby wraz z naszym Lucjanem wystąpiły te inne. Jakaś tam... Barbara Rylska, jakaś Kalina Jędrusik, Irena Santor, Agnieszka Kossakowska. Okazało się, że nie obejdzie się także bez innych... Wiesława Gołasa, Gerarda Wilka i Bogdana Łazuki. Cóż, taki już los niektórych naszych sław; w tytułach panują niepodzielnie ich nazwiska, natomiast w rzeczywistości niewiele znaczą bez tych i n n y c h. Jest to może problem z dziedziny rodzimego obyczaju, w każdym razie dotyczy kultury. Tej tworzącej życie duchowe narodu, jak i tej, która określa sposób zachowania się, sposób bycia.

Właśnie, sposób bycia.

Od pewnego czasu na łamach nieocenionego (przynajmniej dla mnie przy pisaniu felietonów) „Przekroju" ukazuje się rubryka zatytułowana „Kurier Warszawski". Jako jej autor figuruje pan podpisujący się KYDRYŃSKI. Intuicja i znajomość koneksji „Przekroju" każą się domyślać, że jest to ten sam pan, który w telewizji zapowiadany jest jako LUCJAN. Zresztą lektura tego jak i o czym pisze nie pozostawia wątpliwości co do tego, że jest to ta sama osoba zasłużonego konferansjera.

W ostatniej, marcowej rubryce Kydryński relacjonuje rozmowę, jaką przeprowadził przypadkowo w Warszawie z pewnym znanym polskim muzykiem. „Pytam co robi w Warszawie. Okazuje się, że dyskutuje sprawę wystawienia swojej opery w Teatrze Wielkim. Są pewne komplikacje natury rozliczeń międzynarodowych, ale... ów artysta... jest dobrej myśli. Sądzi, że zainteresowane strony (bo on, niestety, nie jest już wyłącznym dyspozytorem swego — niezupełnie jeszcze ukończonego — dzieła) dojdą do porozumienia i w marcu 1978 czyli za rok Warszawa opera ujrzy..."

Należy podziwiać w tej relacji kunszt, z jakim autor owija dość dziwną sprawę w bawełnę pięknie brzmiących, niby to buchalteryjnych, choć dispeczerskich słów. O jakie komplikacje natury rozliczeń międzynarodowych chodzi w przypadku dzieła polskiego autora, polskiego obywatela i do tego mieszkańca Warszawy? A przy tym dzieła jeszcze nie ukończonego?

Kydryński robi dobrą minę do tej całej historii i na koniec, po opisaniu najbliższych planów podróżniczych swego interlokutora, wyraża obawę, czy ów artysta będzie mógł przyjeżdżać do Warszawy równie często, jak dotychczas, kiedy przebywał w Europie. I szczerze pociesza nas wszystkich: „Ale miejmy nadzieję, że interesy będą go chyba wzywać. Przynajmniej te w Teatrze Wielkim".

Ot, i cała filozofia... interesu. Niestety.

W tej sytuacji z pewną lezką w oku przeczytałem parę akapitów dalej historię przyznania Jaremie Stępowskiemu przez Polskie Nagrania złotej płyty. Pan K. dokładnie wyliczył, że płyta miała wartość 2 tys. zł, a poza tym artysta dostał dodatkowe 1½ tys. zł wręczone mu w pięknej, tekturowej, bogato złoconej kopercie. „Kto wie, może na urządzenie ewentualnego bankietu..." — wyjaśnił pan K.

Cała moja sympatia po stronie Jaremy Stępowskiego. Płyta pozłocona tylko na zewnątrz, koperta posłużona i na zewnątrz i wewnątrz oraz ewentualny bankiet. Żaden interes — jak mawiał pewien mój znajomy — ale czysta sztuka.

Czytajcie „Kurier Warszawski".

BAR

MINUTA MYŚLENIA

Komu medykamenty?

DOWCIP jest rzeczą cenną. Czasem to więcej, niż argument. Przeciw argumentom poszukuje się kontrargumentów, dowcip działa z zaskoczenia. Zanim przyjmiemy pozycję obronną, już jesteśmy trafieni. Często bijąc brawo swemu napastnikowi.

Tak więc — powtarzam — daleki jestem od neglegowania zręczności, lekkości słowa, które jest cenną przyprawą merytorycznie słusznego stawiania sprawy. Nie do zniesienia jest jednak brak dowcipu połączony z wątpliwej wartości stanowiskiem krytycznym. Nie mieć racji i nie mieć w sposób nudny, a mający wszelkie pretensje do błyskotliwego mentorstwa — to widowisko żałosne i kompromitujące.

Egzemplum — owe specjalne rubryki w czasopismach i owe krótkie przeglądziki prasy czynione pod kątem popełnionych w niej lapsusów. Założenie godne najgłębniejszego przyklaśnięcia, ponieważ słuszne jest ograniczyć swobodę chochlika dziennikarskiego, czy wytknąć pomyłkę. Ale nie wtedy, kiedy się samemu nie ma ani racji, ani dowcipu.

Tym bardziej zaś, kiedy przychodzi wybrane fragmenty ciągnąć za włosy, czy nawet je podpreparowywać, by do rubryki pasowały. A zdarzyć się to musi, ponieważ raz rubrykę założywszy redaktor musi mieć dla niej materiał, musi uzasadnić jej celowość. Tak więc poszukuje się dwuznaczności tam, gdzie jej na dobrą sprawę nie ma, wypunktowuje się podtekst wbrew tekstowi, zwykłe przeoczenie korektorskie rozdmuchuje się do rozmiarów merytorycznej pomyłki.

A ponieważ wszystko to dzieje się na obszarze określonym jako „camera obscura", czy „ośla ławka", mniej krytyczny czytelnik niemal aprioryczne skłonny jest do owego „ha - ha", czy „ale mu przysolił", co jako odruch warunkowy — poza momentem refleksji — pragnie wywołać redaktor rubryczki. Tylko czekać, kiedy tenże będzie wyśmiewał (przykład zaczerpnięty od prof. Doroszewskiego) wyrażenie „słońce zachodzi". No, bo przecież nie ma nóg! Ani nie jest kobietą! Ha-ha-ha!

Do tych refleksji skłoniło mnie nieco spóźnione, w drodze przypadku zetknięcie się z numerem „Życia Warszawy" z dnia 16—17 marca 1969 r. W rubryce „Polonezy i Mazurki" czytamy tam m.in. fragmencik, który oto przytaczam w całości:

„SPĘCZNIAŁA ŻYŁA
Reportaż z rejsu do Afryki w „Głosie Szczecińskim":

„Napinamy mięśnie, żyły pęcznieją nam z wysiłku... Oswobodzone od nadmiaru potu ciało opasuje upalne powietrze nasycone wilgocią szczelnie i łagodnie jak woda..."

Nieograniczone są możliwości ludzkiego ciała!"

Możliwe, że „złośliwy" redaktor mówi o ciele swoim. Wtedy winszuję. Jeśli bowiem chodzi o ciało wymienione w zacytowanym fragmencie, to doświadczyło wyłącznie wpływu powietrza. Godzi się przypomnieć, że w polskim języku rzeczowniki rodzaju nijakiego mają identyczne formy w mianowniku i bierniku.

Jest też i fragmencik „lubelski". Oto:

„BEZ OBAWY
Z felietonu polemicznego w „Sztandarze Ludu":

„...Trudno zrozumieć, dlaczego w tej informacji pominięte zostało nazwisko. Ani pisanie powieści ani nieposiadanie pracy chorobą weneryczną nie jest, można więc bez obawy dodać, że chodzi o B. M."

Z choroby wenerycznej można się wyleczyć, z pisania — jak widać — trudniej".

Przytoczony fragment w rzeczywistości ma wygląd następujący:

„...Trudno zrozumieć, dlaczego w tej informacji pominięte zostało nazwisko. Ani pisanie powieści, ani nieposiadanie pracy chorobą weneryczną nie jest — można więc bez obawy dodać, że chodzi o Bogdana Madeja".

W tej sytuacji aktualności nabiera pytanie nie tylko z czego, ale również — kto ma się leczyć. Bo z urzekrecania tekstu jeszcze łatwiej, niż z pisania. Zacznijmy może od tego.

Owszem, w prasie zdarzają się lapsusy. Nie w takiej jednak ilości, by wystarczyła ona każdemu pismu do oddzielnej rubryki.

Po co więc wyciągają rękę „Polonezy i Mazurki"? Ręka zostaje pusta.

Ijon

BIG-BEAT

Ogłaszam konkurs

PANIE Redaktorze! Oj, nawybrzydzał się w poprzednim numerze „Kameny" pan Maciej Podgórski. Pognębił biednych poetników, którzy w dobrej wierze przesyłają swe utwory do redakcji. Teraz mogą się zniechęcić i zamiast uczciwie grafomanić, zaczną chuliganić, co będzie miało na pewno negatywny wydźwięk społeczny. A w ogóle nie wiem, dlaczego grafomaństwo nie znajduje się pod specjalną ochroną? Gdyby to ode mnie zależało, ustanowiłbym nawet Dzień Grafomana. W tym dniu wszystkie redakcje miałyby obowiązek udostępnić łamy gazet i czasopism tej wielkiej armii pisarskiej, którą zwykło się tępić surowo. Smutne to, niestety, jako że grafoman jest najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. Osobiście mam zaszczyt znać kilkunastu, na żadnym się nie zawiodłem. Niektórzy spośród nich pełnią nawet całkiem odpowiedzialne funkcje. Od czasu do czasu (bez Dnia Grafomana) udaje im się nawet to i owo tu i ówdzie zamieścić. Ale ile muszą się natrudzić! Kilkakrotnie przerabiają swoje utwory poetyckie, aż nadadzą im taki kształt, że nawet Grochowiak niczego nie zrozumie!

Praktycznie wygląda to mniej więcej tak. W pierwszej wersji utwór brzmi:

Nareszcie wiosna zawitała,
drzewa okryła liści zieleń.
Pójdziemy więc na spacer, mała,
niech się przed nami szczęście ściele.

Poeta zaczyna przerabiać:

Wiosna
zawisła na drzew gałęziach
oplecionych zielenią
jak śniegiem
wczoraj.
Mała, ujmę twą dłoń serdecznie,
niech szczęście
wykwita
wśród kwiatów kaczeńców.

Wiersz ten wprawdzie rymów już nie ma, ale jest jeszcze daleki od doskonałości. Trzeba więc nad nim pracować dalej. Kolejna wersja brzmi:

Słońca strzał w ziemię,
drzew zielony abażur.
Oczu twych serpentyna
ściele mi jutra szczęśliwość.

Poeta oczy zmęczone przeciera i łatwo dochodzi do wniosku, że utwór nadal jest bardzo komunikatywny. Filiżanka kawy zbożowej dodaje mu animuszu. Praca wre nadal:

Neonów błysk
pomnożony o wieczność
drzewom powraca nieśmiertelność liści.
Serca pompujemy ładunkiem uśmiechów
maszerując po szczęścia autostradzie
zapatrzeni w

Nieco lepiej, ale jeszcze, jeszcze należy pracować. Mały kieliszek płynu a czerwoną kartką i...

I — jeśli Pan Redaktor pozwoli — ogłaszam prywatny konkurs, jako że nie jestem już w stanie dalej mojego utworu unowocześniać. Ludzi pióra wśród czytelników „Kameny" nie brakuje. Zadanie polega na tym, aby skleić wiersz, którego sam autor nie zrozumie. Ale wiersz ów musi powstać na kanwie zamieszczonego na wstępie czterowiersza. Praca jest bardzo łatwa, dlatego też i moja prywatna nagroda będzie znacznie niższa od Nagrody Nobla. Po prostu uścisk dłoni. Zamiejscowym uścisk dłoni prześlę drogą korespondencyjną. Czuję się w obowiązku podkreślić, że uścisk dłoni nie będzie połączony z wręczeniem nawet 20-złotowego banknotu.

Jacek

P. S. Utwory proszę nadsyłać pod adresem redakcji zaznaczając na kopercie — „Konkurs Jacka".

Odpowiedzi redakcji

W. J. w Stawie. Ucieszył nas Pański obszerny list. Tym więcej, że pochodzi od stałego czytelnika i — jak ośmielamy się domyślać — sympatyka „Kameny". Popieramy twórczość ludową, a ponieważ wiersze Pańskie zdały nam się udane w obrębie tego rodzaju poezji, więc odkładamy je do któregoś z numerów „Ziemi i Pieśni". Co się natomiast tyczy artykułów dyskusyjnych, to — być może — opublikujemy w bliskim czasie kontrowersyjny tekst na temat właśnie poezji ludowej.

W. K. w Kielcach. Wiersze Pańskie nie będą u nas drukowane ani „za honorowaniem", ani bez „honorowania". Nie pojmujemy, dlaczego fraszkopisowie nie dysponujący wysokiej próby talentem szczególnie upodobali sobie jeden temat, który w potocznym języku zwie się „te rzeczy"? Bylibyśmy zobowiązani szczerze, gdyby mógł nas Pan oświecić w tej materii na swoim przykładzie.

S. J. w Lublinie. Pan z kolei mógłby próbować nam wytłumaczyć, dlaczego poeci liryczni (nie dysponujący itd.) szczególnie kultywują rozmaite uroki krajobrazu? Że przyroda jest, a przynajmniej bywa „piękna"? Być może. No i co z tego? Już w poezji starożytnej motywy krajobrazu wiązano z treściami ludzkimi. Opisywało się nautrę, ale żeby powiedzieć co nieco o człowieku. Prosimy wziąć to pod uwagę.

Z. S. w Ropczycach. Jeśli już Pan dużo czyta jako człowiek młody, to z pewnością ten szlachetny zwyczaj skłoni Pana w końcu do poniechania twórczości własnej. Bo gdyby Pan zestawił swoje teksty ze współczesną poezją, to musiałby Pan stwierdzić, że któryś z członów zestawienia poetycko niedomaga (raczej chyba nie współczesna poezja). Nie twierdzimy zresztą, iż pisze Pan bzdury, raczej rzeczy nalewne. Radzimy czytać więcej!

Z. L. w Dębowej Kłodzie. Musi Pan pogodzić się z faktem, że poetą nigdy nie zostanie. Bardzo duży kłopot ma Pan — jak to mówią — z głowy. Doprawdy nic dla Pana zrobić nie możemy. Słownik ortograficzny musi Pan sobie już kupić sam.

J. K. w Lublinie. Nie rozwodząc się wiele, stwierdzamy, iż posiada Pani pewne zadatki na poetkę. Teraz tylko praca, praca i dalej tak samo. Sama wrażliwość i dwie, trzy udane metafory w ciągu — powiedzmy — miesiąca to za mało. Gdyby się Pani jeszcze udało nie wpaść w manierę niepotrzebnych udziwnień, wówczas prosimy za jakiś rok przesłać nowe teksty.

J. P. we Wiedawie. Młody Człowieku! Motorem napędowym Pańskiej poezji jest nieszczęśliwa, jak nam się zdaje miłość do własnej nauczycielki. Za parę lat będzie Pan wspominał z rozrzewnieniem swoje obecne wzloty uczuciowe, które mają to do siebie, iż każą pisać wierszyki. W niczym to wszystko nie odbiega od schematu, jaki trw. życie powiela od setek lat. Miłość minie, a o wierszach sam Pan nie zechce pamiętać.

K. P. w Lublinie. Poza opublikowaniem jednego Pańskiego tekstu w Poste-Restante nic więcej zdziałać nie możemy w materii Pańskich pozostałych tekstów. One są istotnie bardzo „staroświeckie". Jedyna pociecha, że ma Pan kontakt z okolicznościowymi recytatorami. To też jest forma jakiejś publikacji.